



HENRYK SIENKIEWICZ

N O W E L E

STARY SŁUGA — HANIA



TANIE WYDANIE

LWÓW

WYDAWNICTWO ZAKŁADU NARODOWEGO IMIENIA OSSOLIŃSKICH

1 9 3 6



821.162.1-3M.2

CZYTELNIA KSIĄŻEK

NAKLAD I WŁASNOŚĆ

WYDAWNICTWA ZAKŁADU NARODOWEGO
IMIENIA OSSOLIŃSKICH WE LWOWIE

STARY SŁUGA



318/1936

Z Drukarni Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Lwowie



Obok starych ekonomów, karbowych i leśników, drugim typem, niknącym coraz bardziej z powierzchni ziemi, jest stary sługa. Pamiętam za czasów mego dzieciństwa służył u rodziców moich jeden z tych mamutów, po których wkrótce tylko kości na starych cmentarzyskach, w pokładach grubo zasypanych niepamięcią, od czasu do czasu będą badacze odgrzebywali. Nazywał się Mikołaj Suchowolski, był zaś szlachcicem ze wsi szlacheckiej Suchej Woli, którą często w gawędach swych wspominał. Ojciec mój odziedziczył go po ś. p. rodzicu swoim, przy którym za czasów napoleońskich wojen był ordynansem. Kiedy w służbę do dziada mojego nastał, sam nie pamiętał ściśle, a zapytany o datę, zażywał tabaki i odpowiadał.

— Ta, byłem jeszcze gołowasem, a i pan pułkownik, Panie świeć nad jego duszą, jeszcze koszulę w zębach nosił.

W domu rodziców moich pełnił najrozmaitsze obowiązki: był kredencierzem, lokajem; latem w roli ekonoma chodził do żniwa, zimą do młocarni, posiadał klucze od składu wódczanego, od piwnic, od lamusu; nakręcał zegary, ale przedewszystkiem zrządził.

Człowieka tego nie pamiętam inaczej, jak mrużącego. Mruczał na ojca mego, na matkę; ja bałem

się go jak ognia, choć go lubiłem; w kuchni wyrabiał brewerję z kucharzem, chłopaków kredensowych ciągnął za uszy po całym domu i nigdy z niczego nie był kontent. Kiedy zaproszył głowę, co stałe zdarzało się co tydzień, omijali go wszyscy, nie dlatego, żeby pozwalał sobie robić burdy z panem lub panią, ale że jak się do kogo przyczepił, to chodził za nim choćby przez cały dzień, kawęcząc i gderając bez końca. W czasie obiadu stawał za krzesłem ojca i choć sam nie posługiwał, ale doglądał posługującego chłopca i zatruwał mu życie ze szczególniejszą pasją.

— Oglądaj się, oglądaj — mruczał — to ja ci się obejrzę. Patrzcie go! nie może duchem usługiwać, tylko będzie nogami włóczył, jak stara krowa w marszu. Obejrzyj się jeszcze raz. On nie słyszy, że go pan woła. Zmień pani talerz. Czego głębę otwierasz? co? Widzicie go! przypatrzcie mu się!

Do rozmowy prowadzonej przy stole, stałe się wtrącał i stałe był wszystkiemu przeciwny. Nieraz bywało, ojciec odwrócił się przy stole i mówi:

— Mikołaj powie po obiedzie Mateuszowi, żeby założył konie: pojedziemy tam a tam.

A Mikołaj:

— Jechać? dlaczego nie jechać. Oj jej! Abo to konie nie do tego. A niechta koniska nogi połamię na takiej drodze. Jak z wizytą, to z wizytą. Przecie państwu wolno. Czy ja bronię? Ja nie bronię. Czemu nie! I obrachunek może poczekać i młocka może poczekać. Wizyta pilniejsza.

— Utrapienie z tym Mikołajem! — wykrzyknął — bywało czasem, zniecierpliwiony mój ojciec.

A Mikołaj znowu:

— Czy ja powiadam, że nie głupi. Ja wiem, że ja głupi. Ekonom pojechał na zaloty do księżej gospodyni z Niewodowa, a państwa nie mieli jechać na wizytę. Albo to wizyta gorsza od księżej gospodyni? Wolno służyć, wolno i panu.

I tak szło już w kółko bez sposobu zatrzymania starego marudy.

My, to jest ja i mój brat młodszy, baliśmy się go, jak wspomniałem, prawie więcej niż naszego guwenera, księdza Ludwika, a z pewnością więcej niż obojga rodziców. Dla sióstr był grzeczniejszy. Mawiał każdej „panienka“, choć były młodsze, ale nas tykał bez ceremonji. Dla mnie jednak miał on szczególniejszy urok: oto nosił zawsze kapiszony w kieszeni. Nieraz bywało po lekcjach, wchodzę nieśmiało do kredensu, uśmiecham się jak mogę najgrzeczniej, przymilam jak najuprzejmiej i nieśmiało mówię:

— Mikołaju! Dzień dobry Mikołajowi. Czy Mikołaj będzie dziś czyścił broń?

— Czego Henryś tu chce? Ścierkę przypaszę i basta.

A potem przedrzeźniając mnie, mówił:

— Mikołaju! Mikołaju! Jak chodzi o pistony, to Mikołaj dobry, a nie, to niech go wilcy zjedzą. Lepiejbyś się uczył. Strzelaniem rozumu nie nabierzesz.

— Ja już skończyłem lekcje — odpowiadam na wpół z płaczem.

— Skończył lekcje. He! skończył. Uczy się, uczy

a głowa jak pusty tornister. Nie dam i kwita. (To mówiąc szukał już po kieszeniach). Jeszcze mu kiedy piston w oko wpadnie i będzie na Mikołaja. Kto winien? Mikołaj. Kto dał strzelać? Mikołaj.

Tak gderząc, szedł do pokoju ojca, zdejmował pistolety, przedmuchiwał je, zapewniał jeszcze sto razy, że się to wszystko na licha nie zdało; potem zapalał świecę, nakładał piston na panckę i dawał mi mierzyć, a wtedy nieraz jeszcze miałem ciężki krzyż do zniesienia.

— Jak on to ten pistolet trzyma — mówił — jak cyrulik s...gę. Gdzie tobie świece gasić, chyba jak dziadowi w kościele! Na księdza ci iść, zdrowaśki odmawiać, ale nie być żołnierzem.

Swoją drogą uczył nas swego dawnego wojennego rzemiosła. Częstokroć po obiedzie, ja i mój brat uczyliśmy się maszerować pod jego okiem, a z nami razem maszerował i ksiądz Ludwik, który to robił bardzo śmiesznie.

Wtedy Mikołaj poglądał na niego z pod oka, a potem choć jego jednego najwięcej bał się i szanował, nie mógł przecie wytrzymać i mówił:

— E! kiedy to jegomość akurat tak maszeruje, jak stara krowa.

Ja, jako najstarszy, najbardziej byłem pod jego komendą, najwięcej też cierpiałem. Swoją drogą stary Mikołajsko, gdy oddawano mnie do szkół, beczał tak, jakby się największe nieszczęście wydarzyło. Opowiadali mi rodzice, że potem jeszcze bardziej stetryczał i nudził ich ze dwa tygodnie: „Wzięli dziecko i wywieźli, mówił. A niechta umrze! Uu! u!

A jemu po co szkoły. Abo to on nie dziedzic. Po łacinie się będzie uczył? Na Salomona chcą go wykierować. Co to za rozpusta! Pojechało dziecko, pojechało, a ty stary łaż po kątach i szukaj czegoś nie zgubił. Na licha się to zdało“.

Pamiętam, gdym pierwszy raz przyjechał na święta, spali wszyscy jeszcze w domu. Jakoś dopiero dniało: ranek był zimowy, śnieżny. Ciszę przerywało skrzypienie żórawia od studni na folwarku i szczekanie psów. Okiennice w domu były pozamykane, tylko okna w kuchni gorzały jasnym światłem, barwiącem na różowo śnieg leżący pod przyźbą. Zajeżdżam tedy smutny, zmartwiony i ze strachem w duszy, bo pierwszą cenzurę miałem wcale nieszczęśliwą. Ot poprostu, nimem się opatrzył, nim przywykłem do rutyny i karności szkolnej, nie umiałem sobie dać rady. Bałem się więc ojca, bałem się surowej, milczącej miny księdza Ludwika, który mnie przywiózł z Warszawy. Znikąd tedy otuchy, aż tu patrzę, otwierają się drzwi od kuchni i stary Mikołaj z nosem zaczerwienionym od zimna, brnie po śniegu z garnuszkami dymiącej śmietanki na tacy.

Gdy mnie zobaczył: „paniczku złoty, najdroższy!“ jak krzyknie i stawiając szybko tackę, przewraca oba garnuszki, łapie mnie za szyję i poczyną ścisnąć i całować. Odtąd zawsze mnie już tytułował paniczem.

Swoją drogą, przez całe dwa tygodnie nie mógł potem darować mi tej śmietanki: „Człowiek niósł sobie spokojnie śmietankę, mówił, a on zajeżdża. Akurat sobie czas wybrał...“ i t. d.

Ojciec chciał, a przynajmniej obiecywał mi dać w skórę, za dwa mierne z kaligrafji i z niemieckiego, jakie z sobą przyniosłem; ale z jednej strony moje łzy i przyrzeczenia poprawy, z drugiej interwencja mojej słodkiej matki, a nakoniec awantury, jakie wyrabiał Mikołaj, stanęły temu na przeszkodzie. Mikołaj o kaligrafji nie wiedział, coby to było za stworzenie, a o karze za niemiecki, ani chciał słyszeć.

— A cóż to, on luter jest, czy szwab jaki — mówił. Albo to pan pułkownik umiał po niemiecku? albo to pan sam (tu zwracał się do mojego ojca) umie? co? Jakeśmy spotkali Niemców pod... jakże się nazywa? pod Lipskiem i djabeł wie nie gdzie, tośmy, pada, nic nie mówili do nich po niemiecku, tylko, pada, to pada, zaraz pokazali nam grzbiety i, pada, tyle.

Stary Mikołaisko miał jeszcze jedną właściwość. Rzadko się rozgadywał o dawnych swoich wyprawach, ale gdy w szczególnych chwilach dobrego humoru się rozgadał, to kłamał jak najęty. Nie czynił tego ze złą wiarą; może w starej głowie fakta mieszały się mu jedne z drugimi i rosły aż do fantastyczności. Co gdzie usłyszał o wojennych przygodach za czasów lat swych młodych, stosował to do siebie i do dziada mego pułkownika, a święcie sam wierzył w to, co opowiadał. Nieraz w stodole, pilnując pańszczyźniaków młócących zboże, jak im zaczął rozprawiać, to chłopci zawieszali robotę i popierawszy się na cepach, słuchali z porozdziawia-

nemi ustami jego opowiadań. To się, bywało, spostrzegł i w krzyk:

— Czegożeście wyrychtowali na mnie gęby jak armaty, co?

I znowu łupu! cupu! łupu! cupu! Słyszać było przez jakiś czas odgłos cepów uderzających o słomę; stary milczał, ale po chwili zaczynał:

— Pisze mi mój syn, że właśnie został generałem u królowej Palmiry. Dobrze mu tam jest, pada, żołąd, pada, bierze wysoki, tylko pada, że mrozy ogromne panują... i t. d.

Mówiąc nawiasem, dzieci nie udały się staremu. Syna miał istotnie, ale był to wielki nicpoń, który doszedłszy lat, nabroił Bóg wie co, a wreszcie poszedł w świat i znikł gdzieś bez śladu; córka zaś jego, swego czasu podobno cud dziewczyna, bałamuciła się ze wszystkimi oficjalistami, jacy tylko byli we wsi i wreszcie wydawszy na świat córkę, umarła. Córka ta zwała się Hania. Była to moja rówieśnica, śliczna ale słabowita dziewczynka. Nieraz, pamiętam, bawiliśmy się razem w żołnierze: Hania bywała doboszem, a pokrzywy naszymi nieprzyjaciółmi. Dobra była i łagodna jak anioł. Czekala ją także ciężka dola w świecie, ale to są już wspomnienia, które do rzeczy nie należą.

Wracam tedy do opowiadań starego. Sam słyszałem go opowiadającego, że jak raz rozhukały się konie ułanom w Marjampolu, to ośmnaście tysięcy ich wpadło raptem przez rogatki do Warszawy. Ilu ludzi natratowały! co to był za sądny dzień, nim je

połapano, łatwo sobie wyobrazić. Drugi raz opowiadał, ale to już nie w stodole, tylko nam wszystkim we dworze, co następuje:

— Czy się dobrze biłem? co się nie miałem dobrze bić. Raz pamiętam, była wojna z Austriakiem. Stoję ja sobie w szeregu, no! w szeregu, mówię, aż tu podjeżdża do mnie naczelný wódz, niby chce powiedzieć, od Austriaków, od strony przeciwnej i pada: „Ej, ty, Suchowolski, znam ja ciebie! żebyśmy, pada, ciebie złapali, tobyśmy, pada, i całą wojnę skończyli“.

— A o pułkowniku nie wspominał? — zapytał mój ojciec.

— A jakże! przecie wyraźnie mówiłem, że, pada, ciebie z pułkownikiem.

Ksiądz Ludwik się zniecierpliwił i rzekł:

— Ależ ty Mikołaju łiesz, jakobyś osobny żołd za to pobierał.

Stary nachmurzył się i byłby się oburknął, ale że księdza bał się i poważał, więc milczał, a po chwili chcąc jakoś załagodzić sprawę, mówił dalej:

— To samo mi powiedział i ksiądz Sieklucki, kapelan. Jak raz dostałem od Austriaka bagnietem pod dwudzieste, chciałem powiedzieć pod piąte żebro, było ze mną źle. Ha! myślę, trzeba umrzeć, spowiadam się więc Panu Bogu Wszechmogącemu z moich grzechów przed księdzem Siekluckim, a ksiądz Sieklucki słucha, słucha, a w końcu powiada: „Bój się Boga, Mikołaju, pada: taćżeś ty wszystko zełgał!“ A ja mu na to: może być, ale sobie więcej nie przypominam.

— I wyleczyli cię?

— Wyleczyli, wyleczyli! Co mnie mieli wyleczyć. Ja sam się wykurowałem. Jak raz nie rozmieszam dwóch nabołów prochu w kwaterce wódki, jak nie łyknę na noc, tak na drugi dzień wstałem zdrów, jak ryba.

Byłbym więcej nasłuchiwał się tych opowiadań i więcej wam ich napisał, ale ksiądz Ludwik, nie wiem zresztą dlaczego, zakazał Mikołajowi „do reszty, jak mówił, mi głowy zawracać“. Biedny ksiądz Ludwik, jako ksiądz i cichy mieszkanić wioski, nie wiedział, po pierwsze, że każdemu młodzieńcowi, którego burza z cichego kąta rodzinnego na szeroką arenę życia wyrzuci, musi się nieraz głowa zawrócić, a powtóre, że nie starzy słudzy i ich opowiadania, ale zgola kto inny głowę zawraca.

Zresztą, wpływ Mikołaja na nas nie mógł być szkodliwy, bo przeciwnie, stary sam czuwał nad nami i nad naszym postępowaniem, nader starannie i surowo. Był to człowiek w całym znaczeniu tego wyrazu sumienny. Z czasów żołnierskich pozostał mu jeden bardzo piękny przymiot, to jest właśnie owa sumiennosc i dokładność w wypełnianiu rozkazów. Pamiętam jednej zimy, wilki poczęły u nas robić ogromne szkody i rozzuchwały się tak dalece, że nocą wchodziły po kilka i kilkanaście do wsi. Ojciec, sam zawołany myśliwy, pragnął wyprawić polowanie; że zaś chodziło mu o to, żeby nad obławą objął komendę sąsiad nasz p. Ustrzycki, znany tępicielek wilków, napisał więc do niego list, potem zawołał Mikołaja i rzekł:

— Arendarz jedzie do miasta, niech Mikołaj zabierze się z nim, niech wysiadzie po drodze w Ustrzycy i odda panu list. Tylko koniecznie przywieść mi odpowiedź: bez odpowiedzi mi nie wracać.

Mikołaj wziął list, zabrał się z arendarzem i pojechał. Wieczorem arendarz wrócił: Mikołaja niema. Ojciec myślał, że może zanocował w Ustrzycy i że wróci nazajutrz razem z naszym sąsiadem. Tymczasem upływa dzień, Mikołaja niema; upływa drugi niema; trzeci niema. W domu lament. Ojciec w obawie, że może wilki napadły go w czasie powrotu, rozsyła ludzi. Szukają i nie mogą znaleźć ani śladu. Posyłają do Ustrzycy. W Ustrzycy powiadają, że był, pana nie znalazł, że się o niego wypytywał gdzieby bawił; potem pożyczył od lokaja cztery ruble i poszedł niewiedomo dokąd. Zachodziliśmy w głowę, co to wszystko mogło znaczyć. Na drugi dzień wrócili posłańcy z innych wiosek z wiadomością, że nigdzie go nie znaleźli. Jużeśmy tedy zaczęli go opłakiwać, aż tu szóstego dnia na wieczór, ojciec właśnie wydawał dyspozycje w kancelarji; nagle słyszy za drzwiami wycieranie nóg, chrząkanie i mruczenie półgłosem, po którym natychmiast poznał Mikołaja.

Istotnie był to Mikołaj, przeziębnięty, wychudzony, zmęczony, z soplami lodu na wąsach, prawie do siebie niepodobny.

— Mikołaju, bójże się Boga! coś ty robił przez tyle czasu?

— Co robił, co robił — mruczy Mikołaj. Co miałem robić? Nie zastałem pana w Ustrzycy, pojechałem do Bzina. W Bzinie powiedzieli mi, że się na

licha zdało, bo pan Ustrzycki pojechał do Karolówki. Pojechałem i ja. W Karolówce już go takóŜ nie było. Albo to mu niewola cudze kąty wygrzewać? Czy to nie pan? Przecie piechotą nie chodzi. Dobrze mówię. Z Karolówki poszedłem do miasta, bo mówili, że pan w powiecie. A jemu co za sprawa w powiecie, czy to on wójt? Pojechał do gubernji. Miałem wracać, czy co? Poszedłem do gubernji i oddałem mu list.

— No i dał ci odpowiedź?

— Dał, nie dał. Jużci dał, tylko się naśmiał ze mnie, aż mu trzonowe zęby było widać. Pan twój, pada, prosił mnie na polowanie na czwartek, a ty mi w niedzielę list, pada, oddajesz. Już, pada, po polowaniu. I znowu się śmiał. Oto jest list. Dlaczego się nie miał śmiać. Albo...

— I cóŜes ty jadł przez ten czas?

— To i cóŜ, że od wczoraj nie jadłem. Albo ja tu głód cierpię. Albo to mi łyżki strawy żałują? Nie jadłem, to będę jadł...

Odtąd już nikt Mikołajowi nie wydawał bezwzględnych rozkazów, ale ile razy go gdzie wysyłano, zawsze mu mówiono, co ma robić na wypadek, gdyby kogo nie zastał w domu.

Jakoś w kilka miesięcy później pojechał Mikołaj na jarmark do pobliskiego miasta, za kupnem koni fornałskich, bo na koniach znał się doskonale. Wieczorem ekonom przyszedł powiedzieć, że Mikołaj wrócił, konie kupił, ale wrócił pobity i że wstydzi się pokazać. Ojciec poszedł natychmiast do niego.

— Co tobie jest, Mikołaju?

— Pobitem się — odburknął krótko.

— Wstydz się stary. Burdy po jarmarku będziesz robił? Rozumu nie masz. Stary a głupi! Wiesz ty, że innego wypędziłbym za taką sprawkę. Wstydz się. Musiałeś się upić. To ty mi psujesz ludzi, zamiast im dawać przykład.

Ojciec mój gniewał się istotnie, a gdy się gniewał, to nie żartował. Ale co było dziwne, że Mikołaj, który zwykle w takich razach nie zapominał języka w gębie, tym razem milczał jak pień. Widocznie stary zaciął się. Napróżno dopytywali go inni, jak i co to było. Odburknął się tylko jednemu i drugiemu i nie powiedział ani słowa.

Jednakowoż poturbowali go nie żartem. Nazajutrz rozchorował się tak, że potrzeba było posyłać po doktora. Doktor dopiero wyjaśnił całą sprawę. Przed tygodniem ojciec wyczubił był karbowego, który na drugi dzień uciekł. Udał się do niejakiego pana von Zoll, Niemca, wielkiego nieprzyjaciela mego ojca i przystał do niego na służbę. Na jarmarku znajdował się pan Zoll, nasz dawny karbowy i parobcy pana Zolla, którzy przygnali opasowe woły na sprzedaż. Pan Zoll pierwszy zobaczył Mikołaja, zbliżył się do jego wozu i począł na ojca wygadywać. Mikołaj nazwał go za to odmieniecem, a gdy pan Zoll dodał nową obelgę na ojca, Mikołaj zapłacił mu za nią biczyskiem. Wówczas to karbowy, wraz z parobkami Zolla rzucili się na niego i pobili go aż do krwi.

Ojcu memu, gdy usłyszał to opowiadanie, łzy zakręciły się w oczach. Nie mógł sobie darować, że wyburczał Mikołaja, który naumyślnie o całą sprawę

wie zamilczał. Gdy wyzdrowiał, ojciec poszedł mu robić wymówki. Stary początkowo nie chciał się przyznać do niczego i według zwyczaju mrucał, ale potem rozczulił się i popłakali się razem z ojcem, jak bobry. Zolla wyzwał ojciec za tę sprawę na pojedynek, który Niemiec długo popamiętał.

Jednakże, gdyby nie doktor, poświęcenie Mikołaja pozostałoby w ukryciu. Tego doktora swoją drogą Mikołaj przez długi czas nienawidził. Była to rzecz taka: miałem śliczną i młodą cioteczkę, siostrę ojca, która mieszkała przy nas. Kochałem ją bardzo, bo była równie dobra jak piękna i bynajmniej mnie nie dziwiło, że kochali ją wszyscy, a między wszystkimi i doktor, człowiek młody, rozumny i w całej okolicy nadzwyczaj poważany. Mikołaj poprzednio lubił doktora, mawiał nawet o nim, że to lepszy chłopak i że dobrze na koniu siedzi; ale gdy doktor począł bywać u nas w widocznych zamiarach względem cioci Maryni, uczucia Mikołaja dla niego zmieniły się do niepoznania. Zaczął być dla niego grzeczny ale chłodny, jak dla człowieka zupełnie obcego. Dawniej, nieraz, bywało zrzedził i na niego. Gdy czasem zasiedziało się u nas zbyt długo, Mikołaj ubierając go na drogę, szemrał: „Coto po nocy się tłuc. To się na nic nie zdało: czy to kto kiedy widział!“ Teraz przestał zrzedzić, ale natomiast milczał jak skamieniały. Poczciwy doktor zrozumiał wkrótce o co idzie i jakkolwiek uśmiechał się, jak dawniej, do starego dobrotliwie, przecież myślę, że w duszy musiało mu to być przykro.

Szczęściem jednak dla młodego Eskulapa, cicia



Marynia żywiła dla niego uczucia wprost Mikołajowym przeciwne; stało się więc pewnego pięknego wieczora, że gdy księżyc świecił w sali bardzo ładnie, gdy zapach jaśminu wchodził przez otwarte okna z ogrodowych klombów, a ciocia Marynia śpiewała przy fortepianie: „*Io questa notte sogno*“, doktor Staś zbliżył się do niej i spytał ją drżącym głosem, czy sądzi, że on żyć bez niej nie potrafi? Ciocia wyraziła oczywiście swoje powątpiewania w tym względzie, poczem nastąpiły wzajemne zakłęcia, wzywanie księżycy za świadka i wszystkie tym podobne rzeczy, jakie się zawsze w takich razach dziać zwykły.

Na nieszczęście, w tej chwili właśnie wszedł Mikołaj z zamiarem proszenia na herbatę. Gdy ujrzał co się dzieje, pobiegł natychmiast do ojca, a ponieważ ojca nie było w domu, bo obchodził na folwarku zabudowania, udał się więc do matki, która ze zwykłym sobie łagodnym uśmiechem prosiła go, żeby się do tego nie wtrącał.

Skonfundowany Mikołaj milczał już gryząc się wewnętrznie przez resztę wieczora; ale gdy ojciec przed udaniem się na spoczynek, poszedł jeszcze do kancelarji dla napisania jakichś listów, Mikołaj udał się za nim i stanawszy przy drzwiach, począł chrząkać znacząco i szurgać nogami.

— Czego tam Mikołaj chce? — spytał ojciec.

— Ato tego... Jakże się nazywa? Ato ja chciałem się pana spytać, czy to prawda, że panienka nasza się... żeni, chciałem powiedzieć: idzie zamąż?

— Prawda. Alboż co?

— A bo to nie może być, żeby panienka wyszła za tego... pana cyrulika.

— Co za cyrulik? Czy Mikołaj oszalał. Że też Mikołaj musi wszędzie wścibić swoje trzy grosze!

— A cóżto, panienka, to nie nasza panienka; czy to nie córka pana pułkownika? Pan pułkownik nigdyby na to nie pozwolił. Czy to panienka nie warta dziedzica i pana z panów? A doktor to z przeproszeniem co? Na śmiech ludzki się panienka poda.

— Doktor to mądry człowiek.

— Mądry, nie mądry. Czy to ja mało doktorów widziałem? Chodzili to po obozie, kręcili się to po sztabie, a jak co do czego, jak do bitwy, to ich niema. Albo to pan pułkownik raz ich nazywał lancetnikami. Jak człowiek zdrowy, to on go nie ruszy, a jak leży nawpół żywy, to on dopiero do niego z lancetem. To nie sztuka krajać takiego, co nie może się bronić, bo nic w garści nie może utrzymać. Spróbuj ty go ukrajać, kiedy on zdrowy i trzyma karabin. Oj jej! wielka rzecz ludziom po kościach nożem chodzić! To się na nic nie zdało! A pan pułkownik chybaby z grobu wstał, żeby się o tem dowiedział. Co mi to za żołnierz, doktor! Albo taki też i dziedzic! To nie może być! Panienka za niego nie pójdzie. To nie jest według przykazania. Komu to tu po panienkę sięgać?

Na nieszczęście Mikołaja, doktor nietylko po panienkę sięgnął, ale jej nawet dosięgnął. W pół roku potem nastąpiło wesele i panna pułkownikówna oblana potokiem łez krewnych i domowników w ogół-

ności, a Mikołaja w szczególności, odjechała dzielić dolę z doktorem.

Mikołaj do niej urazy nie chował, bo nie mógł długo chować: zbyt ją kochał, ale jemu nie chciał przebaczyć. Nie wymieniał prawie nigdy jego nazwiska, i wogóle starał się o nim nie mówić. Mówiąc nawiasem, ciocia Marynia była za doktorem Stanisławem jak najszcześliwsza. Po roku dał im Bóg ślicznego chłopaka, po roku znowu dziewczynkę i potem już naprzemiany, jak zapisał. Mikołaj dzieci te kochał jak własne, obnosił je na rękę, pieścił, całował; że jednak tliła się w sercu jego jakaś gorczyz z powodu *mezalliansu* cioci Maryni, zauważyłem to jeszcze niejednokrotnie. Raz, pamiętam, w święta Bożego Narodzenia zasiedliśmy do wilji, gdy nagle zdala po grudzie dał się słyszeć turkot powozu. Spodziewaliśmy się zawsze mnóstwa krewnych, dlatego ojciec rzekł:

— Niech Mikołaj wyjrzy, kto tam jedzie.

Mikołaj wyszedł i powrócił wkrótce z radością na twarzy.

— Panienska jedzie! — wykrzyknął zdaleka.

— Kto taki? — spytał mój rodzic, choć wiedział już o kim mowa.

— Panienska!

— Jaka panienska?

— Nasza panienska — odparł stary.

I trzeba było widzieć tę panienskę, jak wchodziła do pokoju z trojgiem dzieci. Śliczna mi panienska! Swoją drogą stary umyślnie nigdy jej inaczej nie nazywał.

Ale wreszcie skończyła się i jego niechęć do doktora Stasia. Zachorowała mu ciężko Hania na tyfus. Były to i dla mnie dni strapienia, bo Hania była moją rówieśnicą i jedyną towarzyszką zabaw, kochałem ją więc prawie jak siostrę. Owóż doktor Staś trzy dni prawie nie wychodził z jej pokoju. Stary, który Hanię kochał całą siłą duszy, przez czas jej choroby chodził jak struty; ani jadł, ani spał; siedział tylko u drzwi jej pokoju, bo do łóżka nikomu, prócz mojej matki nie wolno było przystąpić i żuł twardą, żelazną boleść, która rozrywała mu piersi. Była to dusza zahartowana zarówno na trudy ciała jak i na ciosy niedoli, a jednak mało się nie ugięła pod brzemieniem rozpacz, przy łożu jednego dziewczątka. Aż gdy wreszcie po wielu dniach śmiertelnej bojaźni, doktor Staś otworzył cicho drzwi od pokoju chorej i z promienną szczęściem twarzą, wyszeptał do oczekujących wyroku w przyległej izbie, jeden mały wyraz: „uratowana!“ stary nie wytrzymał, ale ryknął jak żubr i rzucił mu się do nóg, powtarzając tylko ze łkaniem: „Dobrodzieju mój! dobrodzieju!“

Hania rzeczywiście szybko potem wyzdrowiała; doktor Staś oczywiście został oczkiem w głowie starego.

— Łebski człowiek — powtarzał muskając sumiaste wąsy — łebski człowiek. I na koniu dobrze siedzi i gdyby nie on, toby Hania... ot! nie chcę nawet wspominać. Na psa urok!

Ale w rok jaki po tem zdarzeniu poczał zapadać sam stary. Prosta i silna postać jego pochyliła się. Zgrzybiał bardzo, przestał marudzić i kłamać. W końcu dobiegłszy prawie dziewięćdziesięciu lat życia, zdzie-

cinniał całkowicie. Robił tylko sidła na ptaszki i chował ich mnóstwo, zwłaszcza sikorek, w swojej stancji. Na kilka dni przed śmiercią nie odróżniał już ludzi; ale w sam dzień śmierci dogorywająca lampa jego umysłu zaświeciła raz jeszcze jasnym światłem. Pomnę, że rodzice moi, dla zdrowia matki, byli wtedy zagranicą. Pewnego wieczoru siedziałem przed kominkiem z bratem młodszym Kaziem i z księdzem, który także bardzo się już był posunął. Wicher zimowy z tumanami śniegu tłukł w szyby; ksiądz Ludwik modlił się, ja zaś z pomocą Kazia opatrywałem broń na jutrzejszą ponowę. Nagle dali nam znać, że stary Mikołaj kona. Ksiądz Ludwik ruszył natychmiast do domowej kaplicy po Sakramenta, ja zaś pobiegłem co tchu do starca. Leżał na łożu blady już bardzo, żółty i prawie stygnący, ale spokojny i przytomny. Piękną była ta głowa wyłysiała, zdobna dwiema szramami; głowa starego żołnierza i uczciwego człowieka. Światło gromnicy rzucało trumienny blask na ściany pokoiku. Po kątach kwiliły chowane sikorki. Starzec jedną ręką przyciskał do piersi krucyfiks, drugą dłoń jego podtrzymywała i okrywała pocałunkami bledziuchna, jak kwiatek lilji, Hania. Wszedł ksiądz Ludwik i zaczęła się spowiedź; potem umierający zażądał mnie widzieć.

— Niema mojego pana i ukochanej pani — wyszeptał — więc ciężko mi umierać. Ale wy jesteście, paniczu złoty, dziedzicu mój... Opiekujcie się tą sierotą... Bóg wam nagrodzi. Nie gniewajcie się... Jeśli co zawinił... przebaczcie. Bywałem przykry, ale wierny...

Nagle rozbudzony na nowo, zawołał mocniejszym głosem i z pośpiechem, jakby mu już brakło tchu!

— Paniczu!... Dziedzicu!... moja sierota!... Boże, w ręce... Twoje...

— Polecam ducha, tego dzielnego żołnierza, wiernego sługi i sprawiedliwego człowieka! — dokończył uroczyście ksiądz Ludwik.

Starzec już nie żył.

Uklękliśmy i ksiądz począł głośnie czytać modlitwy za umarłych.

Upłynęło od tego czasu lat kilkanaście. Na mogile poczciwego sługi porosły bujne wrzosey cmentarne. Nadeszły smutne czasy. Burza rozwiała święte i ciche ognisko mojej wioski. Dziś ksiądz Ludwik już w grobie, ciocia Marynia w grobie, ja piórem na gorzki chleb powszedni zarabiam, a Hania...

Hej! lzy się kręca!

1875

HANIA

I.

Kiedy stary Mikołaj, umierając, zostawił Hanię opiece i sumieniu memu, miałem wówczas lat szesnaście; ona zaś, młodsza niespełna o rok, również wychodziła zaledwie z lat dziecinnych.

Od łoża zmarłego dziadka odprowadziłem ją prawie przemocą i oboje udaliśmy się do naszej domowej kaplicy. Drzwi jej były otwarte; przed starym bizantyjskim obrazem Matki Bożej paliły się dwie świece, których blask słabo tylko rozwidniał mrok, panujący w głębi ołtarza. Klękliśmy jedno obok drugiego. Złamana bolem, zmęczona łkaniem, bezsennością i żalem dziecina, oparła swą biedną główkę o moje ramię i tak pozostawaliśmy w milczeniu. Godzina była późna: w sali przyległej do kaplicy, na starym gdańskim zegarze kukułka wykukała chrapliwym głosem godzinę drugą po północy; wszędy panowała głęboka cisza, przerywana tylko odległym szumem śnieżnej zawiei, wstrząsającej ołowianą oprawą okienek w kaplicy i bolesnemi westchnieniami Hani. Nie śmiałem się ozwać do niej żadnem słowem pociechy, tuliłem ją tylko do siebie, jakby już opiekun, albo brat starszy. Nie mogłem się jednak modlić; tysiączne wrażenia, uczucia rozkoły-

sały mi serce i głowę! różnorodne obrazy przesuwają mi się przed oczyma, ale powoli z tego zamętu wyłaniała się jedna myśl i jedno uczucie, oto, że ta bledziuchna twarzyczka z przymkniętymi oczyma, wsparta na mojem ramieniu, ta bezbronna, biedna maleńka istota, staje mi się teraz ukochaną siostrą, za którą oddałbym życie i za którą, gdyby była potrzebna, rzuciłbym rękawicę całemu światu.

Tymczasem nadszedł brat mój młodszy Kazio i klęknął za nami, a potem ksiądz Ludwik i kilkoro ludzi ze służby. Odmawialiśmy pacierz wieczorny, wedle codziennego u nas zwyczaju. Ksiądz Ludwik czytał głośno modlitwy, a my powtarzaliśmy je za nim lub odpowiadaliśmy chórem w litanję; ciemna zaś twarz Matki Boskiej z dwoma cięciami szabli na policzku, poglądała na nas dobrotliwie, zdawała się brać udział w rodzinnych naszych troskach, zmartwieniach, doli i niedoli i błogosławić wszystkich u Jej stóp zebranych. Przy modlitwie, gdy ksiądz Ludwik zaczął wymieniać zmarłych, za których odmawialiśmy zwykle „wieczny odpoczynek“ i dołączył do nich imię Mikołaja, Hania poczęła łkać głośno na nowo, ja zaś wykonałem sobie w duszy cichą przysięgę, że zobowiązań, jakie na mnie włożył nieboszczyk, święcie dochowam, choćby mi to kosztem największych ofiar wykonać przyszło. Był to ślub młodego egzaltowanego chłopaka, nie rozumiejącego jeszcze ani możliwej wielkości ofiar, ani odpowiedzialności, ale niepozabawionego szlachetnych porównów i tkliwych uniesień duszy.

Po skończonym pacierzu rozeszliśmy się na spo-

czynek. Polecilem starej Węgrowskiej, gospodyni, aby odprowadziła Hanię do pokoiku, w którym odtąd miała mieszkać, nie zaś, jak zwykle do garderoby i żeby pozostała z nią razem przez całą noc; sam zaś, ucałowawszy serdecznie sierotkę, udałem się do oficyny, w której mieszkałem razem z Kaziem i księdzem Ludwikiem, a którą nazywano w domu stancją. Rozebrałem się i położyłem do łóżka. Mimo żalu za Mikołajem, którego kochałem serdecznie, czułem się dumny i szczęśliwy niemal ze swojej roli opiekuna. Podnosiło mnie to we własnych oczach, że ja, szesnastoletni chłopak, miałem już być podporądką jednej słabej i biednej istoty. Czułem się mężczyzną. Nie zawiedziesz się pocziwy starcze, myślałem sobie, na twym paniczku, dziedzicu; w dobre ręce złożyłeś przyszłość twojej wnuczki i możesz spać spokojnie w mogile. Istotnie o przyszłość Hani byłem spokojny. Myśl, że Hania z czasem dorośnie i że trzeba ją będzie wydać zamaż, nie przychodziła mi wtedy do głowy. Myślałem sobie, że zawsze zostanie przy mnie, otoczona staraniami jak siostra, kochana jak siostra, smutna może, ale spokojna. Wedle odwiecznego zwyczaju najstarszy syn brał przeszło pięć razy tyle majątku, ile młodsze rodzeństwo; młodszy zaś synowie i córki szanowali ten zwyczaj i nigdy nie występowali przeciw niemu, jakkolwiek nie było w rodzie naszym prawnego majoratu. Byłem najstarszym synem rodziny, a zatem większość majątku miała w przyszłości należeć do mnie; jakkolwiek więc student jeszcze, poglądałem już nań jak na swoją własność. Ojciec należał do majątniejszych w okolicy

obywateli. Ród nasz nie odznaczał się wprawdzie bogactwem magnatów, ale ową wielką staroszlachecką zamożnością, dającą chleba w bród i żywot cichy, dostatni, w rodzinnem gnieździe aż do śmierci. Miałem więc być względnie bogaty i dlatego ze spokojem patrzyłem w przyszłość tak swoją, jak i Hani, wiedząc, że jakakolwiek dola ją czeka, zawsze przy mnie znajdzie spokój i oparcie, jeżeli go będzie potrzebować.

Z temi myślami usnąłem. Nazajutrz rano począłem wprowadzać w czyn powierzona mi opiekę. Ale w jakież to czyniłem sposób śmieszny i dziecinny! A jednak dziś, gdy to sobie przypominę, nie mogę się oprzeć pewnemu rozczuleniu. Gdy przyszliśmy z Kaziem na śniadanie, zastaliśmy już siedzących przy stole: księdza Ludwika, madame d'Yves, naszą guwernantkę i dwie moje małe siostrzyczki, siedzące, jak zwykle, na wysokich trzećniowych krzesłach, przebierające nóżkami i gwarzące wesoło. Rozsiadłem się z nadzwyczajną powagą na krześle ojca i rzucawszy okiem dyktatora na stół, zwróciłem się do posługującego chłopaka i rzekłem sucho i rozkazująco:

— Nakrycie dla panny Hanny.

Na wyrazie „panna“ położyłem umyślny nacisk.

Tego dotąd nigdy nie bywało. Hania zwykle jadła w garderobie, bo jakkolwiek matka moja życzyła sobie, aby siadała razem z nami, stary Mikołaj nigdy na to nie chciał pozwolić, powtarzając: „Na co to się zdało; niech zna mores dla państwa. Jeszcze czego!“ Teraz ja wprowadziłem nowy zwyczaj. Pocziwy ksiądz Ludwik uśmiechnął się, pokrywszy

uśmiech szczyptą tabaki i fularową chustką od nosa; pani d'Yves skrzywiła się, bo mimo dobrego serca, jako pochodząca ze starej rodziny szlacheckiej francuskiej, wielką była arystokratką; chłopak zaś usługujący Franciszek, otworzył szeroko usta i patrzył na mnie ze zdziwieniem.

— Nakrycie dla panny Hanny! czy słyszysz? — powtórzyłem.

— Słucham wielmożnego pana — odpowiedział Franciszek, któremu widocznie zaimponował ton, jakim do niego mówiłem.

Dziś wyznaję, że i „wielmożny pan“ zaledwie mógł powstrzymać uśmiech zadowolenia, jaki na usta jego wywoływał nadawany mu po raz pierwszy w życiu ten tytuł. Powaga jednak nie pozwoliła wielmożnemu panu się uśmiechnąć. Tymczasem nakrycie za chwilę było gotowe, otworzyły się drzwi i weszła przez nie Hania; ubrana w czarną suknię, którą przez noc uszyły jej panna służąca i stara Węgrowska: blada, ze śladami łez na oczach i ze swemi długimi złotemi warkoczami, które spływały po sukience i kończyły się wstążeczkami z czarnej żałobnej krepy, wplecionej między promienie włosów.

Powstałem i podbiegłszy ku niej, przyprowadziłem ją do stołu. Starania moje i cały ów splendor zdawały się tylko zawstydząć, mieszać i męczyć dziecinę; ale nie rozumiałem jeszcze wówczas, że w chwili smutku, cichy, samotny, odludny kącik i spokój więcej jest wart, niż hałaśliwe owacje przyjaciół, choćby z najlepszego serca płynące. Dręczyłem tedy Hanię w najlepszej wierze swoją opieką,

sądząc, że wywiązuję się ze swego zadania doskonale. Hania milczała i tylko od czasu do czasu odpytywała na moje pytania: co będzie jadła i piła?

— Nic, proszę łaski panicza.

Zabolało mnie owo: „proszę łaski panicza“, tembardziej, że zwykle Hania była ze mną poufalsza i mówiła mi po prostu: „paniczu“. Ale właśnie rola, jaką odgrywałem od wczoraj i odmienne warunki, w jakich postawiłem Hanię, czyniły ją tem nieśmielszą i pokorniejszą. Zaraz po śniadaniu wziąłem ją na bok i rzekłem:

— Haniu, pamiętaj, że odtąd tyś moją siostrą. Odtąd nie mów mi nigdy: proszę łaski panicza.

— Dobrze, proszę łask... proszę panicza.

Byłem w dziwnem położeniu. Chodziłem z nią po pokoju i nie wiedziałem co z nią mówić. Radbym był ją pocieszać, ale na to trzeba było wspomnieć Mikołaja i wczorajszą śmierć jego, coby Hanię do nowych łez przywiodło i byłoby tylko odnowieniem boleści. Skończyło się więc na tem, że siedliśmy oboje na niskiej kozetce, stojącej w końcu pokoju; dzieciina znowu oparła główkę o moje ramię i ja zaś począłem gładzić ręką jej złote włoski.

Tuliła się do mnie rzeczywiście, jak do brata, i może owo słodkie uczucie ufności, powstające w jej sercu, wywołało nowe łzy w jej oczach. Płakała rzuwając, ja zaś pocieszałem ją jak umiałem.

— Znowu płaczesz, Haniułko? — mówiłem — dziadek twój w niebie, a ja się będę starał...

Nie mogłem i ja mówić dłużej, bo i mnie się na łzy zbierało.

— Paniczu, mogę ja do dziadzi? — wyszeptała.

Wiedziałem, że przyniesiono trumnę i że teraz właśnie kładziono w nią Mikołaja; dlatego nie chciałem, żeby Hania poszła do ciała dziadka pierwszej, nim wszystko będzie gotowe. Ale za to poszedłem sam.

Po drodze spotkałem panią d'Yves, którą prosiłem żeby zaczekała na mnie, ponieważ potrzebuję z nią chwili rozmowy. Wydawszy ostatnie rozporządzenia pogrzebowe i pomodliwszy się u zwłok Mikołaja, wróciłem do Francuzki i po kilku wstępnych słowach, prosiłem ją, czyby po jakimś czasie, kiedy pierwsze tygodnie żałoby przejdą, nie chciała dawać Hani lekcji francuskiego i muzyki.

— *Monsieur Henri* — odpowiedziała pani d'Yves, którą widocznie gniewało, że rozporządzam się wszędzie, jak szara gęś po niebie — ja uczyniłabym to najchętniej, bo kocham bardzo tę dziewczynkę, ale nie wiem, czy to leży w zamiarach rodziców pana, jak również nie wiem, czy zgodzą się na rolę, jaką pan usiłujesz samowolnie nadać wśród waszej rodziny tej maleńkiej. *Pas trop de zèle, monsieur Henri.*

— Ona jest pod moją opieką — odrzekłem wyniośle — i ja za nią odpowiadam.

— Ale ja nie jestem pod opieką pana — odparła pani d'Yves — i dlatego pozwoli pan, że zaczekam aż do powrotu pańskich rodziców.

Rozgniewał mnie ten upór Francuzki, ale szczęściem, nierównie lepiej poszło mi z księdzem Ludwikiem. Poczciwy księżysko, który i tak poprzednio już uczył Hanię, nietylko, że się zgodził na dalsze

i obszerniejsze jej kształcenie, ale jeszcze pochwalił mnie za moją gorliwość.

— Widzę — mówił — że szczerze bierzesz się do spełnienia swego zadania, a jakkolwiek jesteś młodym i dziecko jeszcze, ale ci się to pochwała; pamiętaj tylko, tak być wytrwałym, jak gorliwym.

I widziałem, że ksiądz kontent był ze mnie. Rola pana domu, jaką sobie nadawałem, bawiła go raczej, niż gniewała. Widział staruszek, że dużo było w tem wszystkiem dzieciństwa, ale powody uczciwe, więc dumny był i cieszył się z tego, że jego posiew, rzucony w moją duszę, nie marniał. Zresztą kochał mnie stary ksiądz bardzo; ja zaś, o ile z początku, za lat zupełnie dziecinnych, bałem się go z całej duszy, o tyle teraz, w miarę jak dochodziłem do lat młodzieńczych, zawojowywałem go coraz bardziej. Miał do mnie słabość, więc pozwolił sobą powodować. Hanię też kochał i rad był los jej, o ile leżało w jego mocy, polepszyć, z jego więc strony nie spotkałem najmniejszego oporu. Pani d'Yves w gruncie rzeczy miała dobre serce i również, jakkolwiek trochę na mnie rozgniewana, otoczyła Hanię troskliwością. Jużto na brak serc kochających nie mogła się sierota uskarżać. Służba nasza poczęła ją traktować inaczej: nie jak koleżankę, ale jak panienkę. Wola najstarszego syna w rodzinie, choćby nawet i dziecka, była u nas bardzo szanowana. Tego wymagał i mój ojciec. Od tej woli służyło prawo apelacji do starszego pana i starszej pani, ale nie wolno było sprzeciwiać się jej bez upoważnienia. Najstarszemu synowi również nie wolno było mówić ina-

czej, jak „paniczu“ od najmłodszych lat jego. Służba równie jak i młodsze rodzeństwo, wdrażane było do szacunku dla najstarszego, a szacunek ten pozostawał potem na całe życie. „Tem stoi rodzina“, mawiał mój ojciec i istotnie, skutkiem tego, dobrowolny, a nie oparty na prawie układ rodziny, mocą którego najstarszy miał więcej majątku od młodszych, utrzymywał się oddawna. Była to rodzinna tradycja, przechodząca z pokolenia na pokolenie. Ludzie przywykli byli patrzeć na mnie jak na przyszłego pana, a uczuci temu nawet nieboszyk stary Mikołaj, któremu wszystko było wolno i który jeden tylko nazywał mnie po imieniu, nie mógł się do pewnego stopnia oprzeć.

Matka trzymała w domu apteczkę i sama nawiedzała chorych. W czasie cholery spędzała całe noce w chatach włościańskich wraz z doktorem, narażając się na śmierć niechybną, a ojciec, który o nią drżał, przecie jej tego nie bronił, powtarzając: „obowiązek, obowiązek“. Zresztą i sam ojciec, lubo surowy, dawał zapomogi: nieraz darowywał robociznę, przebaczał, mimo wrodzonej popędlivosti, winy łatwo; płacił nieraz długi za włościan, sprawiał wesela, trzymał dzieci do chrztu; nam kazał ludzi szanować, starym zaś gospodarzom na ich powitanie odpowiadał czapką: ba! często nawet wzywał ich na naradę. Ale też nie można inaczej powiedzieć, jak to chłopci przywiązani byli do całego rodu bardzo, czego później niejednokrotnie wyraźnie złożyli dowody.

Mówię to wszystko dlatego, raz, aby odmalować

wiernie, jak to u nas jest i bywało; powtóre, aby okazać, że w kreowaniu Hani na „panienkę“ nie spotkałem wielkich trudności. Najwięcej biernego oporu spotkałem w niej samej, bo dziecinka zbyt była lękliwą i w zbytnej czci dla „państwa“ przez samego Mikołaja wychowaną, aby z łatwością mogła się ze swoim losem pogodzić.

II.

Pogrzeb Mikołaja odbył się w trzy dni po jego śmierci. Sąsiedztwo zjechało na ten pogrzeb dosyć licznie, chcąc uczcić pamięć starego, który, jakkolwiek sługa, przecież powszechnie był szanowany i lubiony. Starca pochowano w naszych grobach rodzinnych, a trumnę jego postawiono przy trumnie dziada mojego, pułkownika. Przez cały czas ceremonji pogrzebowych nie opuszczałem Hani ani na chwilę. Przyjechała ze mną w sankach i chciałem, żeby ze mną wracała, ale ksiądz Ludwik kazał mi iść prosić sąsiadów, żeby z cmentarza wstąpili do nas dla ogrzania się i posiłku. Hanią tymczasem zajął się kolega mój i przyjaciel Mirza-Dawidowicz, syn Mirzy-Dawidowicza, obywatela i sąsiada mojego ojca, z pochodzenia Tatara i mahometanina, ale z rodziny z dziada pradziada osiadłej u nas i od dawnego czasu posiadającej obywatelstwo i szlachectwo tutejsze. Musiałem sięść razem z Ustrzyckimi, Hania zaś zabrała się z panią d'Yves i z młodym Dawidowiczem do innych sani. Widziałem jak pocziwy chłopczyśko otulał ją własnem futrem, potem wziął

od woźnicy lejce, krzyknął na konie i pomknęli jak wicher. Po powrocie do domu, Hania poszła płakać do pokoiku dziadka, ja zaś nie mogłem za nią pospieszyć, bo wraz z księdzem Ludwikiem musieliśmy przyjmować gości.

Wreszcie rozjechali się wszyscy, został tylko Mirza-Dawidowicz, który miał przepędzić u nas resztę świąt Bożego Narodzenia, trochę się ze mną uczyć, bo byliśmy obaj w siódmej klasie i czekał nas egzamin *maturitatis*, ale więcej jeździć konno, strzelać do celu z pistoletów, fechtować się i polować, które to zajęcia obadwa przekładaliśmy o wiele, niż tłumaczenie Annałów Tacyty i Ksenofontową Cyropajdeję. Ten Mirza był wesoły chłopak, urwis i psotnik wielki, zapalczywy jak iskra, ale do najwyższego stopnia sympatyczny. U nas w domu lubili go wszyscy bardzo, prócz ojca mego, którego gniewało to, że młody Tatar strzelał i fechtował się lepiej ode mnie. Za to pani d'Yves przepadała za nim, bo gadał po francusku jak Paryżanin, usta mu się nie zamykały, plótł, dowcipkował i bawił Francuzkę lepiej od nas wszystkich.

Ksiądz Ludwik znowu miał trochę nadziei, że go nawróci na religję katolicką, tembardziej, że chłopiec żartował sobie czasami z Mahometa i pewno byłby chętnie Koran porzucił, gdyby nie to, że bał się ojca, który, ze względu na tradycje rodzinne, trzymał się oburącz mahometanizmu powtarzając, że jako stary szlachcic, woli być starym mahometaninem, niż świeżym katolikiem. Zresztą nie miał stary Dawidowicz innych tureckich lub tatarskich

sympatyj. Przodkowie jego osiedli tu od czasów pono Witoldowych. Była to szlachta również zamożna bardzo i oddawna w jednym gnieździe osiadła. Majątki, które posiadali, nadał jeszcze Jan Sobieski Mirze Dawidowiczowi, pułkownikowi lekkiej chorągwi petyhorskiej, który cudów dokazywał pod Wiedniem, a którego portret wisiał jeszcze w Chorzelach. Pamiętam, że portret ten dziwne robił na mnie wrażenie. Pułkownik Mirza był to człek straszny; twarz jego była tak popisana Bóg wie jakimi szablami, jakby tajemniczemi literami Koranu. Płeć miał śniadą policzki wystające, oczy skośne o dziwnie ponurym blasku, które miały tę własność, że z portretu patrzyły na ciebie zawsze, czyś stanął wprost, czy z któregośkolwiek boku. Ale kolega mój Selim w niczem nie był do przodków swych podobny. Matka jego, z którą stary Dawidowicz ożenił się w Krymie, nie była Tatarką, ale pochodziła z Kaukazu. Ja nie pamiętałem jej, ale wiem, że mówiono, iż była to piękność nad pięknosciami i że młody Selim jak dwie krople wody do niej podobny.

Ach! cudny był chłopak ten Selim! Oczy jego miały już zaledwie dostrzegalny skośny kierunek. Nie były to jednak oczy tatarskie, ale wielkie, czarne smutne i łzawe oczy, jakimi podobno odznaczają się Gruzinki. Oczu, obdarzonych taką niewypowiedzianą słodyczą, gdy były spokojne, nie widziałem jak żyję i nie zobaczę więcej. Gdy Selim o co prosił, a spojrział temi oczyma na człowieka, to zdawało się, że brał go wprost za serce. Rysy miał regularne, szlachetne, jakby z pod rzeźbiarskiego dłuta wyszłe,

płeć smagłą, ale delikatną, wypukłe trochę, czerwone jak malina usta, słodki uśmiech i zęby jak perły. Gdy jednak Selim pobił się naprzykład z kolegą, co zdarzało się dość często, wtedy ta jego słodycz zniknęła jak zwodnicza mara; stawał się prawie straszny: oczy zdawały się mu w ukos wyciągać i świeciły jak u wilka; żyły wyprężyły się na twarzy; płeć ciemniała i obudził się w nim na chwilę prawdziwy Tatar, taki, z jakimi chodzili w taniec nasi przodkowie. Trwało to jednak krótko. Po chwili Selim płakał, przepraszał, całował i wybaczano mu zwykle. Serce miał jak najlepsze, skłonność do szlachetnych porywów wielką. Był jednak roztrzepany, trochę lekkomyślny i hulaka niepohamowanego temperamentu. Jeździł konno, strzelał i fechtował się jak mistrz; uczył się średnio, bo mimo wielkich zdolności, trochę był próżniak. My obaj kochaliśmy się jak bracia, czubili często, godzili równie często i przyjaźń trwała niepożyta. Na wakacje i wszystkie święta połowę czasu albo ja przepędzałem w Chorzelach, albo on u nas. Jakoż i teraz, przyjechawszy z pogrzebu Mikołaja, miał już u nas pozostać do końca świąt Bożego Narodzenia.

Gdy tedy goście rozjechali się po obiedzie, była godzina może czwarta po południu. Krótki dzień zimowy kończył się; przez okna zaglądała wielka zorza wieczorna; na stojących pod oknami drzewach, pokrytych śniegiem i oblanych czerwonym blaskiem, poczęły łopotać i krakać wrony. Przez okna widać było całe ich stada, ciągnące nad stawem od boru i pławiące się w świetle wieczornem. W sali, do

której przeszliśmy po obiedzie, panowało milczenie. Pani d'Yves poszła do swego pokoju układać, jak zwykle kabałę; ksiądz Ludwik chodził wzdłuż komnaty miarowym krokiem i zażywał tabakę; dwie moje małe siostrzyczki przewracały się pod stołem na dywanie i trykając się główkami, płały sobie wzajemnie złote pukle włosów; Hania zaś, ja i Selim, siedząc pod oknem na kanapce, poglądaliśmy na staw od strony ogrodu, na bór za stawem i na niknący blask dzienny.

Wkrótce zrobiło się zupełnie szaro. Ksiądz Ludwik wyszedł odmawiać pacierze, jedna moja siostrzyczka pogoniła za drugą do przyległego pokoju; zostaliśmy sami. Selim począł już coś gwarzyć i szczebiotać, gdy Hania przysunęła się do mnie nagle i wyszeptała:

— Paniczu, mnie czegoś straszno: ja się boję.

— Nie bój się, Haniulko — odpowiedziałem, przyciągając ją do siebie. — Przytul się do mnie, ot tak. Póki jesteś przy mnie, nic ci się złego stać nie może. Patrz, ja się nie boję niczego i zawsze potrafię cię obronić.

Była to nieprawda, bo czy to z powodu mroku, pokrywającego salę, czy skutkiem słów Hani i niedawnej śmierci Mikołaja, i ja byłem pod jakimś dziwnym wrażeniem.

— Może każesz przynieść światło? — spytałem.

— Dobrze, paniczu.

— Mirza, każ Frankowi podać światło.

Mirza skoczył z kanapki i wkrótce za drzwiami posłyszeliśmy niezwykle tupotanie i hałas. Drzwi się

otworzyły z trzaskiem i wpadł jak wichher Franek, a za nim trzymający go za ramiona Mirza. Franek miał minę ogłupiałą i przestraszoną, bo Mirza trzymając go za ramiona, kręcił nim jak frygą i sam się obracał z nim razem. Poczem przywiódłszy go tym ruchem aż do kanapki, zatrzymał się i rzekł:

— Pan każe ci przynieść światło, bo panienka się boi. Co wolisz, czy przynieść światło, czy żebym ci głowę ukreślił.

Franek poszedł po lampę i wrócił z nią za chwilę; ale pokazało się, że światło razi zapłakane oczy Hani, więc Mirza je zgasił. Zostaliśmy znów pograżeni w tajemniczym mroku i znów zapanowało między nami milczenie. Teraz księżyc rzucał jasne, srebrne światło przez okna. Hania widocznie bała się, bo przytuliła się do mnie jeszcze mocniej, a przysięgałem ją trzymać za rękę. Mirza siadł naprzeciw nas na krześle i wedle swego zwyczaju, od hałaśliwego usposobienia przeszedł w zadumę i po chwili rozmarzył się jakoś. Cisza panowała między nami wielka, było nam trochę straszno, ale dobrze.

— Niech Mirza opowie nam jaką bajkę — rzekłem. On tak ślicznie opowiada. Dobrze Haniu?

— Dobrze — odpowiedziała dziewczynka.

Mirza podniósł w górę oczy i zamyślił się trochę. Księżyc oświecał jasno jego prześliczny profil. Po chwili zaczął opowiadać swoim drgającym, sympatycznym a przyciszonym głosem:

— Za lasami, za górami, żyła w Krymie pewna dobra wróżka, imieniem Lala. A raz przejeżdżał koło jej chaty sułtan, który nazywał się Harun i który

był bardzo bogaty: miał pałac z koralu z djamentowymi kolumnami, dach na tym pałacu był z pereł, pałac był tak wielki, że trzeba było iść rok, od końca do końca. Sam sułtan w zawoju nosił prawdziwe gwiazdy, zawój był z promieni słonecznych, na wierzchu zawoju był sierp księżyca, który pewien czarownik od księżyca odciął i sułtanowi podarował. Przejeżdża ten tedy sułtan koło wróżki Lali i płacze, ale tak płacze, tak płacze, że łzy padają na drogę, a gdzie łza padnie, tam wyrasta zaraz lilja biała.

— Czego płaczesz, sułtanie Harunie? — pyta go wróżka Lala.

— Jakże nie mam płakać — mówi sułtan Harun — kiedy mam tylko jedną córkę, piękną jak zorza poranna i muszę ją oddać czarnemu Dewswi o ognistych oczach, który co rok...

Mirza urwał nagle i umilkł.

— Śpi Hania? — wyszeptał do mnie.

— Nie, nie śpię, — odpowiedziała sennym głosem dziewczynka.

— Jakże nie mam płakać, — mówi do niej sułtan Harun (ciągnął Mirza), — kiedy mam tylko jedną córkę, którą muszę oddać Dewswi.

— Nie płacz sułtanie, mówi Lala, — siądź na skrzydlatego konia i jedź aż do groty Borach. Złe obłoki będą cię gonić po drodze, ale ty rzuć na nie temi oto ziarnkami maku i obłoki usną zaraz...

I tak dalej opowiadał Mirza, a potem urwał znowu i spojrzał na Hanię. Dziecina spała teraz rzeczywiście. Zmęczona była bardzo i zboląła, więc za-

snęła mocno. Obaj z Selimem nie śmieliśmy prawie oddychać, żeby jej nie obudzić. Oddech jej był równy, spokojny, przerywany tylko czasem głębokimi westchnieniami. Selim podparł ręką czoło i zamyślił się głęboko, ja zaś podniosłem oczy w niebo i zdawało mi się, że na skrzydłach aniołów ulatuję w niebieskie przestworza. Nie umiem wypowiedzieć słodczy, jaka przejmowała mnie całego, gdym czuł, że ta droga maleńka istota śpi spokojnie i z całym zaufaniem na mojej piersi. Jakieś drżenie przejmowało mnie całego; jakieś niezemskie, nowe, a nieznane głosy szczęścia rodziły mi się w duszy i poczęły śpiewać i grać jak kapela. Ach! jakże kochałem Hanię! jak ją kochałem miłością brata i opiekuna jeszcze, ale bez granic i miary.

Zbliżyłem cicho usta do warkocza Hani i ucałowałem go. Nie było w tem nic ziemskiego, bo ja i pocałunek byliśmy jeszcze jednakowo niewinni.

Mirza wzdrygnął się nagle i obudził z zadumy.

— Jakiś ty szczęśliwy, Henryku! — wyszeptał.

— Tak, Selimie.

Nie mogliśmy jednak wiecznie tak pozostawać.

— Nie budźmy jej i przenieśmy ją do jej pokoju — rzekł do mnie Mirza.

— Ja ją sam przeniosę, a ty tylko otwieraj drzwi — odpowiedziałem mu na to.

Wysunąłem delikatnie ramię z pod główki śpiącej, główkę zaś oparłem na kanapie. Poczem ostrożnie wziąłem Hanię na ręce. Byłem jeszcze dzieciak, ale pochodziłem z rodu ludzi nadzwyczaj silnych; dziecina zaś była drobna i wiotka, więc uniosłem

ją jak piórko. Mirza otworzył drzwi do przyległego oświetlonego pokoju i w ten sposób dotarliśmy aż do zielonego gabinetu, który przeznaczyłem na mieszkanie Hani. Łóżeczko było już tam posłane; na kominku trzaskał obfity ogień, a przed kominkiem siedziała, grzebiąc w węglach, stara Węgrowska, która ujrzawszy mnie obciążonego w ten sposób zawołała:

— A dla Boga! a toć paniczek podżwiga się dziewczyną. Nie można to było jej obudzić, żeby sama przyszła?

— Niech Węgrosia cicho będzie! — zawołałem gniewnie. — Panienska, nie „dziewczyna“, mówię, tylko panienska; czy Węgrosia słyszy? panienska zmęczona. Proszę jej nie budzić. Rozebrać i położyć cicho w łóżeczko. Niech Węgrosia pamięta, że to sierota i że dobrocią trzeba ją pocieszyć po dziadku.

— Sierota niebożątka, juści że sierota, — jęła zaraz powtarzać z rozrzewnieniem pocziwa Węgrowska.

Mirza pocałował za to babinę, poczem wróciliśmy na herbatę.

Mirza rozszalał się przy herbacie, zapomniawszy o wszystkim, ja jednak nie wtórowałem mu; raz, że byłem smutny, a powtóre, sądziłem, iż człowiekowi poważnemu, który już jest opiekunem, nie wypada dokazywać jak dzieciakowi. Tego wieczora Mirza oberwał jeszcze burę od księdza Ludwika za to, że podczas gdy mówiliśmy pacierze w kaplicy, on wyleciał na podwórze, wlaź na niski dach od lodowni i począł wyć. Psy podwórzowe oczywiście zleciały

się ze wszystkich stron i uczyniły taki harmider wtórzac Mirzie, że nie mogliśmy mówić pacierza.

— Czyś ty oszalał Selimie? — pyta ksiądz Ludwik.

— Ja, proszę księdza, modliłem się po mahometańsku.

— A ty smarkaczu! nie żartuj sobie z religii żadnej.

— A kiedy ja, proszę księdza, chcę zostać katolikiem, tylko się ojca boję. Co ja tam sobie robię z Mahometa!

Ksiądz uderzony w słabą stronę, zamilkł i poszliśmy spać. Mnie i Selimowi dano osobny pokój, bo ksiądz wiedział, że lubimy gawędzić, a nie chciał nam przeszkadzać. Kiedym się już rozebrał i zauważyłem, że i Mirza poczyną toż samo czynić bez pacieża, spytałem:

— Czy ty, Selimie, rzeczywiście nie modlisz się nigdy?

— A jakże. Chcesz, to zaraz zacznę.

I stanąwszy w oknie, wzniosł oczy na księżyc, wyciągnął do niego ręce i począł wołać śpiewnym głosem:

— O Allah! Akbar Allah! Allah Kerim!

Ubrany już tylko w bieliznę, z temi oczyma wzniesionemi ku niebu, śliczny był taki, że nie mogłem od niego wzroku oderwać.

Poczem zaczął mi się tłumaczyć:

— Co ja zrobię? — mówił. Ja w tego naszego proroka, co innym nie pozwalał mieć więcej jak jedną żonę, a sam miał ich tyle, ile mu się podo-

bało, nie wierzę. Przytem mówię ci, że lubię wino. Nikim innym jak mahometaninem być mi nie wolno, ale ja w Boga przecie wierzę i nieraz modłę się jak umiem. Czy ja co wiem wreszcie? Wiem, że jest Pan Bóg i kwita.

A po chwili już zaczął mówić co innego.

— Wiesz co, Henryk?

— Co?

— Mam pyszne cygara. Nie jesteśmy już dzieci: możemy palić.

— Dawaj.

Mirza wyskoczył z łóżka i wyjął paczkę cygar. Zapaliliśmy je, pokładłszy się oba i paliliśmy w milczeniu, spluwając tylko w sekrecie jeden przed drugim za łóżka.

Po chwili Selim ozwał się:

— Wiesz co, Henryku? Jak ja tobie zazdroszczę. Ty, to już jesteś naprawdę dorosły.

— Spodziewam się.

— Bo jesteś już opiekunem. Ach! żeby tak kto i mnie zostawił kogo na opiekę.

— Nie tak to łatwo, a zresztą, skądby się wzięła druga taka Hania na świecie. Ale wiesz co? — mówiłem dalej tonem dorosłego sensata — wiesz co, ja spodziewam się, że nawet już do szkół nie pójdę. Człowiek, który ma takie obowiązki w domu, nie może chodzić do szkół.

— I... bredzisz. Cóżto, nie będziesz się nic więcej uczył. A szkoła główna?

— Przecie mnie znasz, że uczyć się lubię, ale

obowiązek przedewszystkiem. Chyba, że rodzice poślą ze mną Hanię do Warszawy.

— Ani im się będzie śniło.

— Póki jestem w klasach, to pewno, że nie, ale jak zostanę akademikiem, to mi ją oddadzą. Cóż to, ty nie wiesz co to znaczy akademik?

— Ba! ba! A może być. Będziesz się nią opiekował, a potem się z nią ożenisz.

Aż siadłem na łóżku.

— Mirza, czyś ty oszalał!

— A dlaczego by nie. W klasach, to się człowiekowi ożenić nawet nie wolno, ale akademikowi wolno. Akademik to nie tylko żonę mieć może, ale nawet i dzieci. Ha! ha!

Ale w tej chwili, prerogatywy i wszelkie przywileje akademickie nie obchodziły mnie ani trochę. Pytanie Mirzy rozświeciło, niby błyskawicą, te strony serca mojego, które i dla mnie były jeszcze ciemne. Tysiące myśli, niby tysiące ptaków, przeleciało mi nagle przez głowę. Ożenić się z moją drogą, ukochaną sierotką, tak! to była błyskawica, nowa błyskawica myśli i uczuć. Zdawało mi się, że nagle w ciemność mego serca ktoś wniósł światło. Miłość lubo głęboka, ale braterska dotąd, poróżniewała nagle od tego światła i ogrzała się od niego nieznanem ciepłem. Ożenić się z nią, z Hanią, z tym jasnowłosym aniołkiem, z moją najdroższą, najukochańszą Hanią... Słabym już i cichszym głosem powtórzyłem, jak echo, poprzednie pytanie:

— Mirza, czyś ty oszalał?

— Założyłbym się, że się już w niej kochasz — odparł Mirza.

Nie odrzekłem nic, zgasilem światło, potem porwałem róg poduszki i pocałem go całować.

Tak! już ją kochałem.

III.

Drugiego czy trzeciego dnia po pogrzebie, przyjechał wezwany telegramem mój ojciec. Drżałem, żeby nie odwołał moich względem Hani rozporządzeń i przecucia moje spełniły się do pewnego stopnia. Ojciec pochwalił mnie i uściskał za gorliwość i sumienność w spełnianiu obowiązków; cieszyło go to widocznie. Powtórzył nawet kilkakrotnie: nasza krew! co powtarzał wtedy tylko, kiedy był bardzo ze mnie kontent; nie domyślił się wcale, o ile ta gorliwość była już interesowną, ale rozporządzenia moje niezbyt mu się podobały. Być może, że przyczyniły się do tego trochę zbyt przesadzone opowiadania pani d'Yves, choć rzeczywiście w ostatnich dniach po owej nocy, w której uczucia moje doszły do świadomości, uczyniłem z Hani pierwszą osobę w całym domu. Również nie podobał mu się projekt kształcenia, tak jak miały się kształcić moje siostry.

— Nie odwołuję i nie cofam nic. To rzecz twojej matki — mówił do mnie. — Ona postanowi co zechce. To jej wydział. Ale warto się zastanowić, jak będzie lepiej dla samej dziewczyny.

— A wszakże ukształcenie, mój ojcie, nie zaszkodzi nigdy. Sam nieraz z twoich ust słyszałem.

— Tak, w mężczyźnie — odpowiedział — bo mężczyźnie ukształcenie daje pozycję, ale z kobietami inna rzecz. W kobiecie wykształcenie powinno być zastosowane do pozycji, jaką ona w przyszłości ma zająć. Taka dziewczyna nie potrzebuje innego, jak średniego wykształcenia; nie potrzebuje francuszczyzny, muzyki i tym podobnie. Ze średnim wykształceniem Hania prędzej sobie znajdzie męża jakiegoś uczciwego oficjalistę...

— Ojcie!

Spojrzał na mnie zdziwiony.

— Co tobie jest?

Byłem czerwony jak burak. Krew mało mi nie wytrysła z twarzy. W oczach zrobiło mi się ciemno. Zestawienie Hani z oficjalistą wydało mi się takim bluźnierstwem wobec świata moich marzeń i nadziei, że nie mogłem powstrzymać krzyku oburzenia. A bluźnierstwo owo zabolalo mnie tembardziej, że wyszło z ust ojca. Było to pierwsze oblanie zimną wodą gorącej wiary młodzieńczej przez rzeczywistość, pierwszy pocisk, wymierzony przez życie w czarowny gmach złudzeń: pierwszy taki zawód i rozczarowanie, od goryczy których bronimy się pesymizmem i niewiarą. Ale jak rozpalone żelazo, gdy upadnie nań kropla zimnej wody, syknie tylko i wnet w parę i nicość ją zamieni, tak i gorąca dusza ludzka. Pod wpływem pierwszego dotknięcia zimnej dłoni rzeczywistości, syknie wprawdzie z bólu,

lecz wnet i samą rzeczywistość własnym żarem ogrzewa.

Słowa ojca więc zraniły mnie na razie i to zraniły mnie w dziwny sposób, bo pod wpływem ich uczułem urazę nie do ojca, ale jakby do Hani; wkrótce jednak, mocą owego wewnętrznego oporu, jaki ma się tylko w latach młodzieńczych, wyrzuciłem je jak najdalej z duszy i na zawsze. Ojciec uniesienia mego nie rozumiał i przypisał je zbyt niemu przejęciu się powierzonymi mi obowiązkami, co zresztą w moim wieku było naturalnem, a co, zamiast rozgniewać, pochlebiło mu tylko i osłabiło jego niechęć do wyższego kształcenia Hani. Umówiłem się z ojcem, że napiszę list do matki, która przez długi czas miała bawić zagranicą i poproszę jej, aby wydała ostateczne w tym względzie postanowienie. Nie pamiętam, abym kiedykolwiek napisał list równie długi i równie serdeczny. Opisałem w nim matce śmierć starego Mikołaja, jego ostatnie słowa, moje pragnienia, obawy, nadzieje; poruszyłem strunę litości, tak żywo zawsze drgającą w jej sercu, odmalowałem niepokój sumienia, jaki oczekiwałby mnie niezawodnie, gdybyśmy dla Hani nie uczynili wszystkiego, co leży w naszej mocy; słowem, wedle mego ówczesnego zdania, list mój był prawdziwym w swoim rodzaju arcydziełem, które musiało wywrzeć swój skutek. Uspokojony tem cokolwiek, oczekiwałem cierpliwie odpowiedzi, która nadeszła aż w dwóch listach; w jednym do mnie, w drugim do pani d'Yves. Wygrałem bitwę na wszystkich punktach. Matka moja nietylko że zgodziła się na wyższe

wykształcenie Hani, ale jak najusilniej je polecała. „Pragnęłabym (pisała moja dobra matka), aby, jeżeli się to z wolą ojca zgadza, Hania uważana była pod każdym względem, jak należąca do naszej rodziny. Winniśmy to pamięci starego Mikołaja, jego dla nas sercu i poświęceniom“. Triumf mój tedy był zarówno wielki, jak zupełny, a dzielił go ze mną całłem sercem Selim, którego wszystko, co tyczyło Hani, obchodziło tak, jak gdyby sam był jej opiekunem.

Co prawda nawet, to sympatja, jaką czuł i troskliwość, jaką okazywał dla sierotki, poczynąły mnie trochę gniewać tem bardziej, że od owej pamiętnej dla mnie nocy, w której doszedłem do świadomości własnych uczuć, stosunki moje z Hanią odmieniły się znacznie. Czułem się z nią jakby złapanym. Owa serdeczność i dziecinna poufałość z mojej strony znikła zupełnie. Zaledwie kilka dni temu dziewczynka usnęła spokojnie na mej piersi; na samą myśl o tem, włosy jeżyły mi się na głowie. Przed kilku dniami na dzieńdobry i dobranoc całowałem jak brat, blade jej usteczka, teraz dotknięcie jej ręki paliło mnie, lubo przejmowało rozkosznem drżeniem. Poczynałem ją czcić tak, jak zwykle się czci przedmiot pierwszej miłości, a gdy dziewczeczka niewinna nie domysłająca się niczego i nie wiedząca o niczem, garnęła się po dawnemu do mnie, gniewałem się w duszy i na nią, siebie zaś poczytywałem za świętokradcę.

Miłość przyniosła mi nieznane szczęście, ale i nieznane umartwienia. Gdybym miał być powierzyć

komu moje umartwienia, gdybym mógł był płakać czasem na czyjej piersi, do czego, mówiąc nawiasem, miałem nieraz dziwną ochotę, byłbym połowę ciężaru zdjął niezawodnie z duszy. Mogłem wprowadzić wyznać wszystko Selimowi, ale obawiałem się jego usposobienia. Wiedziałem, że w pierwszej chwili odczuje całym sercem moje słowa, ale któż mi mógł zaręczyć, czy na drugi dzień nie wyśmiejemy mnie z właściwym sobie cynizmem i lekkomyślnymi słowy nie pokala mego ideału, którego żadną myślą płochą dotknąć nie śmiałem. Charakter miałem zawsze dość zamknięty w sobie, a przytem między mną a Selimem była jedna wielka różnica. Oto ja zawsze byłem trochę sentymentalny, Selim nie miał w sobie za grosz sentymentalizmu. Ja mogłem kochać tylko na smętno, Selim tylko na wesoło. Ukrywałem więc swoją miłość przed wszystkimi, prawie że i przed sobą samym i istotnie nikt jej nie dostrzegł. W kilka dni, nigdy nie widząc żadnych wzorów, nauczyłem się instynktem pozorować wszystkie tej miłości objawy: często trafiające mi się pomieszanie, rumieńce, jakimi oblewałem się, gdy Hanię przy mnie wspominało; słowem, rozwinąłem niepomierłą chytryść; tę chytryść, z pomocą której nieraz szesnastoletni chłopak potrafi wywieść w pole najbaczniejsze, czuwające nad nim oko. Hani wyznać moich uczuć nie miałem najmniejszego zamiaru. Kochałem ją i dość mi było tego. Czasem tylko, gdyśmy pozostawali sami, popychało mnie coś, żeby naprzykład klęknąć przed nią, lub ucałować brzeżek jej sukienki.

Selim tymczasem warjował, śmiał się, dowcip-

kował i był wesoły za nas obydwóch. On to pierwszy wywołał uśmiech na twarzy Hani, gdy pewnego razu przy śniadaniu zaproponował księdzu Ludwikowi, by przeszedł na mahometańską wiarę i ożenił się z panią d'Yves. Obrażliwa dosyć Francuzka i ksiądz nawet gniewać się nie mogli, bo jak się przymilił do niej, jak się spojrzał swemi oczyma a uśmiechnął, tak skończyło się wszystko na lekkim połajaniu i wzajemnym śmiechu. W postępowaniu jego z Hanią znać było pewną czułość i troskliwość, ale w tym stosunku przemagała wrodzona mu wesołość. Był z nią o wiele poufalszy niż ja. Widać było, że i Hania lubi go bardzo, bo ile razy wchodził do pokoju, tyle razy stawała się weselszą. Ze mnie, a raczej z mojego smutku, żartował sobie ustawicznie, biorąc go za sztuczną powagę człowieka, któremu gwałtem chce się być dorosłym.

— Obaczycie wszyscy, że on księdzem zostanie — mówił.

Wówczas ja puszczałem pierwszy lepszy przedmiot, aby schyliwszy się po niego, pokryć rumieńce, jakie były mi na twarzy; ksiądz Ludwik zaś zażywał tabaki i odpowiadał;

— Na chwałę Bożą, na chwałę Bożą!

Ale tymczasem skończyły się święta Bożego Narodzenia. Moje słabe nadzieje, że zostanę już w domu, nie sprawdziły się ani trochę. Wielkiemu opiekunowi oświadczonego pewnego wieczora, aby nazajutrz rano gotów był do drogi. Potrzeba było jechać rano, bo musieliśmy jeszcze wstąpić do Chorzeli, gdzie Selim miał się pożegnać ze swoim ojcem. Jakoż wsta-

liśmy o szóstej godzinie, jeszcze pociemku. Ach! dusza moja była tak ponurą wówczas, jak ów ranek zimowy, ciemny i wietrzny. Selim był także w jak najgorszym humorze. Zaraz wylazszy z łóżka oświadczył, że świat jest głupi i jak najnędzniej urządzony, na co zgodziłem się zupełnie; poczem oba ubrawszy się, udaliśmy się ze stancji do dworu na śniadanie. Na dworze było ciemno, drobne płatki ostrego śniegu kręczone wichrem, uderzały o nasze twarze. Okna sali jadalnej były już oświecone. Przed gankiem stały zaprzężone sanki, na które znoszono nasze rzeczy; konie potrzasały dzwoneczkami, psy szczekały koło sani: wszystko to razem wzięte stanowiło, dla nas przynajmniej, tak posępny obraz, że aż serce ścisnęło się na jego widok. Wszedłszy do jadalnego pokoju zastaliśmy ojca i księdza Ludwika, obu chodzących z poważnemi twarzami, Hani zaś nie było. Z bijącym sercem poglądałem na drzwi zielonego gabinetu, czy też nie wyjdzie, czy odjadę nawet bez pożegnania. A tymczasem ojciec z księdzem Ludwikiem poczęli dawać nam rady i prawić morały. Obaj zaczęli od tego, że jesteśmy już w tym wieku, iż nie potrzeba nam powtarzać, co znaczy praca i nauka a jednak obaj nie mówili o czem innem. Słuchałem itego wszystkiego piąte przez dziesiąte, gryząc grzank i polykając ze ściśniętem gardłem ciepłą polewkę winną. Nagle serce zabiło mi tak silnie, że ledwie mogłem usiedzieć na krześle, bo w pokoju Hani usłyszałem jakiś szelest. Otworzyły się drzwi i weszła... ubrana w ranny szlafroczek i w papiloty, pani

d'Yves, która uściskała mnie czule, a której za zawód, jakiego doznałem, miałem ochotę rzucić szklankę z polewką na głowę. I ona także wyraziła nadzieję, że tak słuszną młodzież będzie się pewno uczyć doskonale, na co Mirza odpowiedział, że pamięć jej papilotów doda mu sił i wytrwania w pracy: Hania tymczasem nie pokazywała się.

Nie było mi jednak przeznaczonem wychylić ten kielich goryczy aż do dna. Gdy wstaliśmy od śniadania, Hania wyszła z gabinetu, zaspana jeszcze, cała różowa, z potarganemi włosami na główce. Gdy uścisnąłem ją za rękę na dzieńdobry, ręka ta była gorąca. Zaraz przysłała mi do głowy myśl, że Hania ma gorączkę z powodu mego wyjazdu i odegrałem w duszy całą scenę, ale było to poprostu ze snu. Po chwili ojciec z księdzem Ludwikiem poszli po listy, aby je nam oddać do Warszawy, Mirza zaś wyjechał za drzwi na ogromnym psie, który przed chwilą wszedł do pokoju. Zostałem z Hanią sam na sam. W oczach kręciły mi się łzy, z ust wydierały mi się gwałtem czule i gorące słowa. Nie miałem zamiaru wyznać, że ją kocham, ale parło mnie, żeby jej powiedzieć coś takiego, jak: moja droga, ukochana moja Haniu! i ucałować przytem jej ręce. Była to jedyna sposobna chwila do takiego wybuchu, bo przy ludziach, choć mogłem to uczynić bez zwrócenia czyjejkolwiek uwagi, alebym nie śmiał. Chwilę tę jednak zmarnowałem najhaniebniej. Już, już zbliżyłem się do niej, już wyciągnąłem ku niej rękę, ale uczyniłem to jakoś niezgrabnie i nienaturalnie, takim

nieswoim głosem wyrzekłem: „Haniu!” że cofnąłem się natychmiast i umilkłem. Miałem ochotę się spoliczkować. Tymczasem sama Hania zaczęła:

— Mój Boże! jak to smutno będzie bez panicza!

— Przyjadę na Wielkanoc — odpowiedziałem szorstko, niskim, nieswoim basem.

— A do Wielkanocy tak daleko.

— Wcale niedaleko — mruknąłem.

W tej chwili wpadł Mirza, a za nim ojciec mój, ksiądz Ludwik, pani d'Yves i jeszcze kilkoro ludzi. Wyrazy: „siadać! siadać!” zabrzmiały mi w uszach. Wyszliśmy wszyscy na ganek. Tu ojciec, ksiądz Ludwik, brali mnie pokolei w ramiona. Gdy przyszła kolej żegnania się z Hanią, miałem niepohamowaną ochotę porwać ją w objęcia i ucałować po dawnemu ale nie zdobyłem się i na to.

— Bądź zdrowa, Haniu — rzekłem, podając jej rękę, a w duszy płakało mi sto głosów i sto najczulszych pieszczonych wyrazów na ustach.

Nagle spostrzegłem, że dziewczynka płacze i również nagle ozwał się we mnie ten przekorny szatan, ta niepohamowana chęć do rozdrapywania ran własnych, jakiej nieraz doświadczyłem później w życiu; więc choć serce pękało w kawałki, ozwałem się zimno i szorstko:

— Nie rozczulajże się bez powodu, moja Haniu — to rzekłszy, siadłem do sanek.

Tymczasem Mirza żegnał się ze wszystkimi. Przybiegłszy do Hani, porwał jej obie ręce i mimo, że dziewczynka się wydierała, począł całować zapamiętale to jedną to drugą. Ach! jakąż miałem ochotę

wybić go w tej chwili. Wycalowawszy Hanię, wskoczył do sanek. Ojciec krzyknął: „ruszaj!” Ksiądz Ludwik począł żegnać nas krzyżykiem na drogę. Furman krzyknął: „hetta! ho!” na konie: zabręczały dzwonki, zaszumiał śnieg pod płozami i ruszyliśmy w drogę.

— Łotrze! rozbójniku! — zacząłem wołać na się w duszy. — Tak to pożegnałeś swoją Hanię! dokuczyłeś jej, połajałeś za lzy, których jesteś nie wart... za lzy sieroce...

Podniosłem kołnierz od futra i rozplakałem się sam jak małe dziecko, ale cicho, bo bałem się, żeby nie schwytał mnie na płaczu Mirza; pokazało się jednak, że Mirza widział to doskonale, tylko że sam był wzruszony, więc nie powiedział mi nic narazie. Nie dojechaliśmy jeszcze jednak do Chorzela, gdy ozwał się:

— Henryk!

— Co?

— Beczysz?

— Daj mi pokój.

I znowu zapanowało między nami milczenie. Ale po chwili Mirza znów:

— Henryk!

— Co?

— Beczysz?

Nie odpowiedziałem nic; nagle Mirza pochylił się, złapał ręką śniegu, podniósł mi czapkę, rozprószył mi śnieg na głowie i przykrył ją znowu, mówiąc:

— To cię ochłodzi.

IV.

Na Wielkanoc nie powróciłem do domu, bo bliski egzamin *maturitatis* stanął temu na przeszkodzie. Przytem ojciec mój życzył sobie, abym jeszcze przed rozpoczęciem roku uniwersyteckiego zdał egzamin wstępny do szkoły głównej, wiedział bowiem, że przez wakacje nie będzie mi się chciało pracować i że niezawodnie zapomnę przynajmniej połowę z tego, czegom się w szkołach nauczył. Pracowałem więc bardzo usilnie. Oprócz zwykłych godzin gimnazjalnych i pracy do egzaminu *maturitatis*, braliśmy z Selimem jeszcze lekcje specjalne od młodego akademika, który, sam niedawno do szkoły głównej wstąpiwszy, wiedział najlepiej czego do niej potrzeba.

Były to czasy dla mnie pamiętne, bo wtedy to runęła cała budowa moich pojęć i wyobrażeń, tak mozolnie wznoszona przez księdza Ludwika, ojca i całą atmosferę naszego cichego gniazda. Młody akademik był wielki radykał pod każdym względem. Wykładając mi historję rzymską, tak dobrze umiał przy reformach Gracchów udzielić mi swego obrzydzenia i pogardy dla wielkiej oligarchji, że moje arcy-szlacheckie przekonania rozwiały się jak dymek. Z jakąż głęboką wiarą wypowiadał naprzykład mój młody nauczyciel, że człowiek, który ma wkrótce zająć potężne i zewszehmiar wpływowe stanowisko studenta uniwersytetu, powinien być wolnym od wszelkich „przesądów“ i nie patrzeć na nic, jak z politowaniem prawdziwego filozofa. Wogóle był zdania, że do rządzenia światem i do wywierania

potężnego na całą ludzkość wpływu, człowiek najzdolniejszym jest między ośmnastym a dwudziestym trzecim rokiem życia, później bowiem staje się zwolna idiotą czyli konserwatystą.

O ludziach, nie będących ani studentami, ani profesorami uniwersytetu, odzywał się z litością; miał jednak pewne swe ideały, które nigdy nie schodziły z jego ust. Pierwszy raz wtedy dowiedziałem się o istnieniu Moleschotta, Büchnera, dwóch uczonych, których najczęściej cytował. Trzeba było słyszeć naszego preceptora, z jakim zapalem mówił o zdobyczach naukowych ostatnich czasów, o wielkich prawdach, które ślepa przesądna przeszłość omijała, a które z niesłychaną odwagą najnowsi uczeni podnieśli „z pyłu zapomnienia“ i ogłosili całemu światu. Wypowiadając podobne zdania, potrzasał bujną kręconą czupryną i wypalał niesłychaną ilość papierosów, zaręczając przytem, iż taką ma już do tego wprawę, że mu wszystko jedno, czy puszczać dym nosem, czy ustami i że niema w Warszawie człowieka, coby się tak zaciągał. Potem zwykle wstawał, nakładał płaszcz, przy którym brakowało większej połowy guzików i oświadczał, że się musi śpieszyć, bo ma dziś jeszcze „maleńkie spotkanie“. To mówiąc, przymrużał w tajemniczy sposób oko i dodawał, że zbyt młody wiek mój i Mirzy, nie pozwala mu udzielić nam bliższych c owem „spotkańku“ informacji, ale że później i bez jego objaśnienia zrozumiemy, co to znaczy.

Przy tem wszystkiem, co rodzicom naszym w młodym akademiku zapewne nie podobało się bardzo,

miał on swoje prawdziwe dobre strony. Oto umiał dobrze sam to, czego nas uczył, a przytem był to prawdziwy fanatyk nauki. Buty nosił dziurawe, płaszcz wytarty, czapkę jak stare gniazdo, grosza nigdy nie miał przy duszy, ale myśl jego nigdy nie biegła w stronę kłopotów osobistych, biedy, nędzy prawie. Żył namiętnością nauki, a o swoją osobistą dolę wesołą nie dbał. My z Mirzą uważaliśmy go za jakąś wyższą nadprzyrodzoną istotę, za ocean mądrości, za niewzruszoną powagę. Wierzyliśmy święcie, że jeśli kto uratuje ludzkość w razie jakiegoś niebezpieczeństwa, to niezawodnie on, ów imponujący genjusz, który zresztą i sam zapewne był tegoż zdania. Ale Ignęliśmy do jego przekonań jak na lep. Co do mnie, zachodziłem może dalej nawet niż mistrz. Było to naturalną reakcją mego dotychczasowego wychowania, a przytem rzeczywiście młody akademik otworzył mi wrota do nieznanych światów wiedzy, wobec których kółko moich pojęć było arcy-ciasnem. Olśniony temi nowemi prawdami, nie miałem czasu zbyt wiele myśli i marzeń poświęcać Hani. Z początku, zaraz po przyjeździe, nie rozstawałem się z moim ideałem. Listy, jakie otrzymywałem od niej, podsycały ten ogień na ołtarzu mego serca, ale wobec oceanu idei młodego akademika, cały nasz światek wiejski, taki cichy, spokojny, począł coraz drobnieć i zmniejszać się w moich oczach a z nim razem nie znikła wprawdzie, ale jakby zasnuła się lekką mgłą postać Hani. Co do Mirzy, ten szedł narówni ze mną drogą gwałtownych reform, a o Hani myślał tem mniej, że naprzeciw stancji

naszej było okno, w którem siadywała pensjonarka Józia. Owóż Selim począł do niej wdychać i po całych dniach poglądali na siebie z dwóch okien, jak dwa ptaki z klatek. Selim utrzymywał z niezachwianą pewnością, że „ta, albo żadna“. Nieraz bywało, położywszy się na wznak na łóżku, uczy się, uczy, a potem ciska książkę na ziemię, zrywa się, chwytając mnie i krzyczy, śmiejąc się jak warjat:

— O, moja Józio! jak ja ciebie kocham!

— Idź do licha, Selimie — mówię mu.

— Ach! to ty, nie Józia — odpowiedział po francusku Selim i powracał do książki.

Nakoniec nadeszły czasy egzaminów. Zdaliśmy je, obaj z Selimem, i maturę i wstępny uniwersytecki bardzo pomyślnie, poczem już byliśmy wolni jak ptaki, ale trzy dni jeszcze zabawiliśmy w Warszawie. Użyliśmy tego czasu na sprawienie sobie akademickich mundurów i na obchód uroczystości, którą nasz mistrz uważał za niezbędną, to jest na inauguracyjne upicie się we trzech, w pierwszym lepszym sklepie winnym.

Po drugiej butelce, kiedy mnie i Selimowi kręciło się już w głowie, a na policzki naszego mistrza, a obecnie kolegi, wystąpiły rumieńce, nagle niezwykle rozczulenie i skłonność do serdecznych wylewów opanowała nasze serca, mistrz zaś rzekł:

— No, wysłiście na ludzi, moje chłopaki i świat stoi przed wami otworem. Możecie teraz bawić się, wyrzucać pieniądze, grać paniczów, kochać się, ale ja wam powiem, że to głupstwa są. Takie życie na zewnątrz, bez myśli, dla której się żyje i pracuje

i walczy, to także głupstwo. Ale żeby żyć rozumnie i walczyć mądrze, potrzeba trzeźwo patrzeć na rzeczy. Co do mnie, myślę, że patrzę trzeźwo. Ja tam w nic nie wierzę, czego się sam nie dotknę i wam radzę toż samo. Dalibóg, tyle jest dróg życia i myśli na świecie a wszystko w takim zamęcie, że trzeba, djabeł wie jakiej głowy, żeby nie zbłądzić. Ale ja trzymam się nauki i basta. Na fatalaszki mnie nie złapią; że życie jest głupie, o to nikomu butelki na łbie nie rozbiję, ale jest wiedza. Gdyby nie to, strzeliłbym sobie w łeb. Do tego, zdaniem mojem, każdy ma prawo i zrobię to niezawodnie, jak tylko w tej mierze zbankrutuję. Ale na tem się nie zbankrutuje. Zawiedziesz się na wszystkim: kochasz, oszuka cię kobieta; wierzysz, nadejdzie chwila zwątpienia; a nad badaniem przewodu pokarmowego wymoczków, to możesz siedzieć spokojnie do śmierci i ani się obeszysz, jak pewnego dnia zrobi ci się głupio jakoś i jakoś ciemno, a to już i kres: klepsydra, portret w ilustracji, mniej więcej głupi życiorys, *finita komedia!* Potem już nic: daję wam na to słowo, moje pępraki. Możecie śmiało w żadne bzdurstwa nie wierzyć. Nauka, moje smyki, to grunt. A przytem ma to wszystko jeszcze tę dobrą stronę, że zajmując się podobnemi rzeczami, możesz śmiało chodzić w dziurawych butach i sypiać na sienniku. Nie robi ci to żadnej różnicy. Rozumiecie.

— Na zdrowie i na cześć nauki! — wykrzyknął Selim, którego oczy świeciły, jak węgle.

Mistrz odrzucił ręką w górę ogromną wełnistą czuprynę, wychylił kieliszek, następnie zaciągnąwszy

się dymem, puścił nosem dwa jego ogromne strumienie i mówił dalej:

— Obok nauk ścisłych — Selim, tyś już urznięty! — obok tedy nauk ścisłych, jest jeszcze filozofja i są idee. Tem się także zapełnia życie po brzegi. Ale ja wolę nauki ścisłe. Z filozofji, a zwłaszcza idealno-realnej, to powiem wam nawet, że ja sobie drwię. To jest gadanie. Goni niby za prawdą, ale goni jak pies za własnym ogonem. A i wogóle nie cierpię gadaniny: ja lubię fakta. Z wody sera nie wyciśniesz. Co do idei, to inna rzecz. Dla nich warto łba nadstawić, ale wy i ojcowie wasi, chodźcie głupkami drogami. Ja wam to powiadam. Niech żyją idee!

Wychyliliśmy znowu kieliszki. Z czupryn nam się dymiło. Ciemna izba sklepowa zdała się nam ciemniejszą jeszcze; świeca na stole paliła się mdłym światłem: dym przesłaniał ryciny zawieszone na ścianach. Za oknem na podwórzu dziad śpiewał pieśń nabożną: „Święta niebieska, pani anielska!“ i w przestankach przegrywał smutną dziadowską melodję na skrzypcach. Dziwne uczucia napęliły mi piersi. Wierzyłem słowom mistrza, ale czułem, że nie wypowiedział jeszcze wszystkiego, co może wypełnić życie. Czegoś mi brakło, jakieś tęskne uczucie owładnęło mną mimowoli; więc pod wpływem rozmarzenia, wina i chwilowej egzaltacji, ozwałem się z cicha:

— A kobieta, panie! a kobieta kochająca, poświęcona, czy nic w życiu nie zaważy?

Selim począł śpiewać:

Kobieta zmienna jest:

Głupi kto ufa jej!

Mistrz spojrział na mnie szczególnym wzrokiem, jak gdyby myślał o czym innym, ale wkrótce otrząsnął się i mówił:

— Oho! już pokazał koniec sentymentalnego ucha. Wiesz ty, że Selim daleko prędzej wyjdzie na ludzi niż ty. Ciebie lichy porwie. Strzeż się, strzeż się, mówię ci, żeby ci w drogę nie wlaźła jaka spódniczka i nie popsuka życia. Kobieta! kobieta! (tu mistrz przymrużył wedle zwyczaju oko) znam ją trochę ten towar. Nie mogę się skarżyć, dalibóg, nie mogę się skarżyć. Ale wiem i to, że djabłu nie trzeba podawać palca, bo zaraz całą rękę porwie. Kobieta! miłość! ale nasze nieszczęście jest, że z głupstw robimy wielkie rzeczy. Chcesz się tem bawić, tak jak ja, to się baw, ale życia w to nie kładź. Miejcież raz rozum i za fałszywy towar nie płąćcie dobremi pieniędzmi. Czy myślicie, że ja narzekam na kobiety? Ani mi się śni. Owszem, ja je lubię, ale nie daję się brać na plewy własnej wyobraźni. Pamiętam, kiedyś się kochał raz pierwszy w niejakej Loli, to myślałem, że na przykład sukienka jej to świętość, a to był perkal. Ot co. Czy ona winna, że chodziła po błocie, zamiast latać po niebie: nie! to ja głupi, gwałtem przyprowadziłem jej skrzydła. Mężczyzna jest sobie dosyć ograniczonem zwierzęciem. Nosi jeden i drugi w sercu, Bóg wie jaki ideał, a że przytem czuje potrzebę kochać, więc spotkawszy pierwszą lepszą gąskę, mówi sobie: „to ta”. Potem

poznaje, że się mylił i skutkiem tej małej pomyłki lichy go bierze lub idjocieję na całe życie.

— Jednak przyznajesz pan — rzekłem — że mężczyzna czuje potrzebę kochania i sam zapewne czujesz tę potrzebę tak jak inni.

Zaledwie dostrzegalny uśmiech przemknął po ustach mistrza.

— Każdej potrzebie — odparł — rozmaicie można zadość uczynić. Ja sobie radzę po swojemu. Mówiłem już, że z głupstw nie robię wielkich rzeczy. Jestem trzeźwy, dalibóg, trzeźwiejszy niż nieraz. Ale widziałem wielu ludzi, którym się życie porwało i poplątało jak nić dla jednej podwiki, więc powtarzam, że całego życia kłaść w to niewarto, że są rzeczy lepsze i cele wyższe i że miłość to furda. Za zdrowie trzeźwości!

— Za zdrowie kobiet! — krzyknął Selim.

— Dobrze! niech będzie — odparł mistrz. — Są to przyjemne stworzenia, byle ich nie brać zbyt serjo. Za zdrowie kobiet!

— Za zdrowie Józi! — krzyknąłem, trącając w kieliszek Selima.

— Czekaj! teraz na mnie kolej — odparł — Zdrowie... zdrowie twojej Hani! Jedna warta drugiej.

Zagrała we mnie krew, a z oczu sypnęły mi się skry.

— Milcz ty, Mirza! — krzyknąłem. — Nie wymawiaj mi w knajpie tego imienia!

To mówiąc, rzuciłem kieliszek o ziemię, aż przysnął na tysiąc części.

— Czyś oszalał! — zawołał mistrz.

Ale ja nie oszalałem wcale, tylko gniew we mnie kipiał i palił się jak płomień. Mogłem słuchać wszystkiego, co o kobietach mówi mistrz, mogłem nawet sobie w tem podobać, mogłem z nich drwić narówni z innymi; ale wszystko to mogłem czynić dlatego, że nie stosowałem słów i drwinek do nikogo z moich, że mi i na myśl nawet nie przyszło, by teoria ogólna do drogich mi osób miała być stosowaną. Ale usłyszawszy imię mojej przeczystej sierotki, rzucone lekkomyślnie w tej knajpie, wśród dymu, brudów, próżnych butelek, korków i cynicznej rozmowy, sądziłem, że usłyszał tak obrzydłe świętokradztwo, takie pokalanie i taką krzywdę wyrządzoną Haniuli, iż z gniewu straciłem prawie przytomność.

Mirza przez chwilę patrzył na mnie zdumiony, lecz potem szybko i jego twarz poczęła ciemnieć, oczy skrzyć się, na czoło wystąpiły mu węzły żył, a rysy przeciągnęły się i stały ostre jak u prawdziwego Tatara.

— Ty mi bronisz mówić co mi się podoba! — zawołał głuchym, przerywanym przez szybki oddech głosem.

Na szczęście mistrz w tej chwili wpadł między nas.

— Nie godniście mundurów, które nosicie! — zawołał. — Cóż to, będziecie się bili, czy za uszy się porwiecie jak szkolne żaki? Ot filozofowie, którzy sobie szklanki o głowy rozbijają. Wstydźcie się! Wam to rozprawiać o kwestjach ogólnych! Wstydźcie się! Z walki pojęć do walki na pięście. Dalejże! a ja wam powiadam, że wnoszę toast na cześć uniwersytetów i że jesteście trutnie, jeżeli się nie trą-

cicie zgodnie i jeżeli zostawicie choć kroplę w kieliszkach.

Ochłonęliśmy obaj. Selim jednak, choć więcej pijany, ochłonął pierwszy.

— Przepraszam cię — rzekł miękkim głosem — jestem głupiec.

Uściskaliśmy się serdecznie i wychylili kieliszki do dna na cześć uniwersytetów. Potem mistrz zain-tonował: *Gaudeamus*. Przez szklane drzwi, prowadzące do sklepu, kupczyki poczęli nam się przypa-trywać. Na dworze zmierzchało się. Byliśmy wszyscy pijani co się nazywa. Wesołość nasza doszła do zenitu i poczęła się zwolna załamywać. Mistrz pierwszy popadł w zadumę i po jakimś czasie rzekł:

— Wszystko to dobre, ale, razem wzięwszy, życie jest głupie. To są wszystko sztuczne środki, a co tam temu w duszy się dzieje, to inna rzecz. Jutro podobne do dziś: taż sama bieda, cztery gołe ściany, siennik, dziurawe buty i... bez końca. Praca i praca, a szczęście... et! Człowiek się oszukuje jak może i zagłusza... Bywajcie zdrowi!

To mówiąc, założył na głowę czapkę z oberwanym daszkiem, wykonał kilka mechanicznych ruchów, mających na celu zapięcie munduru na nieistniejące guziki, zapalił papierosa i machnąwszy ręką, rzekł:

— No! zapłaćcie tam, bom ja goły i bądźcie zdrowi. Możecie o mnie pamiętać lub nie. Wszystko mi jedno. Ja tam nie jestem sentymentalny. Bądźcie zdrowi moje poczciwe chłopaki...

Ostatnie słowa wyrzekł głosem wzruszonym

i miękkim, jakby naprzekór oświadczeniu, że nie jest sentymentalny. Biedne serce potrzebowało i było zdolne kochać tak jak i każde inne, ale niedola od lat dziecinnych, ubóstwo i obojętność ludzka, nauczyły je zamykać się w sobie. Była to dusza dumna choć gorąca, więc pełna zawsze obawy, by jej nie odepchnięto, gdy się komuś pierwsza zbyt serdecznie pochyli.

Zostaliśmy przez chwilę sami i pod wpływem jakiegoś smutku. Były to może smutne przeczucia, bo biednego mistrza naszego nie mieliśmy już więcej widzieć w życiu. Ani on sam, ani my nie domyślaliśmy się, że w jego piersiach tkwiły już od dawna zarody śmiertelnej choroby, na którą nie było ratunku. Bieda, zbytne wysilenie, praca gorączkowa nad książkami, bezsenne noce i głód przyspieszyły rozwiązanie. W jesieni, na początku października, mistrz nasz umarł na suchoty. Za trumną jego niewielu nawet szło kolegów, bo były to wakacje, i tylko matka biedna, przekupka święconych obrazów i świec woskowych z pod dominikańskiego kościoła, zawodziła głośno za synem, którego często nie rozumiała za życia, ale którego, jako zwyczajnie matka, kochała.

V.

Na drugi dzień po owej naszej pijatyce przyszły konie od starego Mirzy z Chorzeli i obaj z Selimem ruszyliśmy rankiem do domów. Mieliśmy opętane dwie doby jazdy przed sobą, to też zerwaliśmy się o świcie. W kamienicy naszej spało wszystko jeszcze,

tylko w oficynie naprzeciwko błysnęła w oknie wśród kwiatów geranium, laków i fuksji twarzyczka pensjonarki Józki. Selim nadziawszy na siebie torbę podróżną i akademicką czapkę, stanął w oknie gotowy już do drogi, aby dać poznać, że wyjeżdża, na co odpowiedziano mu z pośród geranium melancholicznym wejrzeniem. Ale gdy jedną rękę położył na sercu, a drugą przesłał całusa, twarzyczka pomiędzy kwiatami zarumieniła się i cofnęła szybko w mroczną głąb pokoju. Na dole na bruku podwórzowym zaturkotała bryczka zaprzęzona w cztery dzielne konie: czas było się żegnać i siadać, ale Selim czekał i stał uporczywie w oknie, czekając, czy jeszcze czego nie dojrzy. Nadzieja jednak go zawiodła i okienko pozostało puste. Dopiero gdy zeszliśmy na dół, przechodząc około ciemnej sieni w oficynie, ujrzelśmy na schodach dwie białe pończoszki, orzechową sukienkę, pochylony biuścik i dwoje jasnych oczu przysłoniętych ręką, wpatrujących się z pomroki w jasność dzienną. Mirza wpadł natychmiast do sieni, ja zaś siadłszy na bryczkę, stojącą tuż obok niej, usłyszałem jakieś szepty i pewne odgłosy, bardzo podobne do odgłosu pocałunków. Późem wyszedł Mirza, zarumieniony, pół śmiejący się, pół wzruszony i usiadł obok mnie. Woźnica zaciął konie, mimowoli obaj z Mirzą spojrzeliśmy w okienko; twarzyczka Józki znowu świeciła między kwiatkami; chwila jeszcze: wysunęła się rączka z białą chustką; jeszcze jeden znak pożegnalny i bryczka wytoczyła się na ulicę, uwołąc mnie i śliczny ideał biednej Józki.

Ranek był wczesny bardzo, miasto jeszcze spało; różowe światło zorzy biegało po oknach uśpionych kamienic; gdzieniegdzie tylko ranny ptaszek, przechodzień budził krokami uśpione echo; gdzieniegdzie stróż zamiatał ulicę, czasem zaturkotał wózek z wazywem, ciągnący ze wsi na targ miejski. Zresztą cicho było a jasno, a powietrzno a rześwo, jako zwyczajnie w letnim poranku. Maleńka bryczuszka nasza, zaprzężona w cztery bachmaty, podskakiwała na bruku, jak ciągnięty na sznurku orzeszek. Wkrótce oblał nasze twarze rześwo i chłodny powiew od rzeki, zatętniał most pod kopytami koni i po półgodzinnej jeździe byliśmy za rogatkami wśród pól obszernych i zbóż i lasów.

Szeroko piersi nasze oddychały przepyszmem powietrzem poranku, a oczy pasły się okolicą. Ziemia budziła się ze snu, perlista rosa wisiała na mokrych liściach drzew i lśniła na kłosach zbóż wszelkich. W żywopłotach kręciły się wesoło ptaszki gwarnym świergotem i ćwirkaniem witając dzień śliczny. Las i łąki wywijały się ze mgły porannej, niby z pieluch; tu i ówdzie na łąkach lśniła woda, po której wśród złotych kwiatów kaczeńcu brodziły bociany. Różowe dymy wychodziły prosto w górę z kominów chat wiejskich, lekki wiatr nagiął falą żółte łąny dojrzalego żyta i strząsał z nich wilgoć nocną. Radość rozlana była wszędzie; zdawało się, że wszystko budzi się, żyje i że cała okolica śpiewa:

Kiedy ranne wstają zorze,
Tobie ziemia, Tobie morze...

Co działo się naówczas i w naszych sercach, łatwo zrozumie każdy, gdy przypomni sobie, jak za młodych lat swych wracał w taki cudny poranek letni do domu. Lata dzieciństwa i zależności szkolnej były już poza nami, rozległ się szeroko wiek młodzięńczy, niby step bujny a pełen kwiatów, o nieukończonym widnokręgu; ciekawa a nieznana kraina, do której w podróż wyruszaaliśmy pod dobrą wróżbą: młodzi, silni, prawie ze skrzydłami u ramion, jakby orlęta. Ze wszystkich skarbów na świecie, największym skarbem jest młodość, a z tego skarbu nie wydaliśmy jeszcze przy całym bogactwie jego ani grosza.

Drogę odbywaliśmy szybko, bo na wszystkich głównych przestankach czekały na nas rozstawne konie. Drugiego dnia po całonocnej jeździe, nad wieczorem, wyjechawszy z lasu ujrzeliśmy Chorzele, a raczej śpiczasty szczyt domowego minaretu, świecący w blaskach zachodzącego słońca. Wkrótce wjechaliśmy na groblę wysadzoną wierzbami i ligustrem, po obu stronach której leżały dwa ogromne stawy z młynami i tartakami. Przeprowadzało nas senne grzechotanie i kumkanie żab, pławiących się po zarosłych trawą brzegach, w ogrzanej dziennym upałem wodzie. Znać było, że dzień kłonił się ku spoczynkowi. Groblą wracały do zabudowań folwarcznych stada bydła i owiec, osłoniętych tumanami kurzu. Tu i ówdzie gromadki ludzi z sierpami, kosami i grabiami na ramionach, dążyły do domu przyśpiwując sobie: „dana, oj dana!” Poczciwi ci ludzie zatrzymywali bryczkę, całując po rękach i witając

serdecznie Selima. Wkrótce słońce pochyliło się jeszcze bardziej ku zachodowi i ukryło do połowy swą jasną tarczę trzcinią. Tylko złocista szeroka taśma światła odbijała się jeszcze środkiem stawów, po brzegach których drzewa przeglądały się w gładkiej toni. Skręciliśmy trochę na prawo i wnet, wśród lip, topoli, świerków i jesionów błysnęły białe ściany chorzelskiego dworu. Na podwórzu ozwał się dzwonek, zwołujący ludzi na wieczerzę a jednocześnie z minaretowej wieżyczki ozwał się smętny a śpiewny głos domowego muezina, zwiastujący, że noc gwiazdzista spada z nieba na ziemię i że Allah jest wielki. Jakby do wtóru jeszcze muezinowi, bocian, stojący nakształt etruskiego dzbana w gnieździe, umieszczonem na szczycie drzewa ponad dachem dworu, wyszedł na chwilę z posagowego spokoju, podniósł dziób, niby miedzianą włócznię do nieba, potem spuścił ją na pierś i zaklekotał, kiwając głową jakby na powitanie. Spojrzałem na Selima. Miał łzy w oczach a wejrzenie jego świeciło nieporównaną, właściwą tylko jemu słodyczą. Wjechaliśmy na dziedziniec.

Przed oszklonym gankiem siedział stary Mirza i pociągając błękitny dym z cybucha, poglądał radosnem okiem na to ciche i pracowite życie, rojące się na onym wdzięcznym krajobrazie. Ujrawszy swego chłopaka, zerwał się żywo z miejsca, chwycił go w ramiona i począł długo przyciskać do piersi, bo choć surowy był dla syna, ale kochał go nad wszystko. Zaraz wypytał go o egzamina, poczem nowe nastąpiły uściski. Zbiegła się i cała liczna

służba witać panicza, psy skakały radośnie wokół niego. Z ganku wypadła pędem chowana wilczyca, faworytka starego Mirzy. „Zula! Zula!“ — zawołał na nią Selim, a ona skoczyła mu ogromnemi łapami na ramiona, polizała go po twarzy, a potem poczęła obiegać jak szalona naokoło skowycząc i pokazując z radości straszliwe zęby.

Weszliśmy następnie do sali jadalnej. Poglądałem na Chorzele i na wszystko, co się w nich znajdowało, jak człowiek, który pragnie odnowienia. Nie zmieniło się w nich nic; portrety przodków Selima: rotmistrzów, chorążych wisiały jak i dawniej na ścianach. Straszliwy Mirza, pułkownik petyhorski z czasów Sobieskiego, spoglądał na mnie tak jak i dawniej skośnemi, złowrogimi oczyma, ale pocięte szablami jego oblicze wydało mi się jeszcze szpetniejsze i bardziej straszne. Najbardziej zmienił się Mirza, ojciec Selima. Czupryna z czarnej stała mu się szpakowata, bujny wąs zbieleł prawie zupełnie, a typ tatarski przebijał w rysach coraz wyraźniej. Ach! jakaż różnica była między starym Mirzą a Selimem, między tem obliczem kościstym, surowem, srogiem nawet, a tą twarzą poprostu anielską, podobną do kwiatu, świeżą i słodką. Ale też trudno mi istotnie opisać miłość, z jaką stary spoglądał na chłopaka i z jaką wodził oczyma za każdym jego ruchem.

Nie chcąc im przeszkadzać, trzymałem się na uboczu; ale stary, gościnny jak prawdziwy szlachcic polski, wnet zaczął mnie podejmować i ścisnąć i zatrzymywać na noc. Nie chciałem się zgodzić na nocleg, bo pilno mi było do domu, ale musiałem przy-

jąc wieczerzę. Wyjechałem z Chorzel późną nocą i kiedyś się zbliżał do domu, *kurki* już weszły na niebie, to znaczy, była już północ. We wsi nie świeciły okienka, tylko zdaleka pod lasem widać było światełka ze smolarni. Pod chatami szczekały psy. W alei lipowej, która wiodła do naszego dworu, ciemno było, choć oko wykol; jakiś człowiek przejechał z końmi obok, zawodząc półgłosem piosnkę, ale m twarzy nie poznał. Zajechałem przed ganek dworu; w oknach było ciemno; widać spali już wszyscy: psy tylko wypadłszy ze wszystkich stron, poczęły koło bryczki ujadać. Wsiadłem i zastukałem do drzwi; przez długi czas nie mogłem się dostukać. Zrobiło mi się przykro, sądziłem bowiem, że będą mnie oczekiwać. Po jakimś dopiero czasie, światło zaczęło biegać tu i ówdzie po szybach okien, a zaspany głos, w którym poznałem głos Franka, spytał:

— Kto tam?

Ozwałem się, Franek otworzył drzwi i zaraz przypadł mi do ręki. Spytałem czy wszyscy zdrowi?

— Zdrowi — odpowiedział Franek — ino starszy pan pojechał do miasta i dopiero jutro ma wrócić.

To mówiąc wprowadził mnie do jadalnego pokoju, zapalił lampę wiszącą nad stołem i wyszedł przyrządzać herbatę. Przez chwilę zostałem sam, z moimi myślami i z bijącym żywo sercem: ale chwila ta krótko trwała, wkrótce bowiem nadbiegł ksiądz Ludwik w kitlu nocnym, pocziwa pani d'Yves ubrana również w bieli, w swoich zwykłych papilotach i w czepku, i Kazio, który o miesiąc wcześniej przy-

jechał ze szkół na wakacje. Pocziwe serca witały mnie z rozczuleniem; podziwiano mój wzrost; ksiądz utrzymywał, że zmężniał, pani d'Yves, że wyładniał. Ksiądz Ludwik, biedaczysko, po jakimś dopiero czasie zaczął mnie wypytwać nieśmiało o egzamina i o patent szkolny, a dowiedziawszy się o moich powodzeniach, aż się rozplakał, tuląc mnie w objęciach i nazywając kochanym chłopakiem. A wtem z drugiego pokoju rozległ się tętent bosych nóg i wpadły dwie moje małe siostrzyczki w koszulkach tylko i w czepeczkach, powtarzając: „Henliś psijechal! Henliś psijechal!“ i wskoczyły mi na kolana. Napróżno pani d'Yves wstydziła je, mówiąc, że to niesłychana rzecz, żeby takie dwie panny (jedna miała ośm lat, druga dziewięć) pokazywały się ludziom w takim „dezabilu“. Dziewczynki, nie pytając o nic, obejmowały mi szyję małutkimi rączkami, przytulając swoje śliczne buzie do moich policzków. Po chwili spytałem nieśmiało o Hanię.

— O! urosła! — odpowiedziała pani d'Yves — zaraz tu przyjdzie, tylko się pewno stroi.

Jakoż nie czekałem długo, bo w pięć minut może potem Hania weszła do pokoju. Spojrzałem na nią i Boże! co się z tej szesnastoletniej, wątłej i chudej sierotki zrobiło przez pół roku. Przede mną stała już prawie dorosła, a przynajmniej dorastająca panna. Kształty jej wypełniły i zaokrągliły się cudnie. Twarz miała cerę delikatną, ale zdrową, na policzkach płonęły rumieńce, jakby odbłask zorzy porannej. Zdrowie, młodość, świeżość, wdzięk, były od niej jak od róży na rozkwitanie. Zauważyłem, że

przypatrywała mi się z ciekawością swemi dużemi niebieskimi oczyma, ale widziałem także, że musiała zrozumieć mój podziw i wrażenie, jakie na mnie czyniła, bo jakiś nieopisany uśmieszek błąkał się w kącikach jej ust. W ciekawości, z jaką patrzyliśmy wzajem na siebie, tkwiła już jakaś wstydlivość młodzieńcza i dziewicza. Oho! te proste serdeczne stosunki brata i siostry, stosunki dziecinne, poszły sobie gdzieś do lasu, aby nie wrócić więcej.

Ach, jakaż ona była śliczna z tym uśmieszkiem i z cichą radością w oczach!

Światło lampy, zawieszanej nad stołem, padało na jej jasne włosy. Ubrana była w czarną sukienkę i w jakąś równie czarną, włożoną naprędce zarzutkę, którą przytrzymała ręką na piersiach pod białą szyjką; ale w ubraniu tem znać było pewien wdzięczny nieład, pochodzący z pośpiechu, z jakim je na siebie kładła. Biło od niej ciepło snu. Kiedym na powitanie dotknął jej ręki, ręka ta była ciepła, miękka aksamitna, a dotknięcie jej przejęło mnie rozkosznem drżeniem. Zmieniła się Hania zarówno wewnętrznie, jak i zewnętrznie. Odjechałem ją prostą dziewczynką, nawpół służebną; teraz była to panienka o szlachetnym wyrazie twarzy i szlachetnych ruchach, zdradzających dobre wychowanie i nawykienia dobrego towarzystwa. Rozbudzona moralnie i umysłowo dusza przeglądała z jej oczu. Przestała być dzieckiem pod każdym względem: dowodził tego ów nieokreślony uśmieszek i pewien rodzaj niewinnej kokieterji, z jaką na mnie spoglądała, z czego znać było, że rozumie, w jak dalece odmiennym od da-

wnego stosunku stoimy do siebie dzisiaj. Poznałem wkrótce nawet, że miała pewną wyższość nademną, bo ja jakkolwiek więcej ćwiczony w naukach, pod względem życiowym, pod względem rozumienia każdego położenia, każdego słowa, byłem jeszcze dość prostym chłopakiem. Hania więcej miała swobody ze mną, niż ja z nią. Moja powaga opiekuna i panicza równie poszła gdzieś do lasu. Przez drogę układałem sobie jak mam Hanię przywitać, co z nią mówić, jak być dla niej zawsze dobrym i pobłażającym, ale wszystkie te plany runęły zupełnie. Położenie jakoś tak poczęło się zaznaczać, że nie ja dla niej dobrym i łaskawym, ale ona raczej dla mnie dobrą i łaskawą być się zdawała. Na razie nie zdawałem sobie z tego jasno sprawy, ale czułem to więcej, niż rozumiałem. Układałem sobie, że będę wypytywał ją o to, czego się uczy i czego się nauczyła, jak spędzała czas, czy pani d'Yves i ksiądz Ludwik byli z niej kontenci; a tymczasem to ona, zawsze z tym uśmieszkiem w kącikach ust, wypytywała mnie com porabiał, czegom się uczył i co w przyszłości robić zamyslałem. Dziwnie się wszystko inaczej działo, niż sobie zamierzyłem. Krótko mówiąc, stosunek nasz zmieniony był na wprost odwrotny.

Po godzinnej rozmowie udaliśmy się wszyscy na spoczynek. Poszedłem do siebie trochę rozmarzony, trochę zdziwiony, trochę zawiedziony i pobity, ale przez rozmaite wrażenia. Podsycona na nowo miłość poczęła się przeciskać jak płomień przez szczeliny płonącego budynku i wkrótce pokryła owe wrażenia

zupełnie. To poprostu postać Hani, ta postać dziewczęca, rozkoszna, pełna uroków, tak jak ją ujrzałem nęcącą, owiniętą ciepłem snu, z białą rączką, podtrzymującą nieład ubrania na piersiach i rozpuszczonymi warkoczami, wzburzyła moją młodą wyobraźnię i przysłoniła mi sobą wszystko.

Usnąłem z obrazem jej pod powiekami.

VI.

Nazajutrz wstałem bardzo wcześnie i wybiegłem do ogrodu. Ranek był śliczny, pełen rosy i zapachu kwiatów. Biegłem szybko do grabowego szpaleru, bo serce mówiło mi, że tam zastanę Hanię. Ale widocznie zbyt pochopne do przeczuć serce myliło się, gdyż Hani nie było tam wcale. Dopiero po śniadaniu znalazłem się z nią sam na sam i spytałem, czy nie zechce się przejść po ogrodzie. Zgodziła się chętnie i pobiegłszy do swego pokoiku, wróciła po chwili w dużym kapeluszu ryżowym na głowie, który ocieniał jej czoło i oczy i z parasolką w ręku. Z pod tego kapelusza uśmiechała się figlarnie do mnie, jakby chciała powiedzieć: „patrz jak mi ładnie”. Wyszliśmy razem do ogrodu. Skierowałem się do grabowego szpaleru, a przez drogę myślałem o tem, jakby zacząć rozmowę i o tem, że Hania, która z pewnością umiałaby to lepiej ode mnie, nie chce mi dopomóc, ale raczej bawi się mojem zakłopotaniem. Szedłem tedy obok niej w milczeniu, ścinając szpicrutą rosnące po rabatach kwiaty, aż nagle Hania roześmiała się i chwytając za szpicrutę, rzekła:

— Panie Henryku, co panu winny te kwiaty?

— Eh! Haniu! co tam kwiaty, ale ot widzisz, nie umiem zacząć z tobą rozmowy, zmieniłaś się bardzo, Haniu. Ach! jak ty się zmieniłaś!

— Przypuśćmy, że tak jest. Czy to pana gniewa?

— Tego nie mówię — odrzekłem nawpół smutno — ale nie mogę się z tem oswoić, bo zdaje mi się, że tamta malutka Hania, którą znałem dawniej i ty, to dwie inne istoty. Tamta zrosła z memi wspomnieniami, z... mojem sercem, jak siostra, Haniu, jak siostra, a więc...

— A więc ta (tu wskazała paluszką na siebie) dla pana jest obca, nieprawdaż? — spytała cicho.

— Haniu! Haniu! jak ty możesz pomyśleć nawet coś podobnego?

— A przecież to bardzo naturalne, choć może smutne — odparła. — Szukasz pan w sercu dawnych braterskich uczuć dla mnie i nie znajdziesz ich! Oto i wszystko.

— Nie, Haniu! ja nie w sercu szukam dawnej Hani, bo ona tam jest zawsze; ale szukam jej w tobie, a co do serca...

— Co do serca pana — przerwała mi wesoło — domyślam się, co się z niem stało. Zostało gdzieś w Warszawie, przy jakimś drugim szczęśliwym serduszką. Łatwo to odgadnąć!

Spojrzałem jej głęboko w oczy; sam nie wiedziałem czy mnie trochę bada, czy licząc na wrazenie, jakie na mnie uczyniła wczoraj, a jakiego ukryć nie umiałem, igra sobie ze mną w sposób trochę

okrutny. Ale nagle i we mnie obudziła się chęć oporu. Pomyślałem, że muszę mieć arcy-komiczną minę, poglądając na nią wzrokiem dobijanej łani, więc zapanowałem nad uczuciami, jakie poruszyły mną w tej chwili i odrzekłem:

— A jeżeli tak jest istotnie?

Zaledwie dostrzegalny wyraz zdziwienia i jakby zniechęcenia przemknął po jasnej twarzy Hani.

— Jeżeli tak jest istotnie — odparła — a więc to pan się zmienił nie ja.

To rzekłszy, nachmurzyła się trochę i spoglądając na mnie z pod oka, szła przez jakiś czas w milczeniu, ja zaś starałem się ukryć radosne wzruszenie, jakim przejęły mnie jej słowa. Ona mówi, myślałem sobie, że jeśli inną kocham, to ja się zmieniłem, zatem nie ona się zmieniła, zatem ona mnie...

I nie śmiałem dokończyć z radości tego mądrego wniosku.

A z tem wszystkiem nie ja, ale ona była zmieniona. Ta przed pół rokiem mała, o Bożym świecie nie wiedząca dziewczynka, której na myślby nie przyszło mówić o uczuciach i dla której podobna rozmowa byłaby chińskim językiem, dziś prowadziła ją tak swobodnie i wprawnie, jakby recytowała wyuczoną lekcję. Jakże rozwinął się i stał się giętkim ten niedawno dziecinny umysł! Ale z panienkami dzieją się cuda podobne. Nie jedna wieczorem zasypia dzieckiem, rankiem budzi się dziewczicą, z innym światem uczuć i myśli. Dla Hani, z natury bystrej, pojętnej i wrażliwej, pół roku czasu, przejście szesnastu lat wieku, inna sfera towarzyska, nauki, czy-

tane może ukradkiem książki, wszystko to wystarczało aż nadto.

Ale tymczasem szliśmy obok siebie w milczeniu. Przerwała je teraz pierwsza Hania.

— Więc i oto pan zakochany, panie Henryku?

— Może — odpowiedziałem z uśmiechem.

— To pan będzie tęsknił za Warszawą?

— Nie, Haniu. Radbym nigdy stąd nie wyjeżdżać.

Hania spojrzała na mnie szybko. Chciała widocznie coś powiedzieć i zamilkła, ale po chwili uderzyła zlekka parasolką po sukni i rzekła, jakby odpowiadając na własne myśli:

— Ach! jakże ja jestem dziecinna!

— Dlaczego to mówisz Haniu? — spytałem.

— E! nic. Siądźmy na tej ławce i mówmy o czem innem. Prawda, jaki stąd piękny widok? — spytała nagle ze znany mi uśmiechem na ustach.

Siadła na ławce nieopodal szpaleru, pod ogromną lipą, skąd istotnie widok był bardzo piękny na staw, groble i las za stawem. Hania ukazywała mi go parasolką, ale ja, jakkolwiek miłośnik pięknych widoków, nie miałem najmniejszej ochoty nań patrzeć, bo raz, że znałem go doskonale, powtóre, miałem przed sobą Hanię, piękniejszą stokroć od wszystkiego co ją otaczało, a na koniec myślałem zupełnie o czem innem.

— Jak tam ślicznie te drzewa odbijają się w wodzie — mówiła Hania.

— Widzę, że jesteś artystką — odparłem, nie patrząc w stronę drzew, ani wody.

— Książd Ludwik uczy mnie rysować. O! ja dużo

się uczyłam przez ten czas, kiedy pana tu nie było; chciałam... ale co panu jest? czy się pan gniewa na mnie?

— Nie Haniu, ja się nie gniewam, bo nie umiałbym się gniewać na ciebie; ale widzę, że wymijasz moje pytanie i że ot! oboje gramy z sobą w ślepą babkę, zamiast rozmawiać szczerze i z ufnością, jak za dawnych czasów. Może ty tego nie czujesz, ale mnie to przykro, Haniu!...

Te proste słowa sprawiły tylko ten skutek, że wprowadziły nas oboje w ogromne zakłopotanie. Hania podała mi wprawdzie obie ręce; ja uściśnałem te ręce może zbyt silnie i, o zgrozo! pochyliwszy się szybko, ucałowałem je wcale jakoś nie tak, jak na opiekuna przystało. Następnie zmieszaaliśmy się oboje do najwyższego stopnia: ona zaczerwieniła się aż po szyję; ja również i wreszcie zamilkliśmy, nie wiedząc ani be ani me, jak zacząć tę rozmowę, która miała niby być szczerą i pełną ufności.

Potem ona spojrzała na mnie, ja na nią i znowu wywiesiliśmy na twarzach czerwone chorągwie. Siedzieliśmy obok siebie jak dwie lalki: zdawało mi się, że słyszę przyspieszone bicie własnego serca. Położenie nasze było nieznośne. Chwilami czułem, że jakaś ręka bierze mnie za kołnierz i chce rzucić do jej stóp, a druga trzyma za włosy i nie puszcza: nagle Hania zerwała się i rzekła szybkim pomieszonym głosem.

— Muszę już iść; mam lekcję o tej godzinie z panią d'Yves: już blisko jedenasta.

Udaliśmy się tą samą drogą ku domowi. Szliśmy tak jak i poprzednio, w milczeniu, ja jak i poprzednio ścinałem szpicrutą główki kwiatów, ale ona już nie litowała się nad niemi.

Pięknie wróciły nasze dawne stosunki; niema co mówić.

Jezus, Marja! co się ze mną dzieje — pomyślałem sobie, kiedy Hania pozostawiła mnie samego. Byłem zakochany tak, że aż włosy powstały mi na głowie.

Tymczasem nadszedł ksiądz Ludwik i wziął mnie z sobą do gospodarstwa. Po drodze opowiadał mi mnóstwo rozmaitych rzeczy, dotyczących się naszego majątku, które nie zajmowały mnie ani trochę, choć udawałem, że słucham uważnie.

Brat mój, Kazio, który korzystając z wakacyj, całe dnie przesiadywał za domem, w stajniach, w lesie, ze strzelbą na koniu lub na łodzi, w tej chwili właśnie ujeżdżał pod wierzch na podwórzu folwarcznem młode konie ze stadniny. Ujrawszy mnie i księdza, przygalopował do nas na jakimś kasztanie, który rzucał się pod nim jak wściekły i kazał nam podziwiać jego kształty, ogień i chody, poczem zsiadł i poszedł z nami. Zwiedziliśmy razem stajnie, obory, stodoły i wybieraliśmy się właśnie w pole, gdy dano znać, że przyjechał mój ojciec, trzeba więc było wrócić do domu. Ojciec przywitał mnie tak gorąco jak nigdy. Dowiedziawszy się o egzaminach, wziął mnie w objęcia i oświadczył, że odtąd chce mnie uważać za dorosłego. Jakoż istotnie w obejściu się jego ze mną zaszły wielkie zmiany. Traktował mnie

poufalej i serdeczniej. Zaraz począł ze mną mówić o interesach naszych majątkowych, zwierzył mi się z zamiarami dokupienia jednego z sąsiednich majątków i pytał mnie o zdanie. Domyśliłem się, że mówi o tem umyślnie, aby okazać mi, jak poważnie sam patrzy na znaczenie moje jako dorosłego i najstarszego syna w rodzinie. A przytem widziałem, jak istotnie cieszył się mną i postępami memi w nauce. Dumie jego rodzicielskiej pochlebiały niezmierne świadectwa nauczycieli, jakie z sobą przywiozłem. Zauważyłem przytem, że bada mój charakter, sposób myślenia, pojęcia o honorze i że umyślnie zadaje mi rozmaite pytania, aby mnie z nich wymiarkować. I widać, egzamin ten rodzicielski wypadł pomyślnie, bo jakkolwiek zasady moje filozoficzne i społeczne były już arcy od ojcowskich odmienne, alem się z niemi nie wydawał, w innych zaś pojęciach nie mogliśmy się różnić. To też surowa, lwia twarz mego ojca rozjaśniona była jak nigdy. Obsypał mnie tego jeszcze dnia darami, darował mi parę pistoletów, z których strzelał się niedawno z p. Zollem i na których zakarbowanych było kilka innych pojedynków, jakie odbywał za młodych swych lat, służąc wojskowo. Następnie otrzymałem pysznego konia wschodniej krwi i starą szablę po ojcach, z rękojeścią, sadzoną kamieniami, z klingą szeroką damasceńską, z obrazem Matki Boskiej, cyzelowanym złotem na stali i z napisem: Jezus Marja! Szabla ta stanowiła jedną z najcenniejszych naszych pamiątek rodzinnych, a przytem wieczny od dawnych lat przedmiot westchnień moich i Kazia, bo cięła żelazo jak

wióry. Ojciec dając mi ją, wydobyl ją z pochwy, machnął nią parę razy, aż zawarczało powietrze i blask zrobił się w pokoju; potem nakreślił nią krzyż nad moją głową, ucałował obraz Matki Boskiej i wręczając mi ją, rzekł: „W godne ręce! ja nie zrobiłem jej wstydu, nie zrób i ty!“ Potem rzuciliśmy się sobie w objęcia, a szablę tymczasem porwał z zapalem Kazio i jakkolwiek piętnastoletni dopiero chłopak, ale nadzwyczaj silny, począł wykonywać nią cięcia, których dokładności i szybkości nie powstydziłby się żaden doświadczony nauczyciel fechtunku. Ojciec spoglądał na niego z zadowoleniem i rzekł:

— To będzie gracz, ale i ty tak potrafisz? Nieprawda?

— Potrafię, ojcze. Kaziowi bym jeszcze poradził. Ze wszystkich kolegów, z którymi uczyłem się razem fechtować, jeden przewyższał mnie tylko.

— Kto taki?

— Selim Mirza.

Ojciec skrzywił się.

— Ach Mirza! Ale ty musisz być silniejszy.

— To też to jedno, co pozwala mi się z nim trzymać. No, ale przecież z Selimem nie pobijemy się nigdy.

— Ej! różnie to bywa — odpowiedział mój ojciec.

Po obiedzie dnia tego siedliśmy wszyscy w obszernym, winem obrośniętym ganku, z którego widok był na ogromny dziedziniec i w dali na cienistą drogę, sadzoną lipami. Pani d'Yves robiła szydełkiem obrus do kaplicy, ojciec i ksiądz Ludwik palili fajki,

popijając czarną kawę, Kazio kręcił się przed gan-kiem, goniąc oczyma zwroty powietrzne jaskółek, do których miał ochotę strzelać kulami, a do których ojciec strzelać mu nie pozwolił, my zaś z Hanią oglądaliśmy przywiezione przeze mnie rysunki i jak najmniej myśleliśmy o rysunkach: przynajmniej dla mnie służyły one tylko do ukrywania przed niemi spojrzeń, jakie rzucałem na Hanię.

— Cóż, a jakże tam znalazłeś Hanię? Zbrzydła ci bardzo, panie opiekunie? — spytał mnie ojciec, spoglądając żartobliwie na dziewczynkę.

Zacząłem nader pilnie wpatrywać się w rysunek i odpowiedziałem z poza papieru:

— Nie powiem, ojcie, żeby zbrzydła, ale wyrosła i zmieniła się.

— Już mi pan Henryk robił o te zmiany wyrzuty — wtrąciła swobodnie Hania.

Podziwiałem jej odwagę i przytomność; ja byłbym o tych wyrzutach tak swobodnie nie wspominał.

— Co tam, czy zbrzydła, czy wyładniała — rzekł ksiądz Ludwik — ale uczy się i szybko i dobrze. Niech madame powie, jak prędko nauczyła się po francusku?

Trzeba wiedzieć, że ksiądz Ludwik, lubo człowiek bardzo wykształcony, nie umiał po francusku i nie mógł się nauczyć, choć kilkanaście lat spędził pod naszym dachem z panią d'Yves. A biedak miał słabość do francuszczyzny i znajomość jej uważał za niezbędną cechę wyższego wykształcenia.

— Nie mogę Hani zaprzeczyć, że uczy się łatwo i chętnie — odpowiedziała pani d'Yves, ale jednak

muszę się na nią panu poskarżyć — dodała, zwracając się ku mnie.

— O! pani! cóżem znów zawiniła? — zawołała Hania, składając ręce.

— Coś przewiniła? Zaraz się tu będziesz tłumaczyć — odparła pani d'Yves. — Niech sobie pan wyobrazi, że ta panienka, jak tylko znajdzie chwilkę czasu, zaraz chwyta za powieść i mam pewne powody sądzić, że kiedy idzie spać, to zamiast zgasić świecę i spać, czyta jeszcze po całych godzinach.

— To robi bardzo niedobrze; ale zresztą wiem skądinąd, że naśladowe swoją nauczycielkę — rzekł mój ojciec, który lubił się sprzeciwiać pani d'Yves, gdy był w dobrym humorze.

— O, bardzo przepraszam, ja mam czterdzieści pięć lat — odpowiedziała Francuzka.

— Patrzcie, nigdybym tego nie powiedział — odrzekł ojciec.

— Nie dobry pan jesteś!

— Nie wiem, ale wiem tylko, że Hania, jeżeli dostaje skąd powieści, to nie z biblioteki, bo klucz od biblioteki ma ksiądz Ludwik. Wina zatem na nauczycielkę spada.

Rzeczywiście pani d'Yves całe życie czytywała romanse, a mając namiętność do opowiadania ich wszystkich, musiała zapewne opowiadać je i Hani, dlatego w słowach ojca nawpół żartobliwych, kryła się pewna prawda, którą umyślnie chciał wypowiedzieć.

— Patrzcie państwo, ktoś do nas jedzie — zawołał nagle Kazio.

Spojrzeliliśmy wszyscy w ciemnię lipowej alei

i istotnie na początku jej, może o wiorstę jeszcze drogi, ujrzelśmy obłok kurzu, który przybliżał się ku nam z nadzwyczajną szybkością.

— Kto to może być? Co za szybkość — zauważył powstając ojciec. — Kurz taki, że nic nie można rozeznąć.

Rzeczywiście upał był ogromny; deszcz nie padał już przeszło dwa tygodnie, więc po drogach tłumy białego pyłu wznosiły się za każdym ruchem. Patrzyliśmy jeszcze chwilę napróżno na zbliżający się obłok, który był już nie dalej, jak o kilkadziesiąt kroków od dziedzińca, gdy nagle z tumanu wychyliła się głowa końska z czerwonymi, rozdętymi chrapami, z ognistymi oczyma i rozwianą grzywą. Biały koń pędził w największym galopie, nogami zaledwie tykając ziemi, a na nim, pochylony na szyćkę końską po tatarsku, nie kto inny, tylko mój przyjaciel Selim.

— Selim jedzie, Selim! — zawołał Kazio.

— Co ten warjat robi! Brama zamknięta! — krzyknąłem, zrywając się z miejsca.

Nie było czasu już bramy otworzyć, bo nikt nie zdołałby na czas nadbiec; tymczasem Selim pędził jak szalony na oślep i prawie pewnem było, że wpadnie na sztachety, przeszło dwa łokcie wysokie i pozaostrzane u góry.

— Boże! zmiłuj się nad nim! — wykrzyknął ksiądz Ludwik.

— Brama! Selimie! brama! — krzyczałem jak opętany, machając chustką i biegnąc co siły wpoprzek dziedzińca.

Nagle Selim, o jakie pięć kroków od bramy wyprostował się na siodle, zmierzył spojrzeniem jak błyskawicą sztachety. Potem doszedł mnie krzyk kobiet, siedzących w ganku, gwałtowne tupotanie kopyt; koń wspiał się, zawisnął przednimi kopytami w powietrzu i w największym pędzie przesadził sztachety, nie zatrzymując się ani na chwilę.

Dopiero przed gankiem Selim osadził go tak, że aż kopyta zaryły mu się w ziemię i zerwawszy kapelusz z głowy, zaczął wywijać nim jak chorągiewką i krzyczeć:

— Jak się macie, moi drodzy, kochani państwo! Jak się macie! Moje uszanowanie panu dobrodziejowi! — wołał kłaniając się ojcu — moje uszanowanie kochanemu księdzu, pani d'Yves, pannie Hannie. Jesteśmy znów wszyscy razem. Wiwat! wiwat!

To mówiąc zeskoczył z konia i rzuciwszy cugle Frankowi, który w tej chwili wybiegł z sieni, począł ściskać ojca, księdza i całować po rękach kobiety.

Pani d'Yves i Hania były jeszcze blade ze strachu, ale właśnie dlatego witały Selima, jak ocalonego, a ksiądz Ludwik rzekł:

— A warjacie, warjacie, coś ty nam strachu narobił. Myśleliśmy, że już po tobie.

— No, albo co?

— A z tą bramą. Jak to można tak pędzić na oślep!

— Na oślep? Przecie ja widziałem, że brama zamknięta. Oho! mam ja swoje doskonałe tatarskie oczy.

— I nie bałeś się skakać?

Selim rozśmiał się.

— Nie, ani trochę, księżu Ludwiku. Ale wreszcie to zasługa mego konia, nie moja.

— *Voilà un brave garçon!* — rzekła pani d'Yves.

— O, tak, nie każdyby się na to odważył — dodała Hania.

— Chcesz powiedzieć — odparłem — że nie każdyby koń przeskoczył, bo ludzi takich znalazłoby się więcej.

Hania zatrzymała na mnie długie spojrzenie:

— Nie radziłabym panu próbować.

Poczem spojrzała na Selima, a wzrok jej wyrażał podziw, bo istotnie, pominawszy już zuchwały krok Tatara, który był jednym z tych hazardów, jakie zawsze podobają się kobietom, trzeba było widzieć go, jak wyglądał w tej chwili. Śliczne czarne włosy spadały mu na czoło, policzki miał zarumienione szybkim ruchem, oczy błyszczące, z których biła wesołość i radość. Gdy stał teraz koło Hani, patrząc jej z ciekawością w oczy, piękniejszych dwojga ludzi żaden artysta nie umiałby wymarzyć.

Co do mnie, byłem do najwyższego stopnia dotknięty jej słowami. Zdawało mi się, że owo: „nie radziłabym próbować“, wyrzekła głosem, w którym drgał jakiś ton ironji. Spojrzałem pytającym wzrokiem na ojca, który przed chwilą oglądał Selimowego konia. Znałem jego ambicję rodzicielską, wiedziałem, że był zazdrosny, ilekroć kto w czemkolwiek mnie przewyższył, a w Selimie gniewało go to oddawna; dlatego liczyłem, że nie sprzeciwi mi się,

jeżeli zechcę okazać, iż nie jestem gorszym od Selima jeźdźcem.

— Ten koń istotnie dzielnie skacze, ojcie — rzekłem.

— Ale i ten szatan dzielnie siedzi — odmruknął. — A ty, czybyś tak potrafił?

— Hania wątpi — odparłem z pewną goryczą. — Mogę spróbować?

Ojciec zawahał się, rzucił oczyma na sztachety, na konia, na mnie i rzekł:

— Daj pokój.

— Naturalnie! — zawołałem z żalem. — Lepiej mi uchodzić za babę w porównaniu z Selimem.

— Henryku! Co też ty wygadujesz! — zawołał Selim, otoczywszy moją szyję ramieniem.

— Skacz! skacz, chłopcze! a spraw się dobrze! — rzekł ojciec, którego duma była dotknięta.

— Konia mi tu! — zawołałem na Franka, który oprowadzał zwolna po dziedzińcu, zmęczonego wierchowca.

Hania nagle zerwała się z miejsca.

— Panie Henryku! — zawołała — to ja jestem powodem tej próby. Ja nie chcę, nie chcę. Pan tego nie zrobi... dla mnie.

I to mówiąc, patrzyła mi w oczy, jakby chciała dopowiedzieć wzrokiem wszystko to, czego nie mogła wyrazić słowami.

Ach! za ten jej wzrok oddałbym ostatnią kroplę krwi w tej chwili, ale nie mogłem i nie chciałem się cofnąć. Obrażona duma moja była w tej chwili sil-

niejszą od wszystkiego, dlatego zapanowałem nad sobą i odpowiedziałem sucho:

— Mylisz się Haniu, jeśli sądzisz, że ty jesteś powodem. Będę skakał dla własnej przyjemności.

To mówiąc, mimo protestacji wszystkich, z wyjątkiem ojca, siadłem na koń i stępo ruszyłem w lipową aleję. Franek otworzył bramę i zamknął ją za mną natychmiast. Miałem gorycz w duszy i skakałbym przez te sztachety, choćby były dwa razy wyższe. Ujechawszy ze trzysta kroków, zwróciłem konia i puściłem go klusem, który natychmiast zmieniłem w galop.

Nagle spostrzegłem, że siodło chwieje się pode mną.

Stało się jedno z dwojga: albo popręg nadpękł w czasie poprzedniego skoku, albo Franek rozluźnił go koniowi dla odetchnienia i przez głupotę, czy może przez zapomnienie, nie ostrzegł mnie o tem dość wcześniej.

Teraz już było za późno. Koń w największym pędzie zbliżał się do sztachet, ja zaś nie chciałem go już cofać. Zabiję się, to się zabije! — myślałem sobie. Ogarnęła mnie jakaś rozpacz. Ścisnąłem konwulsyjnie boki konia; wiatr świszczał mi w uszach. Nagle sztachety błysnęły mi tuż przed oczyma, machnąłem szpicrutą, uczułem się uniesiony w powietrze, o uszy obił mi się krzyk z ganku, w oczach mi pociemniało i... po chwili ocuciłem się z omdlenia na gazonie.

Zerwałem się na równe nogi.

— Co się stało? — zawołałem. — Zleciałem? Zemdlałem.

Koło mnie stał ojciec, ksiądz Ludwik, Selim, Kazio, pani d'Yves i Hania blada jak płótno, ze łzami w oczach.

— Co ci jest? co ci jest? — wołano ze wszystkich stron.

— Nic zupełnie. Zleciałem, ale to nie z mojej winy. Popręg był pęknięty.

Istotnie, po chwilowem omdleniu czułem się zdrów zupełnie, tylko trochę brakło mi oddechu. Ojciec zaczął dotykać moich rąk i nóg i pleców.

— Nie boli? — pytał.

— Nie, jestem zdrów zupełnie.

Wkrótce wrócił mi i oddech. Byłem tylko zły, bo mi się zdawało, że wydaję się śmiesznym. Bo też musiałem wyglądać śmiesznie. Zlatując z konia, przeleciałem z impetem przez całą szerokość drogi idącej koło trawnika i padłem na trawnik, skutkiem czego łokcie i kolana mego jasnego ubrania umalowane były na zielono, a ubranie i włosy w nieładzie. Ale z tem wszystkiem, niefortunny ów wypadek oddał mi na razie pewną przysługę. Oto przed chwilą przedmiotem ogólnego zajęcia naszego kółka był Selim, jako gość i jako gość świeżo przybyły; teraz ja, wprawdzie kosztem moich łokci i kolan, odebrałem mu tę palmę. Hania przypisując ciągle sobie, a mówiąc nawiasem, słusznie, powód tej hazardowej próby, która tak mogła się źle dla mnie skończyć, starała się wynagrodzić mi dobrocią i słodczą swoją nieostrożność. Pod takim wpływem odzyskałem też wkrótce wesołość, która udzieliła się i całemu, przed chwilą przerażonemu towarzystwu.

Bawiliśmy się doskonale; podano podwieczorek, przy którym Hania była gospodynią, a potem wyszliśmy do ogrodu. W ogrodzie Selim rozszalał się jak małe dziecko; śmiał się, dokazywał, a Hania pomagała mu z całej duszy. Wreszcie Selim rzekł:

— Ach! jak my się teraz będziemy bawić we troje.

— Ciekawam — rzekła Hania — które z nas najweselsze?

— To pewno ja — odpowiedział.

— A może ja? O ja także z natury jestem bardzo wesoła.

— A najmniej wesoły, to Henryk — dorzucił Selim. — On z natury jest poważny i trochę melancholiczny. Żeby żył w średnich wiekach, to zostałby błędnym rycerzem i trubadurem, tylko prawda: nie umie śpiewać! Ale my — dodał, zwracając się do Hani — tośmy się w korcu maku szukali i dobrali.

— Ja się na to nie zgadzam — rzekłem. — Za dobrane usposobienia uważam usposobienia przeciwnie, bo w takim razie jedno ma te własności, których brak drugiemu.

— Dziękuję ci — odparł Selim. — Przypuszczam, że ty z natury lubisz płakać, a panna Hania się śmiać. No dajmy na to: żenicie się...

— Selim!

Selim spojrzał na mnie i począł się śmiać...

— A to co, paniczu? Ha! Ha! A pamiętasz ty mowę Cyclerona Pro Archia? *commoveri videtur juvenis*, co po polsku grzmi: zmieszany wydaje się być młodzieniec. Ale to nie znaczy nic, bo ty sław-

wnie nawet bez powodu raki piecesz. Panno Hanno! on sławnie raki piecze, a teraz napiekl ich za siebie i za panią.

— Selim!

— Nic, nic. Wracam do założenia. Ty więc, panie płaczk, i pani, pani śmieszko, żenicie się. Otóż co się dzieje: on zaczyna beczeć, pani zaczyna się śmiać; nie rozumiecie się nigdy: nie schodzicie się nigdy, rozchodzicie się zawsze i co mi to za dobrane natury. O! ze mną to co innego! My poprostu śmielibyśmy się całe życie i koniec.

— Ach! co też pan mówi — odpowiedziała Hania. Swoją drogą oboje zaczęli się śmiać w najlepsze.

Co do mnie nie miałem do śmiechu najmniejszej ochoty. Selim ani wiedział, jaką mi krzywdę robił, wmawiając w Hanię ową różnicę między usposobieniem jej i mojem. Byłem do najwyższego stopnia rozgniewany i dlatego ozwałem się do Selima z przekąsem:

— Dziwny masz pogląd, a dziwi on mię tembardziej, że zauważyłem, iż masz pewną słabość do osób melancholicznych.

— Ja? — rzekł z niekłamanem zdziwieniem.

— Tak. Przypomnę ci tylko pewne okienko, kilka fuksyj w okienku i twarzyczkę między fuksjami. Daję ci słowo, że nie znam tak melancholicznej twarzy.

Hania zaczęła klaskać w ręce.

— Oho! dowiaduję się czegoś nowego! — zawołała, śmiejąc się — A ślicznie, panie Selimie, ślicznie!

Myslałem, że Selim zmiesza się i straci fantazję, ale on tylko rzekł:

— Henryku!

— Co?

— Wiesz co robią z tymi co mają za długi język? I w śmiech.

Hania jednak poczęła mu się sprzeciwiać i napierać, by powiedział jej choć imię swojej wybranej. Nie namyślając się długo, powiedział: „Józia!“ Ale gdyby sobie był co z tego robił, zapłaciłby drogo za swoją szczerość, bo Hania odtąd nie dała mu już spokoju aż do samego wieczora.

— Czy ładna? — pytała.

— Taka sobie.

— Jakie ma włosy, oczy?

— Ładne, ale nie takie, jakie mi się najwięcej ze wszystkich podobają.

— A jakie się panu podobają?

— Włosy jasne, a oczy, jeśli łaska, niebieskie, takie jak te, w które patrzę teraz.

— Oo! panie Selimie!

I Hania zachmurzyła się, Selim zaś złożył ręce, przymilił się z tą swoją nieporównaną słodyczą w oczach, począł mówić:

— Panno Hanno! niech pani się nie gniewa? Co pani biedne Tatarzysko zawiniło? Niech pani się nie gniewa! Niech pani się rozśmiej.

Hania patrzyła na niego i w miarę jak patrzyła, chmurka znikła jej z czoła. Prosto oczarował ją. Uśmiezek począł się błąkać w kąciakach jej ust;

rozjaśniły się oczy, rozpromieniła twarzyczka i wreszcie odpowiedziała miękkim, łagodnym głosem:

— Dobrze, nie będę się gniewać, ale proszę być grzecznym.

— Będę, jak Mahometa kocham, będę!

— A bardzo pan kocha swojego Mahometa?

— Jak psy dziada.

I znowu zaczęli się śmiać oboje.

— No, a teraz niech mi pan powie — podjęła na nowo rozmowę Hania — w kim się kocha pan Henryk? Pytałam go, ale mi nie chciał powiedzieć.

— Henryk?... Wie pani co (tu Selim popatrzył na mnie z pod oka), on się chyba jeszcze w nikim nie kocha, ale się będzie kochał. Oho! wiem doskonale w kim! I co do mnie...

— Co do pana?... — spytała Hania, usiłując pokryć zmieszanie.

— Zrobiłbym toż samo. Ale zresztą... poczekajcie państwo: może on się już i kocha.

— Tylko proszę cię, daj pokój, Selimie!

— Mój ty pocciwy chłopczysko! — rzekł Selim, ściskając mnie za szyję. — Ach! żeby pani wiedziała jaki on pocciwy!

— O! wiem o tem! — odrzekła Hania. — Pamiętam jaki był dla mnie po śmierci dziadka.

Chmurka smutku przeleciała teraz pomiędzy nami.

— Powiadam pani — mówił Selim, chcąc zwrócić rozmowę na inny przedmiot — powiadam pani, że jak po egzaminie do szkoły głównej popiliśmy się razem z naszym mistrzem...

— Popili?

— Tak! O! to jest zwyczaj taki, któremu nie można uchybiać. Więc, kiedyśmy się popili, wtedy, bo to ja, widzi pani, jestem roztrzepany, wniosłem pani zdrowie. Niemądrze zrobiłem, widzi pani; ale Henryk jak się zerwie: „Jak ty śmiesz wymawiać imię Hani w takim miejscu?“ powiada do mnie. Bo to był sobie sklep pijacki. Małośmy się nie pocubili. Ale on pani nie da ubliżyć, co nie, to nie.

Hania podała mi rękę.

— Panie Henryku! Jaki pan dobry.

— No dobrze — odpowiedziałem, ujęty słowami Selima — ale powiedz sama, Haniu, czy Selim nie jest równie pocziwy, że opowiada takie rzeczy.

— O! to mi wielka pocziwość! — rzekł śmiejąc się Selim.

— Ale tak! — odpowiedziała Hania — obaj panowie jesteście warci siebie i będzie nam razem bardzo dobrze.

— Pani będzie naszą królową! — wykrzyknął z zapalem Selim.

— Panowie! Haniu! prosimy na herbatę — ozwał się z werandy ogrodowej głos pani d'Yves.

Wróciliśmy na herbatę wszystko troje w jak najlepszym usposobieniu. Stół zastawiony był pod werandą; świece objęte szklannymi kielichami, paliły się migotliwem światłem, aśmy rojem krążąc koło światła, tłukły się o szklanne ściany kielichów; listki dzikiego winogrodu szeleściły kołysane ciepłym powiewem nocnym, a za topolami wytoczył się wielki złoty miesiąc. Ostatnia rozmowa pomiędzy mną,

Hanią i Selimem, nastroiła nas na ton dziwnie łagodny i przyjazny. Wieczór taki cichy i spokojny oddziaływał i na starszych. Twarze ojca i księdza Ludwika były wypogodzone jak niebo.

Po herbacie pani d'Yves zaczęła kłaść pasjans, ojciec zaś wpadł w jak najlepszy humor, gdy zaczął opowiadać o dawnych czasach, co u niego zawsze było znakiem dobrego humoru.

— Pamiętam raz — mówił — staliśmy niedaleko jakiejś wioski w Krasnostawskim; noc, pamiętam, była ciemna choć oko wykol (tu pociągnął dymu z fajki i puścił ponad świecę), człowiek był zmęczony jak żydowska szkapą, stoimy tedy sobie cicho, a wtem...

I tu nastąpiło opowiadanie dziwnych i przedziwnych wypadków. Ksiądz Ludwik, który już był nie raz słyszał, powoli jednak przestawał palić, słuchał coraz uważniej, zakładał okulary na czoło i kiwając głową, powtarzał: „uhum! uhum!“ albo też wykrzykiwał: „Jezus, Marja! — no i co!“ My z Selimem, oparłszy się o siebie ramionami, z utkwionemi oczyma w ojca, łowiliśmy z chciwością jego słowa; ale wrażenia na żadnej twarzy nie malowały się tak wybitnie, jak się na twarzy Selima. Oczy świeciły mu jak węgle, rumieńce były na twarz, wschodnia gorąca natura wyszła jakby oliwa na wierzch. Trudno mu było dosiedzieć na miejscu. Pani d'Yves spojrzawszy nań, uśmiechnęła się i pokazała go oczyma Hani, a potem obie poczęły mu się przypatrywać, bo bawiła je twarz, jakby zwierciadło, albo jak szyba wodna, w której odbija się wszystko, co tylko zbliży się do przeźroczy.

Dzisiaj, kiedy przypominam sobie podobne wieczory, nie umiem się oprzeć rozrzewnieniu. Wiele fal na wodzie, a obłoków na niebie upłynęło od tego czasu, a jednak pamięć skrzydłata ustawicznie przesuwa mi przed oczyma podobne obrazy dworu wiejskiego, cichej nocy letniej i takiej rodziny zgodnej, kochającej się, szczęśliwej; stary, posiwiaty weteran opowiada tam o dawnych życia kolejach; u młodych skrzą się oczy, dalej jedna twarzyczka jak kwiat polny... Hej! dużo fal na wodzie, a obłoków na niebie upłynęło od tego czasu.

Tymczasem wybiła godzina dziesiąta. Selim zerwał się, bo miał rozkaz wracać na noc do domu. Postanowiliśmy, że całe towarzystwo odprowadzi go jeszcze aż do krzyża, stojącego na końcu alei lipowej, blisko drugiego kołowrotu; ja zaś konno dalej jeszcze, bo aż za łąki. Wyruszyliśmy tedy wszyscy, oprócz Kazia, który rozespał się w najlepsze.

Ja, Hania i Selim wysunęliśmy się naprzód: my obaj prowadząc konie za cugle, Hania między nami we środku. Starsi we troje szli za nami. W alei ciemno było; księżyc tylko, przedzierając się przez gęste liście, pstrzył srebrnymi plamami ciemną drogę.

— Zaśpiewajmy co — rzekł Selim — jaką starą pieśń a ładną, na przykład o Filonie.

— Tego już nigdzie nie śpiewają — odparła Hania — ja umiem inną: „Oj, jesienią, jesienią wędnie liść na drzewie!“

Ułożyli się wreszcie, że będą śpiewać naprzód o Filonie, co bardzo lubił i ksiądz i ojciec, bo im to przypominało dawne czasy, a potem: „Oj, jesie-

nią, jesienią!“ Hania oparła białą rączkę o grzywę Selimowego konia i zaczęli śpiewać:

„Już miesiąc zaszedł, psy się uśpiły,
A tam ktoś klaszcze za borem;
Pewnie mnie czeka mój Filon miły
Pod ulubionym jaworem“...

Gdy skończyli, ozwały się w ciemności za nami głosy starszych: „brawo! brawo! zaśpiewajcie jeszcze co“. Ja wtórowałem, jak mogłem, ale nie umiałem dobrze śpiewać, a Hania i Selim mieli śliczne głosy, szczególnie zaś Selim. Czasami, gdym zbyt przekreślił nutę, śmieli się ze mnie oboje. Potem zanulili jeszcze kilka pieśni, podczas których myślałem sobie: dlaczego ta Hania trzyma rękę na grzywie konia Selima, a nie mego? Ten koń szczególnie jej się podobał. Chwilami przytulała się do jego szyi lub klepiąc ją ręką, powtarzała: „mój koniczek, mój!“ a łagodne zwierzę parskalo i wyciągało rozwarte, chrapiące nozdrza w kierunku jej ręki, jakby szukając cukru. Wszystko to sprawiło, że posmutniałem znowu i nie patrzyłem na nic, tylko na tę rękę, ciągle spoczywającą na grzywie.

Tymczasem doszliśmy do krzyża, koło którego kończyły się lipy. Selim począł mówić wszystkim: „dobranoc“, pocałował w rękę panią d'Yves, a chciał pocałować i Hanię, ale nie pozwoliła na to, przyczem spojrzała na mnie jakby z obawą. Zato kiedy już Selim siedział na koniu, zbliżyła się doń i poczęła z nim rozmawiać. Przy blasku księżyca, którego w tem miejscu nie przesłaniały lipy, widzia-

łem jej oczy wzniesione ku Selimowi i słodki wyraz twarzy.

— Niech pan nie zapomina o panu Henryku — rzekła mu. — Będziemy zawsze razem bawić się i razem śpiewać, a tymczasem dobranoc!

To rzekłszy podała mu rękę, poczem starsi wraz z nią wrócili ku domowi, my zaś z Selimem ku łąkom.

Jechaliśmy czas jakiś w milczeniu otwartą drogą bez drzew. Naokół jasno było tak, że możnaby policzyć igielki na niskich krzakach jałowcu, rosnącego po drodze. Od czasu do czasu tylko prychnęły konie lub strzemie sięczkęnęło o strzemie. Spojrzałem na Selima: był zamyślony i oczyma wodził po głębiach nocnych. Miałem nieprzewyciężoną chęć mówić o Hani: potrzebowałem wypowiedać się komu z całodziennych wrażeń, obgadać każde jej słówko, a ani rusz nie umiałem zacząć tej rozmowy z Selimem. Ale Selim zaczął ją pierwszy, bo nagle ni stąd ni zowąd przechylił się ku mnie i objawszy mnie za szyję, ucałował w policzek i wykrzyknął:

— Ach! mój Henryku! jaka śliczna i miła ta twoja Hania! Niech tam Józie lichu porwie!

Wykrzyknik ten zmroził mnie, jak nagłe technienie zimowego wiatru. Nie odpowiedziałem nic, tylko odjąłem rękę Selima ze swojej szyi i odsunawszy go zimno, jechałem dalej w milczeniu. Widziałem, że się zmieszał bardzo i zamilkł także, a po chwili zwróciwszy się do mnie, rzekł:

— Czy ty się gniewasz o co?

— Dziecko jesteś.

— Możesz zazdrośny?

Zatrzymałem konia.

— Dobranoc ci, Selimie!

Widocznie było, że nie miał ochoty jeszcze się żegnać, ale wyciągnął machinalnie rękę do uścisku. Potem otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale ja szybko zwróciłem konia i pokłusowałem do domu.

— Dobranoc! — zawołał Selim.

Stał jeszcze chwilę na miejscu, potem z wolna odjechał w swoją stronę.

Zwolniwszy biegu, jechałem stępem. Noc była śliczna, cicha, ciepła; pokryte rosą łąki wydawały się jak rozległe jeziora; z łąk dochodziły mnie głosy derkaczy: bąk huczał w dalekich trzcinach. Podniosłem oczy na gwiazdzisty bezmiar; chciało mi się modlić i płakać.

Nagle usłyszałem za sobą tętent konia. Obejrzałem się: był to Selim. Dognał mnie, zrównał się ze mną i zastąpiwszy mi drogę, rzekł wzruszonym głosem:

— Henryku! wróciłem się, bo tobie coś jest. Z początku pomyślałem: jeśli się gniewa, niech się gniewa! A potem zrobiło mi się żal. Nie mogłem wytrzymać. Powiedz mi co tobie jest? Może ja za dużo mówiłem z Hanią? Może ty ją kochasz? Henryku?

Łzy ścisnęły mi gardło i nie umiałem na razie nic odpowiedzieć. Ale gdybym był poszedł za pierwszym natchnieniem i rzucił się na pocziwą pierś tego chłopaka i wypłakał się na niej i wyznał wszystko!

Ach! wspomniałem już, że ile razy w życiu przyszło mi zetknąć się z wylaniem serdecznem i samemu serdecznie pierś odkryć, tyle razy jakaś niepokohamowana duma przekorna, którą trzeba było łamać jak skałę oskardem, mroziła mi serce i więziła słowa w ustach. Ileżto szczęścia póp-suło mi się w życiu przez tę dumę, ileż razy żałowałem jej później! A jednak w pierwszej chwili nie umiałem się jej oprzeć.

Selim powiedział: „żał mi się ciebie zrobiło!“ a zatem litował się nade mną; to już wystarczało, ażeby mi zamknąć usta.

Milczałem więc, a on patrzył na mnie swemi anielskimi oczyma i mówił z akcentem prośby i skruchy w głosie:

— Henryku! może ty ją kochasz? Ona mi się, widzisz, podobała, ale i na tem koniec. Chcesz, to nie powiem do niej ani słowa więcej. Powiedz: może ty ją już kochasz? Co ty masz do mnie?

— Nie kocham się i do ciebie nie mam nic. Jestem trochę słaby. Zleciałem z konia, rozbiłem się. Ja się wcale nie kocham, tylko zleciałem z konia! Dobranoc ci!

— Henryku! Henryku!

— Powtarzam ci, że zleciałem z konia.

Rozstaliśmy się znowu. Selim ucałował mnie na drogę i odjechał spokojniejszy, bo istotnie prawdopodobnem było, że to upadek podziałał na mnie w ten sposób; ja zaś zostałem sam, z sercem ściśniętem, z jakimś głębokim żalem, ze łzami, które ścisnęły mnie za gardło: wzruszony dobrocią Selima,

zły na siebie i przeklinający się w duszy, żem go odepchnął. Puściłem konia galopem i za chwilę byłem przed domem.

Okna sali bawialnej były oświecone, dochodził przez nie dźwięk fortepianu. Oddałem konia Frankowi i wszedłem do sali. To Hania grała jakąś piosnkę, której nie znałem: grała sobie, fałszując z całem zaufaniem dyletantki melodję, bo niedawno zaczęła się uczyć, ale aż nadto wystarczająco, aby zachwycić o wiele więcej rozkochaną, niż muzykalną moją duszę. Gdy wszedłem, uśmiechnęła się do mnie nie przestając grać, ja zaś rzuciłem się na fotel, stojący naprzeciwko i począłem na nią patrzeć. Przez pulpit widać było jej spokojne, pogodne czoło i regularnie narysowane brwi. Powieki miała spuszczone, bo patrzyła na palce. Grała jeszcze przez czas jakiś, potem ustała i podniósłszy oczy na mnie, rzekła pięściwym, miękkim głosem:

— Panie Henryku?

— Co Haniu?

— Chciałam się pana o coś spytać... Aha! Zaprośił pan na jutro pana Selima?

— Nie. Ojciec życzy sobie, żebyśmy jutro pojechali do Ustrzycy, bo przyszedł od matki pakiet dla pani Ustrzyckiej.

Hania umilkła i uderzyła kilka cichych akordów, ale widocznie czyniła to tylko machinalnie, myśląc o czem innem, bo po chwili znowu podniosła na mnie oczy:

— Panie Henryku?

— Co, Haniu?

— Chciałam się pana o coś spytać... Aha! Czy bardzo ładna ta Józia z Warszawy, co?

A! tego było już nadto! Gniew pomieszany z gorącością ścisnął mi serce. Zbliżyłem się szybko do fortepianu, a usta mi się trzęsły, gdy odpowiedział:

— Nie ładniejsza od ciebie. Bądź spokojna. Możesz śmiało próbować swych wdzięków na Selimie.

Hania aż wstała z taboretu, a gorący rumieniec obraży oblał jej policzki.

— Panie Henryku, co pan mówi?

— To, co ty zamierzasz.

To rzekłszy, chwyciłem za kapelusz, skłoniłem się jej i wyszedłem z pokoju.

VII.

Łatwo się domyślić, jak przepędziłem noc po owych całodziennych zmartwieniach. Położywszy się w łóżko, przede wszystkim zapytałem sam siebie, co się stało i dlaczego wyprawiałem takie awantury przez cały dzień? Odpowiedź była łatwa: nic się nie stało, t. j. ani Selimowi, ani Hani, nie mogłem zarzucić nic takiego, co by nie dało się wytłumaczyć bądźto uprzejmością, obowiązującą wszystkich jednakowo, bądź ciekawością, wzajemną sympatją. Że Selim podobał się Hani, a ona jemu, to było więcej niż pewne; ale jakież miałem prawo burzyć się z tego powodu i mącić spokój wszystkim. Nie oni więc zawinili, tylko ja: ta myśl powinna była mnie uspokoić, ale stało się przeciwnie. Jakkolwiek bądź tłómaczyłem sobie wzajemne ich stosunki, jakkol-

wiek powtarzałem sobie, że istotnie nic się nie stało; jakkolwiek uznawałem, że niesłusznie wyrzuciłem niejedną przykrość obojgu, przecież czułem jakąś niewyraźną groźbę, zawieszoną nad sobą w przyszłości: to zaś, że groźba owa była niewyraźna, że nie dała się uchwycić w formę zarzutu Mirzi lub Hani, czyniło ją dla mnie tem dotkliwszą. Prócz tego pomyślałem sobie jeszcze jedno. Oto, że nie mając prawa nic im zarzucić, mam jednak dostateczny powód być niespokojnym. Były to wszystko subtelności, rzeczy prawie nieuchwycalne, w których umysł mój, do tej pory prosty, plątał się i męczył, jak wśród ciemności i manowców. Czułem się poprostu zmęczony i przybity, jakby po odbyciu długiej podróży, a oprócz tego jeszcze jedna myśl najgorsza i najboleśniejsza wracała mi ustawicznie do głowy, że to ja sam, wyraźnie ja, przez swoją zazdrość i przez swoją niezręczność popycham fatalnie ku sobie tych dwoje. O! na tyle świadomości zdobyłem się już wówczas, jakkolwiek nie miałem żadnego doświadczenia. Takie rzeczy się odgaduje. Co więcej: wiedziałem, że wśród owych błędnych ścieżek będę i dalej szedł nie tam, gdzie zechcę, ale tam, gdzie popchnie mnie uczucie i inne nieraz chwilowe i nie znaczące okoliczności, które jednak bywają ważne i od których nieraz szczęście zależy. Co do mnie, byłem bardzo nieszczęśliwy, a chociaż komuś umartwienia owe moje mogą się wydawać blahe, to jednak powiem, że wielkość każdej niedoli nie zależy od tego, jaką ona jest sama w sobie, ale jak ją ktoś odczuwa.

A jednak nic się nie stało! nic się jeszcze nie stało! Leżąc w łóżku powtarzałem sobie te słowa dopóty, aż zwolna myśli poczęły mi się mącić, rozpraszać i wpadać w zwykły bezład senny. Rozmaite obce pierwiastki poczęły mi się pod nie podsuwać. Opowiadania ojcowskie, osoby i wypadki tych opowiadań łączyły się z chwilą obecną, z Selimem, z Hanią i moją miłością. Może i miałem trochę gorączki, tembardziej, żem się potłukł. Knot wypalanej świecy zapadł nagle w lichtarz: pociemniało, potem znów wyskoczył błękitny płomień, potem mniejszy i jeszcze mniejszy, aż wreszcie jeszcze raz konające światło błysnęło potężnie i zagasło. Musiało już być późno; za okiennicą piał koguty: usnąłem ciężkim i niezdrowym snem, z którego rozbudziłem się nieprędko.

Nazajutrz pokazało się, że zasnęłam porę śniadania, a zatem i sposobność widzenia Hani aż do obiadu, bo do godziny drugiej miała lekcje z panią d'Yves. Ale za to, wypawszy się dobrze, nabrałem otuchy i nie spoglądałem na świat tak czarno. Będę dla Hani dobry, uprzejmy i tem nagrodzę jej wczorajszą moją opryskliwość, myślałem sobie. Tymczasem nie przewidziałem jednej okoliczności: oto, że Hani nie tylko dokuczyły ostatnie moje słowa, ale że ją także i obraziły. Gdy Hania zeszła wraz z panią d'Yves na obiad, porwałem się ku niej żywo, i nagle, jakby mnie kto wodą oblał, cofnąłem się napowrót w siebie, razem ze swoją serdecznością nie dlatego, żebym chciał to zrobić, ale dlatego, że zostałem odepchnięty. Hania powiedziała mi bardzo

grzecznie: „dzieńdobry“, ale tak zimno, że odrazu odeszła mnie ochota do serdecznych wylewów. Potem siadła obok pani d'Yves i przez cały obiad nie zdawała się już więcej dostrzegać mojej egzystencji. Wyznaję, że w tej chwili egzystencja owa wydała mi się tak marną i tak opłakaną, iż gdyby mi ktoś dawał za nią trzy grosze, powiedziałbym mu, że przepłaca. Cóż jednak miałem robić? Obudziła się we mnie chęć oporu i postanowiłem odplacić Hani takąż samą monetą. Dziwna to rola względem osoby, którą się kocha nad wszystko. Prawdziwie mogłem powiedzieć: „błuznią ci usta, choć płacze serce!“ Przez cały obiad nie mówiliśmy ze sobą wprost, tylko za pośrednictwem osób trzecich. Gdy Hania naprzykład mówiła, że nad wieczorem będzie deszcz, zwracała się z tem do pani d'Yves, na co ja również pani d'Yves, a nie Hani odpowiadałem, że deszczu nie będzie. To dąsanie się i przekomarzanie wzajemne, miało nawet dla mnie pewien drażniący urok. Ciekawy jestem, moją panienko, jak my to będziemy obchodzić się ze sobą w Ustrzycy, bo przecie mamy jechać do Ustrzycy, myślałem sobie w duchu. Naumyślnie w Ustrzycy spytam ją wobec obcych o coś, ona musi przecież odpowiedzieć i tak te lody pękną! Obiecywałem sobie wiele po tej bytności w Ustrzycy. Wprawdzie miała jechać z nami p. d'Yves, ale co mi to szkodziło! Tymczasem szło mi daleko więcej o to, żeby nikt z obecnych przy stole nie spostrzegł naszych gniewów. Jeśli kto spostrzeże, myślałem, spyta: czy się gniewamy, zaraz wszystko wyjdzie na wierzch i wszystko

się wyda! Na samą myśl o tem, rumieniec bił mi na twarz, a obawa ścisnęła serce. Ale, o dziwo! spostrzegłem, że Hania daleko mniej się tego boi, niż ja; dalej, że widzi moją bojaźń i w duszy sobie z niej dworuje. Z kolei czułem się tem upokorzony, ale na razie nie było co robić. Czekala mnie Ustrzyca, więc uchwyciłem się tej myśli, jak deski zbawienia.

Ale widocznie myślała o niej Hania, bo po obiedzie przyniósłszy ojcu kawę czarną, pocałowała go w rękę i rzekła:

— Proszę pana, mogę ja nie jechać do Ustrzycy?

Ach! jaka niegodziwa! jaka niegodziwa! ta ukochna Hania, pomyślałem sobie w duszy.

Ale ojciec, który był trochę głuchy, nie dosłyszał odrazu, tylko ucałowawszy dziewczynkę w czoło, rzekł:

— Czego tam chcesz kobietko?

— Mam jedną prośbę?

— Jaką?

— Mogę nie jechać do Ustrzycy?

— A cóż to, czy chora jesteś?

Jeżeli powie, że chora, pomyślałem znowu, wszystko przepadło, tembardziej, że ojciec jest w dobrym humorze.

Hania jednak nie kłamała nigdy, nawet niewinnie i dlatego, zamiast spędzić ów brak chęci na ból głowy, odrzekła:

— Nie, zdrowa jestem, ale nie mam ochoty.

— A no, to pojedziesz do Ustrzycy, bo trzeba żebyś jechała.

Hania dygnęła i nie rzekłszy ani słowa, odeszła. Co do mnie, byłem uradowany z całej duszy i gdyby tylko uchodziło, jakżebym chętnie był pokazał Hani na palcach: zyg, zyg, zyg!

Po chwili jednak, kiedy zostaliśmy z ojcem sami, spytałem go, dlaczego kazał jej jechać.

— Chcę, żeby sąsiedzi przyzwyczaili się widzieć w niej naszą krewkę. Hania jadąc do Ustrzycy, czyni to niejako w imieniu twojej matki: rozumiesz?

Nietylkom zrozumiał, ale chciało mi się ucałować za tę myśl pocziwego ojca.

O godzinie piątej mieliśmy wyjechać. Hania i pani d'Yves ubierały się tymczasem na górę, ja zaś kazałem zaprząć do lekkiego na dwie osoby wolanta, bo sam miałem zamiar jechać konno. Do Ustrzycy było półtorej mili, przy pięknej więc pogodzie mieliśmy przed sobą przejażdżkę nader przyjemną. Gdy Hania zeszła z góry, przybrana wprawdzie czarno, ale starannie, a nawet ozdobnie, bo taka była wola ojca, nie mogłem oczu od niej oderwać. Wyglądała tak ślicznie, że natychmiast uczułem jak mięknie mi serce, a chęć oporu i sztuczny chłód ulatuje gdzieś za dziesiątą granicę. Ale królowa moja przeszła koło mnie prawdziwie po królewsku, nie spojrzawszy nawet na mnie, choć także wyświeżyłem się, jakem umiał. Mówiąc nawiasem, była trochę zadąsana, bo rzeczywiście nie miała ochoty jechać, choć nie było to z chęci dokuczania mi, ale dla innych słuszniejszych, jak się później przekonałem, powodów.

Punkt piąta wsiadłem na koń, moje panie do

karykla i ruszyliśmy razem. Przez drogę trzymałem się od strony Hani, chcąc wszelkimi sposobami zwrócić jej uwagę na siebie. Jakoż spojrzała raz na mnie, gdy koń mój wspiał się dęba, zmierzyła mnie spokojnem okiem od stóp do głowy; bodaj, czy nie uśmiechnęła się nawet nieznacznie, co na razie bardzo dodało mi otuchy, ale natychmiast potem zwróciła się do pani d'Yves i zaczęła z nią rozmawiać w ten sposób, że nie mogłem się wtrącać do rozmowy.

Przyjechaliśmy wreszcie do Ustrzycy, gdzie zostaliśmy Selima. Pani Ustrzyckiej nie było w domu, był tylko pan, dwie guwernantki: Francuzka i Niemka i dwie panienki: starsza Lola, rówieśnica Hani, ładna i dość z natury zalotna szatynka i młodsza Marynia jeszcze dziecko. Panie po pierwszych powitaniach wybrały się zaraz do ogrodu na truskawki, mnie zaś i Selima zabrał ze sobą pan Ustrzycki, aby nam pokazać swoją nową broń i nowe psy na dziki, które sprowadził wielkim kosztem aż z Wrocławia. Wspominałem już, że pan Ustrzycki był to najzagorzalszy myśliwiec w całej okolicy, a przytem człowiek bardzo zacny, dobroduszny i równie uczynny, jak bogaty. Miał tylko jedną wadę, która dla mnie czyniła go nudnym, to jest śmiał się ciągle, co kilka słów uderzał się rękoma po brzuchu, powtarzając: „Farsa, mości dobrodzieju! jak się nazywa? co?” Zwano go z tego powodu sąsiad-farsa, albo sąsiad jak-się nazywa.

Otóż sąsiad-farsa poprowadził nas do psiarni, nie zważając, że może wolelibyśmy ze sto razy być

przy pannach w ogrodzie. Przez jakiś czas słuchaliśmy cierpliwie jego opowiadań, aż wreszcie ja przypominałem sobie jakiś interes do pani d'Yves, a Selim poprostu rzekł:

— Wszystko to jest bardzo dobre, panie dobrodzieju! Psy są bardzo ładne, ale cóż my zrobimy, kiedy obaj mamy większą ochotę iść do panien?

Pan Ustrzycki uderzył się dłońmi po brzuchu.

— A, farsa, mości dobrodzieju! jak się nazywa? co? No, to idźcie, pójdę z wami!

I poszliśmy. Wkrótce jednak pokazało się, że nie miałem sobie czego tak dalece życzyć. Hania, która jakoś trzymała się na uboczu od swoich towarzyszek, nie przestała mnie zapoznawać i może naumyślnie zajęła się Selimem: mnie, zresztą, wypadło bawić pannę Lolę. O czem rozmawiałem z panną Lolą, jakim sposobem nie mówiłem niedorzeczności i jak odpowiadałem na jej uprzejme pytania, nie wiem, bo śledziłem ciągle Selima i Hanię, łowiąc uszami słowa ich rozmowy, chwytając spojrzenia i ruchy. Selim nie spostrzegł tego, ale spostrzegła Hania i naumyślnie przyciszała głos lub spoglądała z pewną kokieterją na swego towarzysza, który pozwalał się tej powodzi łask unosić. „Poczekajże Haniu, pomyślałem sobie, robisz ty mnie na złość, zrobię i ja tobie”. I tak rozumując, zwróciłem się do mojej towarzyszki. Zapomniałem powiedzieć że panna Lola miała szczególniejszą słabość do mnie i okazywała mi to aż nadto wyraźnie. Począłem więc być dla niej uprzejmy, dworowałem i śmiałem się, choć chciało mi się więcej płakać, niż śmiać,

a Lola spoglądała na mnie rozpromieniona swemi wilgotnemi, ciemno-niebieskiemi oczyma i poczęła wpadać w romantyczny nastrój.

Ach! gdyby wiedziała, jakem ją nienawidził w tej chwili! A jednak tak dalece byłem przejęty swoją rolą, że popełniłem nawet coś niegodziwego. Oto, gdy panna Lola zrobiła w ciągu rozmowy jakąś złośliwą uwagę o Selimie i Hani, wówczas jakkolwiek zatrząśłem się w duszy z gniewu, przecie nie odpowiedziałem jej jak należało, ale uśmiechnąłem się tylko dość głupio i zbyłem ją milczeniem. Chodziliśmy w ten sposób z godzinę, następnie podano podwieczorek pod płaczącym kasztanem, którego gałęzie zniżając się końcami aż do ziemi, tworzyły jakby zieloną kopułę nad naszymi głowami. Teraz dopiero zrozumiałem, że Hania nietylko dla mnie nie chciała jechać do Ustrzycy, ale miała swoje bar-dziej uzasadnione przyczyny.

Była to poprostu rzecz taka: pani d'Yves, jako pochodząca ze starej szlachty francuskiej i wreszcie więcej od innych nauczycielek wykształcona, uważała się za coś lepszego od Francuzki, a zwłaszcza od Niemki z Ustrzycy; te zaś obie uważały się zkolei za coś lepszego od Hani, ponieważ dziadek jej był służącym. Ale dobrze wychowana pani d'Yves nie dawała im tego uczuć, one zaś wyraźnie, aż do niegrzeczności lekcewały Hanię. Były to zwykłe babskie kwasy i ambicyjki, ale nie mogłem pozwolić, żeby moja droga Haniulka, sto razy zresztą więcej warta od całej Ustrzycy, miała być ich ofiarą.

Hania lekceważenie owo znosiła z taktem i słodyczą, czyniącą zaszczyt jej charakterowi: było to jej jednak przykro. Gdy pani Ustrzycka była obecna, nie podobnego nie miało nigdy miejsca, ale w tej chwili obie guwernantki korzystały właśnie z dobrej sposobności. Jak tylko Selim usiadł koło Hani, zaraz zaczęły się szeptu i przycinki, w których potrochu i panna Lola, zazdroszcząca Hani piękności, brała udział. Odparłem owe docinki kilkakrotnie ostro, może zbyt ostro ale wkrótce zastąpił mnie, mimo mej woli, Selim. Widziałem, że błyskawica gniewu przemknęła po jego brwiach, ale wkrótce opamiętał się i uspokojony zwrócił szydery wzrok na guwernantki. Cięty, dowcipny i wygadany, jak mało kto w jego wieku, wkrótce tak dalece zbił je z tropu, że nie wiedziały gdzie się podziać. Pomagała mu w tem pani d'Yves swoją powagą i ja, który zresztą chętnie byłbym nawet wybił obie cudzoziemki. Panna Lola nie chcąc mnie zrażać, przeszła także na naszą stronę i lubo nieszczerze, poczęła okazywać Hani dwa razy więcej niż zwykle uprzejmości. Słowem: triumf nasz był zupełny, na nieszczęście jednak i ku wielkiemu memu umartwieniu, główna zasługa spadła i tym razem na Selima. Hania, która mimo całego taktu, z wysileniem wstrzymywała łzy, cisnące się jej do oczu, poczęła spoglądać na Selima, jak na swego wybawcę, z wdzięcznością i uwielbieniem. To też, kiedyśmy wstali od stołu i znowu poczęli chodzić parami po ogrodzie, usłyszałem jak Hania pochyliła się ku Selimowi i szepnęła półgłosem:

— Panie Selimie! ja panu bardzo...

I urwała nagle, bo bała się rozplakać, a wzruszenie mimo jej woli brało nad nią górę.

— Panno Hanno! nie mówmy o tem. Niech pani na to nie uważa i... niech się pani nie martwi.

— To też widzi pan, jak mi trudno o tem mówić; ale chciałam panu podziękować.

— I za co? Panno Hanno! i za co? Ja nie mogę znieść łez w pani oczach. Jaby dla pani chętnie...

Teraz z kolei on nie dokończył, bo nie umiał znaleźć wyrazu, a może w porę spostrzegł, że zbyt pozwala się unosić uczuciom, jakich miał pełne piersi; więc tylko zmieszany odwrócił głowę, by nie dać poznać wzruszenia i umilkł.

Hania patrzyła na niego rozświetlonemi od łez oczyma, a ja wtedy już nie pytałem, co się stało.

Kochałem Hanię całą mocą młodej duszy, ubóstwiałem ją; kochałem ją tak, jak w niebie tylko kochają; kochałem jej postać, kochałem jej oczy, każdy promień włosów, dźwięk mowy; kochałem każdą jej sukienkę, powietrze, którem oddychała, a miłość ta przenikała mnie nawskróś i była nie tylko w sercu, ale w całej mojej istocie: żyłem tylko w niej i przez nią, płynęła we mnie jak krew: biła ode mnie jak ciepło. Dla innych może istnieje coś obok miłości, dla mnie cały świat istniał w niej, nie poza nią. Dla świata byłem ślepy, głuchy i głupi, bo rozum i zmysły zająłem tem jednym tylko uczuciem. Czułem, że płonę, jakby rozpalona pochodnia i że trawi mnie ten płomień i że ginę i że umieram. Czem była ta miłość? Wielkim głosem, wielkiem

wołaniem duszy na drugą duszę: „moja ubóstwiona, moja święta, moja kochana, usłysz mnie!“ Otóż nie pytałem już, co się stało, bom zrozumiał, że nie mnie, nie mnie-to odpowiadała Hania na tę serdeczną prośbę. Wśród obojętnych ludzi, człowiek spragniony kochania chodzi jak w lesie i huka i nawołuje jak w lesie, czekając, czy nie odpowie mu głos sympatyczny, więc jeszcze i dlatego nie pytałem już co się stało, bom przez własną miłość i przez własne próżne wołanie przeczuł i usłyszał dwa sympatyczne głosy: Selima i Hani! Wołali się wzajemnie głosami serc, wołali się na nieszczęście moje, sami o tem nie wiedząc. Jedno drugiemu było niby echem leśnem i jedno szło za drugim jak echo idzie za głosem. I cóżem ja mógł poradzić przeciw tej konieczności, którą oni mogli zwać szczęściem — ja: nieszczęściem? Cóżem mógł poradzić temu porządkowi natury, przeciw tej fatalnej logice rzeczy? Jak zdobyć serce Hani, skoro jakaś siła nieprzeparta kłoni je w inną stronę?

Odłączyłem się od towarzystwa i siadłem na ławce ogrodowej, a myśli podobne szumiały mi w głowie, jak zwichrzone stada ptactwa. Ogarnął mnie szal cierpienia i rozpacz. Czułem, że pośród rodziny, pośród życzliwych serc byłem jednak tak samotny; świat cały wydał mi się tak pusty, sierocy, niebo nade mną tak na krzywdę ludzką obojętne, że mimowoli jedna myśl zapanowała we mnie nad innymi i pochłonięła wszystkie i pokryła swym ponurym spokojem. Imię jej było: śmierć. A potem: wyjście z tego błędnego koła i koniec cierpień i roz-

wiązanie całej tej smutnej komedji i rozcięcie wszystkich bolesnych węzłów, opasujących duszę i wypoczynek po umęczeniu; ach! ten wypoczynek, którego tak byłem spragniony: wypoczynek ciemny, wypoczynek nicości, ale cichy, wiekuisty!

Byłem jak człowiek zmorzony łzami, cierpieniem i snem. Usnąć mi! usnąć! myślałem sobie, za jakąkolwiek cenę, choćby za cenę życia. Potem zaś ze spokojnych, ogromnych błękitów niebieskich, dokąd uciekła dawna moja wiara dziecinna, przyleciała jeszcze jedna myśl jak ptak i usiadła mi na móżgu. Myśl ta zawarta była w krótkich słowach:

A jeśli?

Było to nowe koło, w które wplątałem się na mocy nieubłaganej konieczności. Oh! cierpiałem bardzo, a tam z sąsiedniej alei dochodziły mnie wesołe słowa lub ciche półsłowa rozmawiających, koło mnie pachniały kwiaty, na drzewach świergotały ptaki, udające się na spoczynek; nade mną wisało pogodne niebo, zarumienione zorzą zachodnią: wszystko było spokojne, szczęśliwe, ja sam tylko zbolały i z zaciśniętymi zębami pragnąłem umrzeć wśród tego rozkwitu życia.

Nagle drgnąłem: przede mną zaszeleściła suknia kobieca.

Spojrzałem: była to panna Lola. Cicha była jakaś i łagodna, patrzyła na mnie ze współczuciem, a może i więcej jak ze współczuciem. Wśród blaszków wieczora i cieniów, rzucanych przez drzewa, wydawała się blada: rozwiane, niby przypadkiem, bujno warkocze spływały jej na ramiona.

W tej chwili nie uczułem do niej nienawiści. Duszo, jedyna litościwa! — pomyślałem — czy przychodzisz mnie pocieszyć?

— Panie Henryku! pan smutny jakiś, może cierpiący?

— O tak, pan! Cierpiący jestem — zawołałem z wybuchem i porwawszy jej rękę, przyłożyłem ją sobie do rozpalonego czoła, potem pocałowałem ją gwałtownie i uciekłem.

— Panie Henryku! — zawołała na mnie zcicha.

A jednocześnie na skřęćie ulicy ukazali się Selim i Hania. Oboje widzieli mój wybuch: widzieli, jak całowałem i przyciskałem do czoła rękę Loli: widzieli to oboje, więc uśmiechnięci zamienili z sobą wejrzenia, jakby mówiąc sobie wzajemnie:

— Rozumiemy, co się to znaczy.

Ale tymczasem pora była odjechać do domu. Selimowi droga zaraz za kołowrotem wypadała w inną stronę, obawiałem się jednak, czy nie zechce nas odprowadzić, z pośpiechem siadałem na koń i mówiłem głośno, że już późno, że na nas i na Selima czas. Żegnając się, otrzymałem od panny Loli dziwnie gorący uścisk ręki, na który nie odpowiedziałem i ruszyliśmy w drogę.

Selim zaraz za kołowrotem zawrócił, ale pierwszy raz pocałował na dobranoc Hanię w rękę i Hania mu tego nie bronila.

Przestała mnie już zapoznawać. Była w usposobieniu zbyt łagodnem, żeby pamiętać ranne gniewy, ale ja tłumaczyłem sobie to usposobienie jak najgorzej.

Pani d'Yves zaraz po kilku minutach usnęła i poczęła się kiwać na wszystkie strony. Spojrzałem na Hanię, nie spała; oczy jej były otwarte szeroko i błyszczące, jakby ze szczęścia.

Nie przerywała wcale milczenia, była widocznie zbyt zajęta własnymi myślami. Dopiero blisko domu spojrzała na mnie, a widząc, że jestem tak zamyślony, rzekła:

— O czym pan tak myśli, czy o Loli?

Nie odpowiedziałem ani słowa, tylko ścisnąłem zęby i pomyślałem: szarp, szarp mnie, kiedy ci to sprawia przyjemność, ale nie wyciśniesz ze mnie ani jęku.

Ale Hani rzeczywiście ani się śniło mnie szarpać.

Zadała pytanie, bo miała prawo je zadać.

Zdziwiona mojem milczeniem, powtórzyła pytanie raz jeszcze. Znowu nie odpowiedziałem nic. Myślała więc, że to są dąsy, trwające jeszcze od rana i także umilkła.

VIII.

Rankiem kilka dni później pierwsze rumiane blaski porannej zorzy wpadły przez serce, wykrojone w okiennicy i zbudziły mnie ze snu. Wkrótce zapukał ktoś w okiennicę i w różanym otworze ukazała się nie twarz Zosi Mickiewiczowskiej, która w podobny sposób budziła Tadeusza, ani tej mojej Hani, ale wąsata twarz Wacha, leśniczego, a gruby głos zawołał:

— Paniczu!

— A co tam?

— Wilki gonią za wilczycą w Pohorowych ha-szczach. Mieliśmy iść na wabia.

— Zaraz!

Ubrałem się: wziąłem strzelbę, nóż myśliwski i wyszedłem. Wach stał cały mokry od rosy porannej z długą, zardzewiałą pojedynką na plecach, z której jednak nie zdarzyło mu się nigdy chybić. Ranek był wczesny: słońce jeszcze nie weszło, ani ludzie nie wyszli do roboty, ani bydło w pole. Niebo tylko barwiło się błękitnie, różowo i złościście na wschodzie, a na zachodzie było surowe. Swoją drogą starem było pilno.

— Mam bidę i szkapę. Pojedziemy ku wykrotom — rzekł.

Siedliśmy i pojechali. Zaraz za stodołami zając wyskoczył z owsa przebiegłszy na drogę, skoczył na łąkę, znacząc ciemniejszymi ślady srebrną od rosy jej powierzchnię. Stary rzekł:

— Kot przez drogę! Na psa urok!

A potem dodał:

— Późno już. Niedługo ziemia cień chwyci.

Znaczyło to, że niedługo słońce zejdzie, bo przy blasku zorzy ciało nie rzuca cienia na ziemię.

— A to przy cieniu źle? — spytałem.

— O wielkim, to tam jako tako; ale o małym próżna robota.

W języku myśliwskim znaczyło to znów: im później, tem gorzej, bo wiadomo, że im bliżej południa, tem cień mniejszy.

— Odkąd poczniemy? — spytałem.

— Od wykrotów, ale w samych Pohorowych haszczach.

Pohorowe haszcze była to część lasu nadzwyczaj zarosła, gdzie znajdowały się wykroty, to jest jamy pod korzeniami starych drzew, wywróconych przez burzę.

— I na wabia myślicie, Wachu, że się uda?

— Pocznę grać jak basiora, może jaki basiór wyjdzie.

— A może i nie.

— E! tak i wyjdzie.

Dojechawszy do chaty Wachu, zostawiliśmy konia i bidę chłopcu, sami zaś udaliśmy się piechotą. Po półgodzinnej drodze, kiedy słońce zaczęło wschodzić, zasiedliśmy w wykrotach.

Koło nas naokół była gęstwa nieprzebita drobnych zarośli; gdzie nigdzie rosły tylko wielkie drzewa, wykrot zaś był tak głęboki, że schowaliśmy się weń z głowami.

— Teraz plecami! — mruknął Wach.

Usiedliśmy do siebie plecami, tak, że nad powierzchnię gruntu wystawały nam tylko czubki głów i lufy strzelb.

— Czuj! — rzekł Wach. — Poczynam grać.

Włożywszy dwa palce w usta i modulując niemi przeciągły głos, Wach zagrał jak basiora, to jest zawył jak wilczyca wabiąca wilków.

— Czuj!

I przyłożył ucho do ziemi.

Ja nie usłyszałem nic, ale Wach oderwał twarz od ziemi i szepnął:

— Gra, ale daleko. Będzie pół mili.

Potem czekał z kwadrans i znów zawył przebieając palcami w ustach. Żaloszny, a złowrogi głos przebił gęstwinę i daleko, daleko leciał po mokrej ziemi, odbijając się od sosny do sosny.

Wach na nowo przyłożył ucho do ziemi.

— Gra! jest nie dalej jak półtory wiorsty.

Jakoż rzeczywiście i ja usłyszałem teraz jakby odległe echo wycia, dalekie jeszcze bardzo, zaledwie dosłyszalne, ale dające się już wśród szelestu liści rozróżnić.

— Skąd wyjdzie? — spytałem.

— Na panicza.

Wach zawył trzeci raz: wycie odpowiedziało już blisko. Ścisnąłem mocniej strzelbę w rękę, a obaj zatamowaliśmy dech w piersiach. Cisza była niezmierna, wiatr tylko strząsał krople rosy z leszczyny, które spadały szemrząc po liściach. Zdaleka, z innej strony lasu, doszło nas tokowanie głuszcza.

Nagle o jakie trzysta kroków, zamajaczyło coś w gęstwinie, krzaki jałowcowe poruszyły się żywo i z pośród ciemnych igieł wynurzyła się szara trójkątna głowa ze śpiczastymi uszami i czerwonymi oczami. Strzelać nie mogłem, bo było jeszcze zbyt daleko, więc czekałem cierpliwie, lubo z bijącym sercem. Wkrótce całe zwierzę wynurzyło się z jałowcu i w kilku niewielkich skokach podbiegło ku wykrotowi, wietrząc pilnie na wszystkie strony. Na sto pięćdziesiąt kroków wilk zatrzymał się i nastawił uszy jakby coś przeczuł. Wiedziałem, że bliżej już nie podejdzie i pociągnąłem za cyngiel.

Huk strzału zmieszał się z bolesnem zaskowyceniem basiora. Wyskoczyłem z wykrotu. Wach za mną, ale wilka nie znaleźliśmy na miejscu. Wach jednak obejrzał pilnie miejsce, gdzie rosa starta była na polance i rzekł:

— Farbuje!

Rzeczywiście na trawie były ślady krwi.

— Nie pudło, choć daleko! nie pudło; farbuje, o! farbuje, trzeba za nim iść.

A więc i poszliśmy. Gdzie niegdzie trafiliśmy na potłuczoną trawę i większe ślady krwi; znać było, że ranne wilczyisko od czasu do czasu wypoczywa. Ale tymczasem upłynęła godzina drogi po gąszczach i haszczach, potem druga; słońce było już wysoko; uszliśmy ogromny kawał drogi nie znalazłszy nic prócz śladów, które zresztą czasem niknęły zupełnie. Potem trafiliśmy na kąt lasu; ślady szły ze dwie wiorsty polem w kierunku stawu i wreszcie ginęły w błotach, porośłych trzciną i tatarakiem. Dalej nie można było iść bez psa.

— Już on tam zostanie, a ja jutro go znajdę — rzekł Wach — i zawróciliśmy do domu.

Wkrótce przestałem myśleć i o wilku i o Wachu i o niefortunnym trochę rezultacie polowania, a natomiast wróciłem do zwykłego mego koła utrapień. Kiedy zbliżaliśmy się do lasu, zając mi się wyrwał prawie z pod nóg, a ja zamiast strzelić do niego, drgnąłem tylko, jakby rozbudzony z zamyślenia.

— A! panie! — zawołał z oburzeniem Wach — do rodzzonego brata bym strzelił, żeby mi się tak pomknął.

Ale ja uśmiechnąłem się tylko i szedłem dalej w milczeniu. Przechodząc przez leśną drogę, tak zwaną: Ciociną dróżkę, wiodącą do gościńca ku Chorzelom, ujrzałem na mokrej ziemi świeże ślady podkutych kopyt końskich.

— Nie wiecie, Wachu, co to mogą być za ślady? — pytam.

— Mnie się widzi, że to panicz z Chorzel tędy przejechał do dworu — odparł Wach.

— A to ja pójdę do dworu — odpowiedziałem. — Bądźcie zdrowi, Wachu.

Wach począł mnie nieśmiało prosić, bym wstąpił do jego chaty, do której było niedaleko, posilić się trochę. Wiedziałem, że jeśli mu odmówię, zrobię mu wielką przykrość, a jednak odmówiłem, obiecawszy tylko przyjść nazajutrz rano. Ale nie chciałem, by Selim i Hania zostawali długo sam na sam, beze mnie. Przez te pięć dni, które upłynęły od czasu wizyty w Ustrzycy, Selim bywał wprawdzie codziennie. Wzajemna sympatja dwojga młodych rozwijała się szybko pod moimi oczyma. Ale też pilnowałem ich jak oka w głowie i dziś pierwszy raz zachodził wypadek, że mogli zostawać z sobą dłużej sam na sam. A nuż, myślałem sobie, przyjdzie między nimi do wyznania i czułem, że błędne, jak ten, co traci nadzieję nadziei.

Bąłem się tego, jakby jakiegoś nieszczęścia, jakby niecofnionego wyroku śmierci, o którym się wie, że nadejść musi, ale który człek odwłóczy, ile mu sił stanie.

Wróciwszy do domu, na dziedzińcu spotkałem

księdza Ludwika, ubranego w worek na głowie, otaczający drucianą siatkę na twarz. Ksiądz Ludwik wybierał się do pasieki.

— Czy Selim tu jest, księżu Ludwiku — spytałem.

— Jest: będzie z półtorej godziny jak przyjechał.

Serce zadrgało mi niespokojnie.

— A gdzie go znajdę?

— Wybierali się na staw z Hanią i z Ewunią.

Pobiegłem szybko do ogrodu nad brzeg stawu, gdzie stały czółna. Rzeczywiście jednego z większych czółen brakło: spojrzałem na staw, ale zrazu nie mogłem nic dojrzeć. Domyśliłem się, że Selim musiał skrócić na prawo ku olszynom, skutkiem czego czółno wraz z jadącymi zasłonięte było przez rosnące po brzegach trzciny. Schwyciłem wiosło i wskoczywszy w małą jednoosobową łódkę, ruszyłem cicho na staw, trzymając się trzciny i nie wyjeżdżając z nich całkowicie, tak aby widzieć, nie będąc widzianym.

Jakoż wkrótce ujrzałem ich. Na obszernej, nie porośniętej trzcina przestrzemi tkwiło nieruchomie czółno: wiosła były zwieszane. Na jednym jego końcu siedziała, odwrócona od Hani i Selima, mała siostrzyczka moja Ewunia, na drugim końcu ich dwoje. Ewunia pochylona ku wodzie, uderzała w nią wesoło rączkami i całkiem była zajęta tą zabawą; Selim zaś i Hania, prawie oparci o siebie ramionami, zdawali się zatopieni w rozmowie. Najmniejszy powiew wietrzyka nie marszczył przeźroczystej, błękitnej toni, a czółno, Hania, Ewunia i Selim odbi-

jali się w niej, jak w zwierciadle, spokojnie i nieruchomie.

Był to może bardzo piękny obrazek, ale na widok jego krew uderzyła mi do głowy. Zrozumiałem wszystko: wzięli ze sobą Ewunię, bo dziecina nie mogła im przeszkadzać, ani rozumieć miłosnych wyznań. Wzięli ją dla pozorów. „Stało się!” pomyślałem sobie; „stało się!” zaszumiły trzciny. „Stało się!” wybelkotała fala, uderzając o brzeg mojej łódki i w oczach mi pociemniało; uczułem zimno i gorąco: uczułem, że bladeść pokrywa mi twarz! „Straciłeś Hanię! straciłeś!” wołały jakieś głosy nade mną i we mnie. A potem usłyszałem, jakby też same głosy wołały: „Jezus, Marja!” a potem jeszcze mówiły: „przysuń się bliżej i ukryj w trzcinach, zobaczysz więcej!” Usłuchałem i podciągnąłem się z łódką cicho jak kot. Ale i z tej odległości nie mogłem słyszeć rozmowy, widziałem tylko lepiej; siedzieli obok siebie, na jednej ławeczce, nie trzymając się za ręce, Selim jednak zwrócony był do Hani; zdawało mi się przez chwilę, że klęka przed nią, ale mi się to tylko zdawało. Zwrócony był ku niej i patrzył na nią błagalnie: ona zaś nie patrzyła na niego, ale jakby oglądała się na wszystkie strony niespokojnie, potem zaś podniosła oczy ku niebu. Widziałem, że była zmieszana; widziałem, że on błagał o coś; widziałem wreszcie jak złożył ręce przed nią, jak ona zwolna, zwolna zwracała główkę i oczy ku niemu: jak wreszcie zaczęła się ku niemu pochylać, ale nagle oprzytomniawszy, drgnęła i odsunęła się na

sam brzeżek łodzi, a wówczas on schwycił ją za rękę, niby obawiając się, żeby nie spadła w wodę. Widziałem, że nie puścił już tej ręki, a potem nie widziałem już nic więcej, bo chmura zasłoniła mi oczy. Wypuściłem wiosło z ręki i padłem na dno łodzi. „Ratunku! ratunku, Boże! wołałem w duszy, tu zabijają człowieka!“ Czułem, że brak mi tchu. O! jakże ja ją kochałem i jakież byłem nieszczęśliwy! Leżąc na dnie łodzi i szarpiąc ze wściekłości na sobie ubiór, czułem zarazem całą bezsilność tej wściekłości. Tak jest, byłem bezsilny, jak atleta ze związanymi rękami, bo i cóż mogłem uczynić? Mogłem zabić Selima, siebie; mogłem uderzyć swoją łodzią o ich łódź i zatopić w falach oboje, ale nie mogłem wyrzucić z serca Hani miłości dla Selima i zabrać dla siebie wyłącznie, niepodzielnie!

Ach! to poczucie bezsilnego gniewu, to przekonanie: niema rady! w tej chwili, gorsze było prawie od wszystkich innych. Zawsze wstydzilem się płakać nawet przed samym sobą. Jeśli ból wyciskał mi gwałtownie łzy z oczu, to niemniej gwałtownie wstrzymywała je duma. Ale teraz załamała się wreszcie bezsilna wściekłość, szarpiąca mi piersi i wobec tej samotni, wobec tej łodzi z zakochaną parą, odbijającej się w lustrzanej fali, wobec spokojnego nieba i tych trzcin, szeleszczących smutno nad moją głową i ciszy i moich nieszczęść i mojej niedoli, wybuchnąłem ogromnem łkaniem, jedną wielką falą łez i leżąc nawznak, z rękami splecionymi nad głową, ryczałem prawie z żalości, wielkiej, niewypowiedzianej.

Potem osłabłem. Napadło mnie jakieś odrętwienie. Zmysły prawie przestały działać, uczułem zimno w końcach rąk i nóg. Słabo mi było i coraz słabiej. Myślałem resztkami myśli, że to już zbliża się śmierć i uspokojenie wielkie a lodowate. Zdało mi się, że ta posępna, grobowa władczyni bierze mnie w swoje posiadanie, więc witałem ją spokojnem, szklistem okiem. Skończyło się! myślałem i niby wielki jakiś ciężar spadł mi z piersi.

Ale nie skończyło się nic. Jak długo tak leżałem na dnie łódki, nie umiałem sam sobie zdać sprawy. Na niebieskiem sklepieniu przed oczyma memi przesuwwały się czasem lekkie, puszyste chmurki, czasem przeleciały, kwiląc żałośnie, to czajki, to żorawie. Słońce weszło wysoko na niebie i paliło żarem. Ustał wiatr, przestały szemrać tkwiące nieruchomo trzciny. Obudziłem się jakby ze snu i począłem się rozglądać naokoło. Czółna z Hanią i Selimem już nie było. Cisza, spokój i upojenie, panujące w całej naturze, dziwną stanowiły sprzeczność ze stanem samego odrętwienia, z którego obudziłem się przed chwilą. Naokoło wszystko było spokojne, uśmiechnięte. Ciemno-szafirowe koniki wodne siadały na zrębach łódki i na płaskich jak tarcze, liściach nenufarów; maleńkie szare ptaszki kołysały się po trzcinach, gwarząc słodko; gdzieś słychać było pracowite brzęczenie zabłąkanej na wodach pszczołki; czasem z tataraku ozwały się dzikie kaczki; cyranki wyprowadzały swoje młode na polanki wodne. Królestwa i rzeczypospolite ptasie odchyłały oczom moim zasłonę swego codziennego życia, ale

ja nie zważałem na nic. Senność moja jeszcze nie przeszła. Dzień był znojnny, czułem nieznośny ból głowy, więc wychyliwszy się z czółna, chwyciłem dłońmi wodę i piłem ją spieczonemi ustami. Wróciło mi trochę siły. Wziąwszy wiosło, ruszyłem między szuwarami do domu, ile że już i późno było, a w domu pytano pewnie o mnie.

Po drodze próbowałem uspokajać się. Jeżeli Selim i Hania wyznali sobie, że się kochają, to może i lepiej się stało, myślałem. Przynajmniej skończyły się przeklęte dni niepewności. Niestety odchyliło przyłbicę i stoi przede mną z jasną twarzą. Znam je i muszę z niem walczyć. Dziwna rzecz, myśl ta poczęła nawet mieć dla mnie pewien bolesny urok. Ale nie miałem jeszcze pewności i postanowiłem sobie wybadać zręcznie Ewunię, przynajmniej o tyle, o ile to było możliwem.

Trafiłem w domu na obiad. Z Selimem przywitałem się zimno i siadłem do stołu w milczeniu. Ojciec spojrzał na mnie i zawołał:

— Co tobie jest, czyś nie chory?

— Nie. Zdrow jestem, tylko zmęczony. Wstałem o trzeciej rano.

— Dlaczego?

— Chodziliśmy z Wachem na wilki. Postrzeliłem wilka. Później położyłem się spać i trochę mnie głowa boli.

— A przejrzyjno się w lustrze, jak wyglądasz.

Hania przestała na chwilę jeść i przypatrywała mi się pilnie.

— Może to wczorajsza wizyta w Ustrzycy tak podziałała na pana, panie Henryku? — rzekła.

Spojrzałem jej prosto w oczy i spytałem prawie ostro:

— Jak to rozumiesz?

Hania zmieszała się i poczęła coś niewyraźnie tłumaczyć. Selim przyszedł jej w pomoc.

— No, to bardzo naturalnie. Kto się kocha, ten mizernieje.

Zacząłem spoglądać naprzemiany to na Hanię, to na Selima i odpowiedziałem zwolna, dobitnie, kładąc nacisk na każdą sylabę:

— Nie widzę, żebyście zmizernieli: ani ty, ani Hania.

Ponsowy rumieniec oblał twarze obojga. Nastąpiła chwila bardzo kłopotliwego milczenia. Ja sam nawet byłem niepewny, czy nie za daleko się posunąłem: szczęściem jednak ojciec nie wszystko słyszał, co się mówiło, ksiądz Ludwik zaś wziął to za zwykłe przekomarzanie się młodych.

— A to osa z żądłem! — wykrzyknął zażywszy tabaki. — A to was wziął. A widzicie: nie zaczepiajcie go.

O, Boże! jakże mnie mało ten mój triumf pocieszał i jakże chętnie zrzekłbym się go za przegraną Selima!

Po obiedzie, przechodząc przez salon, spojrzałem w lustro. Rzeczywiście wyglądałem jak Piotrowin. Oczy miałem podsiniałe, twarz zapadłą. Wydało mi się, że zbrzydłem ogromnie, ale to teraz było mi już wszystko jedno.

Poszedłem szukać Ewuni. Obie siostrzyczki, które obiad jadały wcześniej od nas, były w ogrodzie, gdzie była urządzona gimnastyka dziecinna. Ewunia siedziała niedbale na drewnianym stołku, zawieszonym na czterech sznurach u poprzecznej belki huśtawki. Siedząc rozprawiała sama z sobą, potrząsając od czasu do czasu lokami swej złotej główki i przebierając nóżkami.

Ujrawszy mnie uśmiechnęła się i wyciągnęła małe rączki. Wzięłem ją na ręce i poszedłem w głąb alei.

Potem siadłem na ławce i postawiwszy Ewunię przed sobą, spytałem:

— Cóż tam Ewunia dziś robiła cały dzień?

— Ewunia jeździła na spacieł z mężiem i Hanią — odpowiedziała, przechwalając się dziewczynką.

Selima nazywała Ewunia swoim mężem.

— A czy Ewunia była grzeczna?

— Była.

— Ha! bo grzeczne dzieci to zawsze przysłuchują się, co starsi mówią i uważają, żeby się czegoś nauczyć. A czy Ewunia pamięta, co Selim mówił z Hanią?

— Zapomniałam.

— Ej, może choć trochę Ewunia pamięta?

— Zapomniałam.

— Niegrzeczna jesteś! Niech Ewunia sobie zaraz przypomni, bo nie będę kochał Ewuni.

Dziewczynka zaczęła trzeć piąstką jedno oko, a drugim zażawionem poglądała na mnie z pod czoła i zachmurzywszy się jakby do płaczu, z pod-

kówką na ustach, rzekła już drgającym od łez głosem:

— Zapomniałam.

Cóż mogło mi odpowiedzieć biedactwo? Doprawdy wydałem się sam sobie głupim, a zarazem wstyd mi się jakoś zrobiło mówić dwoistym językiem do tego niewinnego aniolka: o co innego pytać, czego innego chcieć się dowiedzieć. Przytem Ewunia była pieśczętą całego domu i moją, więc nie chciałem jej dłużej udęczać. Ucałowałem ją tedy w buzię, pogłaskałem i puściłem. Dziewczynka pobiegła zaraz na huśtawkę, ja zaś odszedłem taki mądry jak i poprzednio; jednakże z przekonaniem w duszy, że wyznanie między Selimem a Hanią już nastąpiło.

Nad wieczorem dnia tego Selim rzekł do mnie:

— Nie zobaczę cię przez tydzień, jadę.

— Gdzie? — spytałem obojętnie.

— Ojciec mi każe — odrzekł — odwiedzić stryja w Szumnej; muszę tam zabawić z jaki tydzień.

Spojrzałem na Hanię. Wiadomość ta nie wywołała na jej twarzy żadnego wrażenia. Widocznie Selim mówił już z nią poprzednio.

Natomiast uśmiechnęła się i podniósłszy oczy od robótki, patrzyła na Selima figlarnie trochę, trochę przekornie, potem zaś rzekła:

— A czy pan z wielką ochotą tam jedzie?

— Jak bryś na łańcuch! — odpowiedział szybko; ale pomiarkował się wczas i widząc, że pani d'Yves, która nie znosiła najmniejszej trywjalności, krzywi się trochę, dodał:

— Przepraszam za wyrażenie, ja stryja kocham,

ale widzi pani... mnie tu... blisko... pani d'Yves lepiej.

I mówiąc to rzucił romansowe spojrzenie na panią d'Yves, co pobudziło do śmiechu wszystkich, nie wyjmując i pani d'Yves, która lubo obraźliwa, miała do Selima szczególniejszą słabość. Wzięła go jednak lekko za ucho i z dobrotliwym uśmiechem rzekła:

— Młody człowieku, mogłabym być twoją matką!

Selim pocałował ją w rękę i była zgoda, ja zaś pomyślałem sobie: jaka to jednak różnica między mną a tym Selimem. Gdybym ja tak posiadał wzajemność Hani, tobym tylko marzył i patrzył w niebo. Gdzieby mi tam było do żartów, a on i śmiał się i żartował i był wesoły tak jakby nigdy nie.

Kiedy nawet promieniował ze szczęścia, czynił to zawsze wesoło.

Na samym odjeździe rzekł do mnie.

— Wiesz co ci powiem: jedź ze mną!

— Nie pojadę. Nie mam wcale zamiaru.

Zimny ton tej odpowiedzi uderzył jakoś Selima.

— Dziwny ty się jakiś stałeś — odparł. — Nie poznaję cię od niejakiego czasu, ale...

— Dokończ.

— Ale zakochanym wszystko się wybacza.

— Z wyjątkiem jeśli nam w drogę wchodzi — odpowiedziałem głosem kamiennego Komandora.

Selim uderzył mnie przenikliwym spojrzeniem jak błyskawicą i sięgnął mi aż do dna duszy.

— Co ty mówisz?

— Mówię, że nie pojadę, a powtóre nie wszystko się przebacza!

Gdyby nie to, że przy tej rozmowie wszyscy byli obecni, Selim zapewne natychmiast postawiłby jasno całą sprawę. Ja jednak nie chciałem jej stać jasno, póki nie miałem pewniejszych powodów. Widziałem jednak, że ostatnie moje słowa zaniepokoiły Selima, a strwożyły Hanię. Pokręcił się jeszcze chwilę, zwłócząc odjazd pod błahemi pozorami, a potem upatrzwszy chwilę, rzekł do mnie zcicha:

— Siądź na koń i odprowadź mnie. Chcę z tobą pomówić.

— Innym razem — odpowiedziałem głośno. — Dziś czuję się trochę słaby.

IX.

Selim istotnie odjechał do stryja i bawił tam nie tydzień, ale dni dziesięć. Smutno płynęły nam te dni w Litwinowie. Hania zdawała się mnie unikać i poglądała na mnie, jakby z tajoną obawą. Nie miałem wprawdzie zamiaru rozmawiać z nią szczerze o niczem, bo pętała mi słowa na ustach duma, ale ona nie wiem już dlaczego, urządziła tak sprawy umyślnie, że nie byliśmy ani przez chwilę sam na sam. Zresztą tęskniła widocznie. Zmizerniała aż i schudła, a ja ze drżeniem patrząc na jej tęsknotę, myślałem: więc to nie kaprys dziewczęcy przelotny, ale na nieszczęście uczucie prawdziwe i głębokie! Sam zresztą byłem rozdrażniony, chmurny i smutny. Napróżno ojciec, ksiądz i pani d'Yves wypytywali się, co mi jest? Czym nie chory? Odpowiadałem przecząco, a troskliwość ich drażniła mnie tylko.

Dnie całe spędzałem samotnie, na koniu, to w lasach, to w szuwarach na łodzi. Żyłem jak dziki człowiek. Raz całą noc przepędziłem w lesie ze strzelbą i psem przy ognisku, które roznieciłem umyślnie. Czasem po pół dnia spędzałem z owczarzem naszym, który był znachorem, a zdziczały przez ciągłą samotność, zbierał wiecznie różne zioła, badał ich własności i mnie wtajemniczał w świat fantastyczny guseł i przesądów. Doprawdy czyby kto uwierzył? Ale były chwile, że tęskniłem za Selimem i za moimi „kołami udręczeń“, jak je zwykle nazywałem.

Raz przyszła mi myśl odwiedzić starego Mirzę w Chorzalach. Stary ujęty tem, że odwiedzam go dla niego samego, przyjął mnie z otwartymi rękoma. Ale ja w innym tam przybyłem celu. Ot przyszło mi na myśl popatrzeć w oczy portretowi owego strasznego Mirzy, pułkownika petyhorców, z czasów Sobieskiego. I gdym patrzył w te złowrogie oczy, zwracające się wszędzie za człowiekiem, przyszli mi na myśl moi własni dziadowie, których konterfekty wisiały w sali bawialnej u nas; również surowi, żelaźni.

Umysł mój pod wpływem podobnych wrażeń doszedł do stanu dziwnej egzaltacji. Samotność, cisza nocna, życie z naturą, wszystko to powinno było podziałać na mnie uspokajająco: ale ja nosiłem w sobie niby zatruty postrzał. Chwilami oddawałem się marzeniom, które ten stan jeszcze pogarszały. Nie raz leżąc w jakim zapadłym kącie boru lub na łodzi w szuwarach, wyobrażałem sobie, że jestem w po-

koiku Hani przy jej nogach, że całuję jej stopy, ręce i sukienkę, że nazywam ją najbardziej pieśczoneimi imionami, a ona kładzie mi swoje ubóstwiane dłonie na rozpalone czoło i mówi: „Nacierpiałeś się już dosyć, zapomnijmy o wszystkim! To był przykry sen! Ja ciebie kocham, Henryku!“ Ale potem następowało przebudzenie i ta szara rzeczywistość, ta posępna jak chmurny dzień moja przyszłość, wiecznie bez niej, aż do końca życia bez niej, wydawała mi się tem straszniejszą. Dziczałem więc coraz więcej, unikałem ludzi, nawet ojca, księdza Ludwika i pani d'Yves. Kazio ze swoją gadatliwością chłopca-podlotka, ze swoją ciekawością, wiecznym śmiechem i wiecznymi psotami, uprzykrzył mi się do ostatka. A jednak oni poczciwi starali się mnie rozerwać i cierpieli po cichu nad moim stanem, nie umiając go sobie wytłómaczyć. Hania, czy się domyślała czego czy nie, boć miała silne powody wierzyć, że kocham się w Loli Ustrzyckiej, robiła co mogła, żeby mnie pocieszyć. Byłem jednak tak cierpki nawet i dla niej, że nie mogła pozbyć się pewnej obawy, mówiąc do mnie. Ojciec, sam ojciec zwykle surowy i bezwzględny, próbował mnie rozerwać i zainteresować czemkolwiek, a przytem zbadać. Niejednokrotnie zaczynał ze mną rozmowy, które, jak sądził, powinny były mnie zająć. Pewnego dnia po obiedzie, wyszedł ze mną na dziedziniec i rzekł, patrząc na mnie badawczo:

— Czy tobie się czasem nie zdaje jedna rzecz? Chciałem się o to dawno spytać: czy tobie się nie zdaje, że Selim trochę zanadto kręci się koło Hani.

Poprostu rzeczy sądząc, powinienem się był

zmieszać i dać się złapać, jak to mówią, na gorącym uczynku. Ale byłem w takim nastroju, że ani jednym drgnieniem nie zdradziłem wrażenia, jakie uczyniły na mnie słowa ojca i rzekłem spokojnie:

— Nie. Wiem, że tak nie jest..

Ubodło mnie, że ojciec brał udział w tych sprawach. Sądziłem, że ponieważ tu o mnie tylko chodzi, a więc ja tylko będę rozstrzygał.

— Czy ręczysz za to? — spytał ojciec.

— Ręczę. Selim kocha się w Warszawie w jakiejś tam pensjonarce.

— Bo widzisz jesteś przecie opiekunem Hani i powinienes nad nią czuwać.

Wiedziałem, że pocziwy ojciec mówił to tylko dlatego, żeby pobudziwszy moją miłość własną, zająć mnie czemś i wyrwać moje myśli z tego ponurego kręgu, w którym zdawałem się obracać; ale odpowiedziałem, jakby na przekór obojętnie i ponuro:

Co ja tam jestem za opiekunem. Ojca nie było, więc stary Mikołaj mnie ją zostawił, ale prawdziwym opiekunem nie ja jestem.

Ojciec zmarszczył się; widząc jednak, że tym sposobem nie trafi ze mną do ładu, wziął się na inny. Uśmiechnął się pod siwym wąsem, przymrużył po żołniersku jedno oko, wziął mnie zlekka za ucho i niby poufale, niby drażniąc się, spytał:

— A może tobie Hania zawróciła głowę? Gadaj chłopcze, co?

— Hania? Ani trochę. A toby było zabawne!

Kłamałem jak najęty, ale szło mi gładziej, niżem się spodziewał.

— To może Lola Ustrzycka? Co?

— Lola Ustrzycka, kokietka!

Ojciec zniecierpliwił się.

— To czegoż, u licha, jeśli się nie kochasz, łazisz jak rekrut po pierwszej mustrze?

— Czy ja wiem. Nic mi nie jest.

Ale podobne badania, jakich przez troskliwość nie szczędzili mi ani ojciec, ani ksiądz Ludwik, ani nawet pani d'Yves, męczyły mnie i niecierpliwiły coraz bardziej. Wreszcie stosunki moje z nimi zaczęły być przykre. Unosiłem się i gniewałem o lada co. Ksiądz Ludwik widział w tem pewne rysy wybijającego się na wierzch z wiekiem despotycznego charakteru i spoglądając na ojca uśmiechał się znacząco i mówił: „rodem kurki czubate!“ Ale z tem wszyskiem zabrakło i jemu czasem cierpliwości. Między ojcem i mną przyszło kilkakrotnie do zajść bardzo przykrych. Raz nawet przy obiedzie, gdy w dyspucie o szlachetczyznę i demokrację uniosłem się do tego stopnia, że oświadczyłem, że wolałbym sto razy nie rodzić się szlachcicem: ojciec kazał mi wyjść z pokoju. Kobiety popłakały się, skutkiem tego i cały dom chodził przez dwa dni skwaszony. Co do mnie: nie byłem wówczas ani arystokratą, ani demokratą, byłem tylko rozkochany i nieszcześliwy. Na zasady, teorje i socjalne przekonania nie było we mnie wcale miejsca, a jeżeli bojowałem w imię jednych przeciw drugim, czyniłem to tylko z rozdrażnienia, na złość niewiadomo komu i dla czego, tak samo, jak na złość wdawałem się z księdzem Ludwikiem w dysputy religijne, które kończyliśmy

trzaskając drzwiami. Jednem słowem, zatrąłem życie nie tylko sobie, ale i całemu domowi; to też gdy Selim wrócił wreszcie po dziesięciodniowej niebytności, wszystkim jakby kamień spadł z piersi. Kiedy przyjechał do nas, mnie nie było w domu, bo tłukłem się na koniu po okolicy. Wróciłem do domu dopiero nad wieczorem i zajechałem wprost na dziedziniec folwarczny, gdzie zaraz chłopak stojący, odbierając ode mnie konia, rzekł:

— Panicz z Chorzel przyjechał.

W tej chwili nadbiegł Kazio i powtórzył mi tę wiadomość.

— Wiem już o tem — odpowiedziałem mu szorstko. — Gdzie jest Selim?

— Zdaje mi się, że w ogrodzie, z Hanią. Pójdę go poszukać.

Poszliśmy obaj do ogrodu, ale Kazio pobiegł naprzód, ja zaś szedłem zwolna za nim, umyślnie nie śpiesząc się z powitaniem.

Nie uszedłem jeszcze pięćdziesięciu kroków, gdy na skrócie alei znowu ujrzałem wracającego pośpiesznie Kazia.

Kazio, który był wielki pajac i trefniś, zdaleka już zaczął wyrabiać dziwne jakieś miny i gesta, jak małpka; był przytem czerwony, palec trzymał na ustach i śmiał się, tłumiąc jednocześnie śmiech. Zbliżywszy się do mnie, zawołał zcicha:

— Henryk! Hi! hi! hi! Tsss!

— Co ty wyrabiasz? — zawołałem niechętnie.

— Tss! jak mamę kocham! hi! hi! Selim klęczy przed Hanią w chmielowej altanie. Jak mamę kocham!

Porwałem go natychmiast za ramiona i wpilem w nie palce.

— Milcz! zostań tu! Ani słowa nikomu, rozumiesz! Zostań tu, ja sam pójdę, ale milcz, ani słowa przed nikim, jeśli ci życie moje miłe!

Kazio, który z początku całą rzecz brał ze strony humorystycznej, widząc trupa bladość, jaką pokryła mi twarz, przeraził się widocznie i pozostał na miejscu z otwartymi ustami, ja zaś pobiegłem jak szalony w kierunku chmielowej altany.

Przezołgnąwszy się szybko i cicho jak wąż między krzakami berberysu, które otaczały altankę, dotarłem do samej ściany. Ściany zbudowane były w kratkę z cienkich bierwionek, mogłem więc i widzieć i słyszeć wszystko. Wstrętne role podsłuchującego nie wydała mi się wcale wstrętne. Delikatnie rozsunąłem liście i nadstawiłem ucha.

— Ktoś tu jest blisko! — doszedł mnie cichy, przytłumiony szept Hani.

— Nie! To liście poruszają się na gałązkach — odpowiedział Selim.

Spojrzałem na nich przez zielone obłonki liści. Selim nie klęczał już przy Hani, ale siedział przy niej na niskiej ławeczce. Ona była blada, jak płótno, oczy miała zamknięte, głowę pochyloną i opartą na jego ramieniu, on ręką obejmował ją w pół i tulił do siebie z miłością i rozkoszą.

— Kocham, Haniu! kocham, kocham! — powtarzał, szepcząc namiętnie i pochyliwszy głowę, gonił ustami jej usta; ona zaś cofała się, jakby broniąc pocałunku, ale mimo to, usta ich spotkały się, zwały

i pozostały tak połączone, przyciśnięte jedno drugimi długo, długo, ach! mnie się zdało, że wieki całe.

A potem jeszcze mi się zdawało, że wszystko, co mieli sobie powiedzieć, wycelowali ustami. Jakiś wstyd tamował im słowa. Mieli dosyć śmiałości do pocałunków, a nie mieli jej do rozmowy. Cisza panowała śmiertelna, a wśród ciszy tej dochodził mnie tylko szybki i namiętny ich oddech.

Chwyciłem rękoma za drewniane kraty altany i bałem się, żeby nie rozkruszyły się w drzazgi w tym konwulsyjnym uścisku. W oczach mi ciemniało, czułem zawrót głowy, ziemia uciekała gdzieś z pode mnie w nieskończoną głębię. Ale choćby za cenę życia chciałem wiedzieć, co będą mówić; więc jeszcze zapanowałem nad sobą i chwytając spieczonymi ustami powietrze, z czołem, przyciśniętem do kraty, słuchałem, licząc każde ich tchnienie.

Cisza trwała jeszcze czas jakiś, wreszcie Hania pierwsza poczęła szeptać:

— Dosyć już! dosyć! Ja nie śmiem w oczy panu spojrzeć. Chodźmy stąd!

I odwracając w bok głowę, usiłowała się wyrwać z jego ramion.

— O Haniu! co się ze mną dzieje, jakim ja szczęśliwy! — wołał Selim.

— Chodźmy stąd. Tu kto nadejdzie.

Selim porwał się z miejsca, z błyszczącymi oczyma i rozdętymi nozdrzami.

— Niech świat cały nadejdzie — odpowiedział — ja kocham i powiem to wszystkim w oczy. Ja sam nie wiem, jak się to stało. Walczyłem z sobą, cier-

piałem, bo mi się zdawało, że cię kocha Henryk, a ty jego. Ale teraz nie uważam na nic. Ty mnie kochasz, a więc o twoje szczęście chodzi.

— O, Haniu, Haniu!

I tu znowu zaszemrał pocałunek, a potem Hania poczęła mówić głosem miękkim i jakby osłabłym.

— Wierzę, wierzę, panie Selimie, ale ja mam panu wiele rzeczy powiedzieć! Mnie chcą podobno wysłać stąd zagranicę do pani. Wczoraj pani d'Yves rozmawiała o tem z panem: pani d'Yves myśli, że to ja jestem powodem tego dziwnego stanu pana Henryka. Myślą, że on się we mnie kocha. Ja sama nie wiem, czy tak nie jest. Są chwile, że mi się tak zdaje. Ja go nie rozumiem. Ja się go boję. Czuję, że on nam będzie przeszkadzał, że on nas rozłączy, a ja...

I skończyła zaledwie dosłyszonym szeptem:

— Ja bardzo, bardzo kocham!

— Słuchaj, Haniu — odpowiedział Selim. — Żadna siła ludzka nas nie rozłączy. Gdyby Henryk zabronił mi tu bywać, będę pisywał do ciebie. Mam kogoś takiego, kto zawsze list zanieśnie. Będę przejeżdżał sam od strony stawu. Szarą godziną wyjdę zawsze do ogrodu. Ale ty nie wyjdiesz. Gdyby cię chcieli wysłać: ja na to nie pozwolę, jak Bóg na niebie. Haniu, nie mów nawet takich rzeczy, bo ja oszaleję! O! moja ukochana, ukochana!

Porwawszy jej ręce, cisnął je namiętnie do ust. Ona zerwała się gwałtownie z ławki.

— Słyszę jakieś głosy: nadchodzą! — zawołała z przestрахem.

Wyszli oboje, chociaż nie nadchodził i nie nadszedł nikt. Wieczne promienie słońca rzucały na nich blaski złote, a mnie te blaski wydały się takie czerwone, jak krew. Zawlokłem się i ja zwolna ku domowi. Zaraz na skrócie ulicy spotkałem czatującego Kazia.

— Wyszli. Widziałem ich — szepnął. — Powiedz mi, co mam robić?

— Strzel mu w łeb — zawołałem z wybuchem.

Kazio spłonął jak róża, a oczy zaświeciły fosforycznie.

— Dobrze! — odparł.

— Stój! nie bądź głupcem. Nie rób nic. Nie mieszaj się do niczego i na honor twój, Kaziu, milcz. Zдай wszystko na mnie. Jak mi będziesz potrzebny, powiem ci; ale przed nikim ani słowa.

— Ani pisać, choćby mnie zabili.

Przez chwilę szliśmy w milczeniu. Kazio przejęty teraz ważnością kwestji i wietrzący jakieś groźne wypadki, do których skakało mu serce, poglądał na mnie roziskrzonymi oczyma, potem rzekł:

— Henryku!

— Co?

Szeptaliśmy obaj, choć nikt nas nie słuchał.

— Czy ty się będziesz bił z Mirzą?

— Nie wiem. Może.

Kazio zatrzymał się i nagle zarzucił mi ręce na szyję.

— Henryku! mój złoty! mój serdeczny! mój jedyny! Jeżeli ty się z nim chcesz bić, to pozwól,

niech ja to zrobię. Już ja sobie z nim dam radę. Niech ja się spróbuję. Pozwól, Henryku, pozwól!

Kaziowi, poprostu, marzyły się czyny rycerskie, ale ja poczułem w nim brata, jak nigdy przedtem, więc przygarnąłem go do piersi z całej siły i rzekłem:

— Nie, Kaziu, ja jeszcze nic nie wiem. A powtóre: onby nie przyjął. Ja jeszcze nic nie wiem, co się stanie. Tymczasem każ mi osiodłać konia wcześniej. Pojadę przed nim, złapię go w drodze i rozmówię się z nim. Tymczasem pilnuj ich, ale nie daj poznać, że wiesz o czemkolwiek. Każ mi osiodłać konia.

— Czy broń weźmiesz ze sobą?

— Fe! Kaziu! przecież on nie ma przy sobie broni. Nie! Ja się chcę z nim tylko rozmówić. Bądź spokojny i ruszaj zaraz do stajni.

Kazio skoczył natychmiast według polecenia, ja zaś wróciłem wolno do domu. Byłem jak człowiek, którego uderzono obuchem siekiery w głowę. Mam prawdę rzec: nie wiedziałem co mam robić; nie wiedziałem, jak mam postąpić. Poprostu chciało mi się krzyczeć.

Zanim miałem zupełną pewność utraty serca Hani, pragnąłem mieć tę pewność, sądziłem, że bądź co bądź spadnie mi kamień z serca: teraz nieszczęście odchyliło przyłbicę, a ja patrzyłem w zimną lodowatą twarz, w kamienne jego oczy i znów nowa niepewność zrodziła mi się w sercu, nie niepewność nieszczęścia, ale stokroć gorsze poczucie własnej niemocy: niepewność, jak z nim walczyć.

Serce moje przepełnione było żółcią, goryczą i wściekłością. Głosy ofiarne, głosy poświęceń, które dawniej nieraz wołały mi w duszy: „zrzeknij się Hani dla jej szczęścia; tyś o szczęście jej przede wszystkim dbać powinien; poświęć się!” głosy takie umilkły teraz zupełnie. Anioł cichego smutku, anioł rzewności i anioł łez uleciały daleko ode mnie. Czulem się robakiem, którego zdeptano, ale o którym zapomniano, że ma żądkło. Dałem się dotychczas gnać nieszczęściom jak wilk psom, ale zbyt sponiewierany i przyparty, poczęłem jak wilk pokazywać im zęby. Jakaś nowa siła czynna, której na imię było: mściwość, rozbudziła się w mem sercu. Począłem czuć, jakby rodzaj nienawiści do Selima i Hani. Stracę życie, myślałem sobie, stracę wszystko, co można stracić na świecie, a nie pozwolę na szczęście tych dwojga. Przejęty tą myślą chwyciłem się jej jak potępieniec krzyża. Znalazłem powód do życia: horyzont rozjaśnił się przede mną: odetchnąłem szeroko, bardzo szeroko i swobodnie, jak nigdy przedtem! Rozproszone i zwichrzone myśli wróciły mi do porządku i całą siłą skierowały się w jednym złowrogim dla Selima i Hani kierunku. Gdy wróciłem do domu, byłem prawie spokojny, chłodny. W sali siedziała pani d'Yves, ksiądz Ludwik, Hania, Selim i Kazio, który wrócił już był ze stajni i nie odstępował ich ani na krok jeden.

— Czy koń jest dla mnie? — spytałem Kazia.

— Jest.

— Odprowadzisz mnie? — wtrącił Selim.

— Mogę. Jadę do stogów, zobaczyć czy niema szkód jakich. Kaziku, puść mnie na swoje miejsce.

Kazio ustąpił się, ja zaś siadłem koło Selima i Hani na kanapce, stojącej pod oknem. Mimowoli przypomniałem sobie, jak siedzieliśmy tak dawno już, dawno, zaraz po śmierci Mikołaja, wówczas, gdy Selim opowiadał bajkę krymską o sułtanie Herunie i wróżce Lali. Ale wówczas mała jeszcze i spłakana Haniulka, oparła złotą główkę na mojej piersi i usnęła; dziś, taż sama Hania, korzystając z mroku zapadającego w sali, ścisnęła pokryjomu rękę Selima. Wówczas łączyło nas wszystkich troje słodkie uczucie przyjaźni, dziś miłość i nienawiść miały wkrótce pójść z sobą w zapasy. Ale napozór wszystko było spokojnie: zakochani uśmiechali się do siebie, ja byłem weselszy niż zwykle, nikt zaś nie podejrzewał, jaka to była wesołość. Wkrótce pani d'Yves poprosiła Selima, żeby co zagrał. Wstał, usiadł przy fortepianie i począł grać mazurki Szopena, ja zaś zostałem przez chwilę sam na sam z Hanią na kanapce. Zauważyłem, że patrzy na Selima jak w tęczę i że na skrzydłach muzyki ulatuje w krainę marzeń, więc postanowiłem ją sprowadzić na ziemię.

— Prawda, Haniu — rzekłem — ile to ma talentów ten Selim? — gra i śpiewa.

— O prawda! — rzekła.

— A przytem co za piękna twarz, spojrzyno w tej chwili na niego.

Hania poszła za kierunkiem oczu moich. Selim siedział w mroku, tylko głowa jego oświecona była

ostatniemi promieniami zorzy wieczornej, a w tych blaskach, ze wzniesionemi oczyma, wyglądał jak natchniony, bo też i był natchniony w tej chwili.

— Prawda jaki piękny, Haniu? — powtórzyłem.

— Czy pan go bardzo kocha?

— Na tem mu nic nie zależy, ale kobiety kochają go. Ach! jakże go kochała ta pensjonarka Józia!

Niespokojność zarysowała się na gładkiem czole Hani.

— A on? — spytała.

— Ej! on dziś kocha tę, jutro inną! On nigdy długo jednej nie może kochać. Taka już natura. Jeżeli ci powie kiedy, że cię kocha, nie wierz mu (tu zacząłem mówić z naciskiem): będzie mu chodziło o twoje pocałunki, nie o twoje serce: rozumiesz?

— Panie Henryku!

— Prawda! co też ja mówię! Przecie ciebie to nie nie obchodzi. A zresztą, ty taka skromna, czyżbyś ty dała swój pocałunek obcemu, Haniu! przepraszam cię, bo mi się zdaje, że cię obraził nawet przypuszczeniem. Tybyś nigdy na to nie pozwoliła. Prawda, Haniu, nigdy?

Hania zerwała się i chciała odejść, ale schwyciłem ją za rękę i zatrzymałem przemocą. Usiłowałem być niby spokojny, a wściekłość dusiła mnie, niby kleszczami za gardło. Czułem, że tracę władzę nad sobą.

— Odpowiedz! — rzekłem stłumionem uniesieniem — inaczej cię nie puszcze!

— Panie Henryku! Czego pan chce? Co pan mówi?

— Ja mówię... ja mówię... — wyszeptałem z zacisniętymi zębami — ja mówię, że wstydu nie masz w oczach! Ha!

Hania siadła bezwładnie napowrót na kanapce; spojrzałem na nią: blada była jak płótno. Ale litość nad tem biedactwem uleciała ode mnie. Chwyciłem ją za rękę i cisnąc za drobne paluszki, mówiłem dalej:

— Słuchaj! byłem u nóg twoich! kochałem cię więcej niż świat cały...

— Panie Henryku!...

— Cicho bądź: widziałem i słyszałem wszystko! Jesteś bezwstydną! Ty i on!

— Mój Boże! mój Boże!

— Jesteś bezwstydną! Jabym nie śmiał ucałować krańca twojej sukienki, a on całował cię w usta. Ty sama garnęłaś się do pocałunków! Haniu! Ja tobą pogardzam! Ja cię nienawidzę!

Głos zamarł mi w piersi. Począłem tylko oddychać szybko i łowić powietrze, którego mi brakło w piersiach.

— Zgadłaś! — mówiłem po chwili — że ja was rozłączę. Choćbym miał życie stracić, rozłączę was: choćbym miał zabić ciebie, jego i siebie. Nieprawda co ci mówiłem przed chwilą. On ciebie kocha, onby cię nie porzucił, ale ja was rozłączę.

— O czem tak żywo rozprawiacie? — spytała nagle pani d'Yves, siedząca w drugim końcu sali.

Była chwila, że chciałem się zerwać i wypowiedzieć w głos wszystko, ale się opamiętałem i odrzekłem niby spokojnym, trochę przerywanym głosem:

— Sprzecząmy się, która altana w naszym ogrodzie piękniejsza: różana, czy chmielowa?

Selim przestał nagle grać i spojrzał na nas uważnie, a potem odrzekł z największym spokojem:

— Jabym tam oddał wszystkie inne za chmielową.

— Nie zły masz gust — odpowiedziałem — Hania przeciwnego jest zdania.

— Czy naprawdę, panno Hanno? — spytał.

— Tak — rzekła cicho.

Znowuż czułem, że nie wytrzymam dłużej w tej rozmowie. Jakies czerwone koła zaczęły mi migać przed oczyma. Zerwałem się i wybiegłszy przez kilka pokoi do sali jadalnej, porwałem za stojącą na stole karafkę z wodą i wylałem ją sobie na głowę. Potem, nie wiedząc już co czynię, grzmotnąłem karafką o ziemię, aż rozprysła się na tysiąc kawałków i wybiegłem do sieni.

Koń mój i Selima stały już osiodlane przed ganikiem.

Na chwilę wpadłem jeszcze do mego pokoju, aby jako tako obetrzeć się z wody i uczyniwszy to wróciłem do sali.

W sali zastałem księdza Ludwika i Selima w największym przerażeniu.

— Co się stało? — spytałem.

— Hania zaśląbła, zemdląła.

— Co? jak? — krzyknąłem, chwyciwszy księdza za ramię.

— Zaraz po twojem odejściu wybuchnęła głośnym płaczem, a potem zemdląła. Pani d'Yves zabrała ją do siebie.

Nic nie rzekłszy, poleciałem do pokoju pani d'Yves. Hania istotnie wybuchnęła głośnym płaczem i zemdląła, ale paroksyzm już minął. Gdym ją ujrzał, zapomniałem o wszystkim i rzuciwszy się na kolana przed jej łóżkiem jak szalony, nie zważając na obecność p. d'Yves, krzyknąłem:

— Haniu! moja złota! moja kochana! Co tobie?

— Nic! już nic! — odpowiedziała słabym głosem i próbowała się uśmiechnąć. — Nic już. Doprawdy nic.

Przesiedziałem u niej z kwadrans. Potem pocałowałem ją w rękę i wróciłem do sali. Nieprawda! Nie nie nawidziłem jej! Kochałem ją jak nigdy! Ale za to, gdym ujrzał Selima w sali, miałem ochotę go udusić. O! jego to, jego! nienawidziłem teraz z głębi duszy. Obaj z księdzem podbiegli do mnie natychmiast.

— No! jakże tam?

— Już dobrze.

I zwróciwszy się do Selima, rzekłem mu do ucha.

— Jedź do domu. Jutro zjedziemy się u kopców na skraju lasu. Chcę z tobą pomówić. Nie chcę, żebyś tu przyjeżdżał. Nasze stosunki muszą się skończyć.

Selimowi krew uderzyła na twarz.

— Co to znaczy?

— Jutro to ci wytłumaczę. Dziś nie chcę. Rozumiesz? Nie chcę. Jutro o szóstej rano.

To rzekłszy, wróciłem do pokoju pani d'Yves. Selim pobiegł za mną parę kroków, ale zatrzymał się we drzwiach. W kilka minut później widziałem go przez okno jak odjeżdżał.

Siedziałem z godzinę w pokoju, przyległym do pokoiku Hani. Wejść do niej nie mogłem, bo osłabiona płaczem usnęła. Pani d'Yves wraz z księdzem Ludwikiem, zeszli na jakąś naradę do ojca. Siedziałem sam aż do pory herbaty.

Przy herbacie spostrzegłem, że ojciec, ksiądz i pani d'Yves mieli jakieś pół-tajemne, pół-surowe twarze. Wyznaję, że ogarnęła mnie pewna niespokojność. Czyżby mieli się domyślać czego? Było to prawdopodobne; bo bądź co bądź działy się między nami młodymi dzisiaj rzeczy dość nienaturalne.

— Miałem dziś list od matki — rzekł do mnie ojciec.

— Jakże zdrowie matki?

— Zupełnie dobrze. Ale jest niespokojna o to, co się dzieje w domu. Chce wracać niedługo, ale nie pozwolę na to: musi jeszcze ze dwa miesiące zabawić.

— O cóż matka jest niespokojna?

— Wiadomo ci przecie, że we wsi panuje ospa; byłem tyle nieostrożny, że o tem doniosłem.

Coprawda, nic nie wiedziałem, że we wsi panuje ospa. Może wreszcie i słyszałem o tem, ale wiadomość obita się zapewne o moje uszy jak o ścianę.

— Czy ojciec nie odwiedzi matki? — spytałem.

— Zobaczę. Pomówimy o tem.

— A to już blisko rok, jak kochana pani bawi zagranicą — rzekł ksiądz Ludwik.

— Zdrowie jej tego wymaga. Przyszłą zimę będzie już mogła tu spędzić. Pisze, że czuje się daleko zdrowszą, tylko tęskni za nami i jest niespokojna — odrzekł ojciec.

A potem, zwróciwszy się do mnie, dodał:

— Po herbacie, przyjdź do mego pokoju. Chcę z tobą pomówić.

— Dobrze ojcze.

Wstałem i razem ze wszystkimi poszedłem do Hani. Była już zupełnie dobrze; chciała nawet wstać, ale ojciec na to nie pozwolił. Koło godziny dziesiątej wieczór, jakaś bryczka zadudniła przed gankiem. Przyjechał doktor Stanisław, który od południa bawił w chatach włościańskich. Wybadawszy dobrze Hanię, oświadczył, że wcale nie jest chora, ale potrzebuje rozrywki i odpoczynku. Zabronił jej się uczyć, kazał zaś się bawić i być wesołą.

Ojciec radził się go, czy lepiej wywieźć małe siostrzyczki na czas, póki epidemja nie przeminie, czy też można je trzymać w domu? Doktor uspokoił go, mówiąc, że niema niebezpieczeństwa; sam umyślnie napisał do matki, żeby była spokojną. Potem zaś udał się na spoczynek, bo upadał ze zmęczenia. Odprowadziłem go ze świecą w rękę do stacji, gdzie miał ze mną nocować i samemu przyszła mi ochota już się położyć, bo byłem nad wszelki wyraz zmęczony wrażeniami dnia dzisiejszego, gdy wszedł Franek i rzekł:

— Starszy pan prosi paniczka do siebie.

Poszedłem natychmiast. Ojciec siedział w swoim pokoju przy biurku, na którym leżał list matki. W pokoju byli obecni także ksiądz Ludwik i pani d'Yves. Serce biło mi niespokojnie, jak obwinionemu, który ma stanąć przed sądem, bo byłem prawie pewny, iż zechcą mnie badać o Hanię. Jakoż ojciec począł

mówić ze mną o rzeczach nadzwyczaj poważnych. Postanowił siostry wraz z panią d'Yves wysłać do Kopczan, do stryja, dla spokojności matki. Ale w takim razie Hania musiałaby zostać sama między nami. Otóż ojciec sobie tego nie życzył. Przytem oświadczył, iż wie, iż dzieją się między nami młodymi rzeczy, których badać nie chce, ale których nie pochwala; spodziewa się jednak, że wyjazd Hani położy im tamę.

Tu wszyscy poczęli patrzeć na mnie badawczo, ale niepomąłu zdziwili się, gdy zamiast rozpaczliwie opierać się wyjazdowi Hani, przystałem nań z radością. Ja zaś miałem poprostu to wyrachowanie, że wyjazd ten równał się zerwaniu wszelkich stosunków z Selimem. A przytem jakaś nadzieja, nakształt błędnego ognika, zamigotała mi w sercu, że to ja, a nie kto inny odwiozę Hanię do naszej matki. Wiedziałem, że ojciec nie może wyjechać, bo żniwa były za pasem; wiedziałem, że ksiądz Ludwik nigdy zagranicą nie był, pozostawałem więc tylko ja. Ale to była słaba nadzieja i wkrótce też jak błędny ognik zgasła, gdy ojciec oświadczył, że pani Ustrzycka za parę dni wyjeżdża do kąpiel morskich i że już się zgodziła zabrać z sobą Hanię i dowieźć ją do matki. Pojutrze miała Hania wyjechać na noc w drogę. Zasmuciło mnie to niepomąłu, wolałem jednak w każdym razie, żeby wyjechała nawet beze mnie, niż żeby została. Przytem wyznaję, że niepomiarłą radość sprawiła mi myśl, co też uczyni i jak przyjmie tę wiadomość Selim, gdy mu ją jutro powiem.

X.

O szóstej rano następnego dnia byłem u kopców, gdzie Selim już czekał na mnie. Jadąc tam, dałem sobie uroczyste słowo, że będę spokojny.

— Co mi chciałeś powiedzieć? — spytał Selim.

— Chciałem ci powiedzieć, że wiem wszystko. Kochasz Hanię, a ona ciebie. Mirzo! postąpiłeś sobie niegodnie, usidlając serce Hani. To ci przedewszystkiem chciałem powiedzieć.

Selim pobałdł, ale wzburzyło się w nim wszystko. Najechał na mnie tak, że konie nasze prawie wsparły się o siebie i spytał:

— Dlaczego? Dlaczego? Rachuj się ze słowami.

— Pierwsze dlatego, że ty muzułmanin, a ona chrześcijanka: nie możesz się z nią żenić.

— Zmienię religję.

— Ojciec ci nie pozwoli.

— O! pozwoli, a wreszcie...

— Wreszcie są inne przeszkody. Choćbyś zmienił religję, ani ja, ani mój ojciec, nie damy ci Hani nigdy i przenigdy! Rozumiesz?

Mirza pochylił się ku mnie z siodła i odparł, kładąc nacisk na każdą zgłoskę:

— Ja się was nie będę pytał! Rozumiesz ty zkolei?

Byłem jeszcze spokojny, bo wiadomość o wyjeździe Hani chowałem naostatek.

— Nietylko, że ona nie będzie twoją — odpowiedziałem chłodno i równym naciskiem — ale nie będziesz jej więcej widział. Wiem, że chciałeś po-

syłać listy; oświadczam, że będę pilnował i za pierwszym razem każę dać twemu posłańcowi różgi. Sam nie będziesz przyjeżdżał więcej do nas. Zabraniam ci!

— Zobaczmy! — odparł dysząc z gniewu. Zkolei pozwól mnie mówić. Nie ja, ale ty postępujesz niegodnie. Teraz widzę jasno. Jam się pytał, czy jej nie kochasz? Odpowiedziałeś: Nie! Chciałem się cofnąć, póki był czas, odrzuciłeś ofiarę. Kto winien? Kłamałeś, żeś jej nie kochał. Przez miłość własną, przez dumę egoistyczną wstydziłeś się wyznać, że kochasz. Kochałeś się pociemku, ja w świetle. Kochałeś ją skrycie, ja otwarcie. Ty truć jej życie, ja starałem się ją uszczęśliwić. Kto winien? Byłbym się cofnął. Bóg widzi, byłbym się cofnął. Ale dziś już zapóźno. Dziś ona mnie kocha i słuchaj co ci powiem: możecie mi zabronić bywać w waszym domu, możecie przejmować moje listy, przysięgam wam jednak, że Hani się nie zrzeknę, że jej nie zapomnę, że wiecznie ją będę kochał, wszędzie odszukam. Ja postępuję prosto i uczciwie, ale kocham, kocham nad wszystko w świecie i cały żyję w tem i umarłbym bez tego. Ja nie chcę wnosić nieszczęścia w wasz dom, ale pamiętaj, że jest we mnie teraz coś takiego, czego ja sam się lękam. Jam gotów na wszystko. O! jeśli wy krzywdę wyrządzicie Hani...

Mówił to wszystko pośpiesznie, blady i z zaciśniętymi ustami. Miłość potężna owdładła tą ognistą, wschodnią naturą i biła od niej jak żar od płomienia; ale ja nie uważałem na to i odpowiedziałem z zimną i chłodną stanowczością:

— Nie przyjechałem tu słuchać twych zwierzeń. Z grózb drwię sobie i powtarzam ci jeszcze raz: Hania nigdy nie będzie twoją.

— Słuchaj jeszcze — rzekł Selim — jak i ile Hanię kocham, nie próbuję mówić, bo ja nie umiałbym wypowiedzieć, a ty zrozumieć. Przysięgam ci jednak, że pomimo całej miłości, gdyby ona ciebie kochała, jeszczebym znalazł w duszy tyle szlacheckich uczuć, żeby rzec się jej na zawsze. Henryku, przecież nam o nią chodzić winno! Tyś był zawsze szlachecki. Słuchaj więc, zrzeknij się jej, a potem żądaj ode mnie choć życia. Oto moja ręka, Henryku! o Hanię chodzi, o Hanię: pamiętaj!

I wychylił się ku mnie z otwartymi ramionami, ale ja cofnąłem konia.

— Troskę o nią zostaw mnie i ojcu memu. Jużemy o niej myśleli. Mam honor oświadczyć ci, że Hania pojutrze wyjeżdża zagranicę i że jej więcej nie zobaczysz. A teraz żegnam.

— Aa! jeśli tak, więc zobaczmy!

— Zobaczmy!

Zawróciłem konia i pojechałem do domu, nie oglądając się poza siebie.

Ponuro było w naszym domu przez te dwa dni, pozostające do wyjazdu Hani. Pani d'Yves z siostrami wyjechała zaraz na drugi dzień, po owej rozmowie z ojcem. Zostałem tylko ja, ojciec, ksiądz Ludwik i Hania. Biedaczka wiedziała już, że ma odjechać i wiadomość o tem przyjęła z rozpaczą. Widocznie pragnęła we mnie szukać ratunku i ostatniej deski zbawienia, ale ja domyślając się tego, stara-

łem się, ażeby nie zostać z nią ani przez chwilę sam na sam. Znałem siebie dostatecznie i wiedziałem, że łzami zrobi ze mną wszystko, co zechce i że nie potrafię jej nic odmówić. Unikałem nawet jej wzroku, bo nie mogłem znieść tej jakby prośby o litość, która malowała się w nim, ilekroć patrzyła na mnie lub na ojca.

Z drugiej strony, choćbym nawet i chciał wstać się za nią do ojca, wiedziałem, że na nicby się to nie przydało, bo ojciec nigdy nie zmieniał tego, co raz postanowił. A przytem jeszcze i wstyd jakiś trzymał mnie od Hani zdaleka. Wstydzilem się przed nią ostatniej rozmowy z Mirzą i tej surowości niedawnej i całej mojej roli i tego wreszcie, że nie zbliżając się do niej, śledziłem ją jednak zdaleka. Ale miałem powody ją śledzić. Wiedziałem, że Mirza krąży, jak ptak drapieżny, dzień i noc około naszego domu: zaraz na drugi dzień po rozmowie ujrzałem, że Hania chowała z pośpiechem karteczkę zapisanego papieru: niezawodnie list od niego lub do niego. Domyślałem się nawet, że może i widzieć się będą z sobą, ale jakkolwiek czatowałem szarą godziną na Selima, nie mogłem go jednak złapać. Tymczasem dwa dni przeminęły szybko, jak strzała na powietrzu. Przed wieczorem tego dnia, w którym Hania miała odjechać na noc do Ustrzycy, ojciec pojechał do miasta na jarmark za zakupnem koni i Kazia wziął dla próbowania ich ze sobą. Hanię zaś mieliśmy odprowadzić obaj z księdzem Ludwikiem.

Zauważyłem, że w miarę, jak się zbliżała godzina stanowcza, Hanię owładła dziwna jakaś nie-

spokojność. Mieniła się w oczach i drżała na całym ciecie. Chwilami wzdrygała się, jakby przestraszona. Wreszcie słońce zaszło, a zaszło pochmurno jakoś, za grube i skłębione, żółtawego koloru chmury, które groziły gradem i burzą. Kilkakrotnie na zachodniej stronie nieba dał się słyszeć odległy grzmot, jakby głośnie warczenie zbliżającej się burzy. Powietrze było duszne, parne i przesycone elektrycznością. Ptaki pochowały się pod dachy, drzewa, i tylko jaskółki rzucały się niespokojnie w powietrzu; liście przestały szemrać na drzewach i zwiesiły się jakby omdlałe; z dziedzińca folwarcznego dochodził żalossny ryk bydła, wracającego z pola. Jakiś posępny niepokój opanował całą naturę. Ksiądz Ludwik kazał zamykać okna. Chciałem przed wybuchem zdążyć do Ustrzycy, więc zerwałem się, żeby pójść do stajni i kazać zajeżdżać. W chwili, kiedy miałem wyjść z pokoju, zerwała się Hania, ale siadła natychmiast. Spojrzałem na nią. Rumieniła się i bladła naprzemian. Duszno mi jakoś! duszno! — zawołała i siadłszy przy oknie poczęła się wachlować chustką. Dziwna niespokojność jej zwiększyła się widocznie. „Możemy poczekać — rzekł do mnie ksiądz Ludwik — burza za jakie pół godziny wybuchnie“. „Za pół godziny — odpowiedziałem — będziemy już pod Ustrzycą, a zresztą kto wie jeszcze, czy to nie próżne strachy“ i pobiegłem do stajni. Koń był dla mnie osiodlany, ale z zaprzęgiem marudzono, jak zwykle. Upłynęło z pół godziny czasu, nim stangret ruszył przed ganek z powozem, ja zaś za nim na koniu. Burza zdawała się tylko wisieć, ale nie chcia-

łem dłużej zwlekać. Wyniesiono natychmiast kufry Hani i przymocowano za powozem. Ksiądz Ludwik czekał już na ganku, w białym, płóciennym kitlu i z ogromnym również białym parasolem.

— Gdzie Hania! czy gotowa? — spytałem go.

— Gotowa. Będzie już z pół godziny, jak poszła się modlić do kaplicy.

Poszedłem do kaplicy, ale Hani tam nie znalazłem: z kaplicy przeszedłem do sali jadalnej, z sali jadalnej do bawialnej: Hani nie było.

— Haniu! Haniu! — począłem wołać.

Nie odpowiedział nikt.

Cokolwiek niespokojny już, udałem się do jej pokoju; myślałem, czy nie zasłabła. W pokoju siedziała popłakując, stara Węgrowska.

— Czy to już — spytała — czas się pożegnać z panienką?

— Gdzie panienka jest — spytałem niecierpliwie.

— Panienka poszła do ogrodu.

Wybiegłem i ja do ogrodu.

— Haniu! Haniu! czas siadać!

Cisza...

— Haniu! Haniu!

Jakby w odpowiedzi mi, zaszemrały niespokojnie liście pod pierwszym tchnieniem burzy, spadło kilka grubych kropel dżdżu i znów zapanowała cisza.

„Co to jest!“ — spytałem sam siebie i czułem, że włosy powstają mi na głowie z przerażenia.

— Haniu! Haniu!

Przez chwilę zdawało mi się, że z drugiego końca ogrodu słyszę odpowiedź. Odetchnąłem. „Ach!

głupiec ze mnie“ — pomyślałem sobie i pobiegłem w stronę, skąd głos dochodził.

Nie znalazłem nic i nikogo.

Z tej strony ogród kończył się sztachetami, za którymi szła polna droga, ku owczarni stojącej w polu. Chwyciłem za sztachety i spojrzałem na drogę: było na niej pusto, tylko Ignac, chłopak folwarczny, pasł gęsi w rowie, tuż przy sztachetach.

— Ignac!

Ignac zdjął czapkę i podbiegł ku sztachetom.

— Nie widziałeś ty panienki?

— Widziałem. Dopiero co panienka tędy jechali.

— Co? jak? gdzie jechała?

— A ku lasowi, z paniczem z Chorzel. O! tak jechali, co ino konie mogły wyskoczyć!

— Jezus! Marja! Hania uciekła z Selimem!

W oczach mi pociemniało, a potem niby błyskawica przeleciała przez głowę. Przypomniałem sobie niespokojność Hani; ów list, który widziałem w jej ręku. Wszystko to więc było umówione? Mirza pisał do niej i widział się z nią. Wybrali chwilę przed samym wyjazdem, bo wiedzieli, że wszyscy wtedy będą w domu zajęci. Jezus! Marja! Oblał mnie zimny pot, a włosy zjeżyły się na głowie. Nie pamiętam, kiedy znalazłem się na ganku.

— Konia! konia! — krzyknąłem strasznym głosem.

— Co się stało? Co się stało? — krzyczał ksiądz Ludwik.

Ale odpowiedział mu tylko huk grzmotu, który rozległ się w tej chwili. Wiatr zaświszczał mi w uszach od szalonego pędu konia. Wypadłszy w li-

pową aleję, skrzyłem go w kierunku drogi, którą uciekli; przesadziłem przez jeden płot, następnie przez drugi i popędziłem dalej. Ślady były widoczne. Ale tymczasem wybuchnęła burza: ściemniało; na czarnych kłębach chmur poczęły się rysować jasne zygzaki błyskawic; czasem całe niebo stało się jednym ogniem, a potem zapadała jeszcze grubsza ciemność: deszcz lał jak jeden potok. Drzewa przydrożne wily się w różne strony konwulsyjnie. Koń mój, bity szalonemi razami szpicruty i party ostrogami, począł chrapać i jęczeć, a ja chrapałem także ze wściekłości. Pochylony na szyję konia śledziłem znaków na drodze, nie wiedząc i nie myśląc o niczem więcej. W ten sposób wpadłem do lasu. W tej chwili burza zwiększyła się jeszcze. Jakaś wściekłość ogarnęła niebo i ziemię. Las giął się jak łan zboża i wywijał czarnemi gałęziami, echo grzmotu rozlegało się w ciemnościach od sosny do sosny; huk piorunów, szum konarów, trzask łamiących się gałęzi, wszystko to mieszało się w piekielną jakąś kapekę. Nie mogłem już dojrzeć śladów, ale leciałem naprzód jak wicher. Za lasem dopiero, przy świetle błyskawic, rozeznałem je znowu; ale z przerażeniem spostrzegłem jednocześnie, że chrapanie mego konia zwiększa się, a bieg wolnieje. Podwoiłem razy szpicruty. Tu za lasem poczynano się prawdziwe morze piasku, które ja mogłem ominąć bokiem, ale przez które musiał przejeżdżać Selim. Powinno to było opóźnić ucieczkę.

Podniosłem oczy do góry: „O, Boże! spraw, żebym ich doścignął, a potem zabij mnie, jeśli chcesz!“ —

wołałem z rozpaczą. I modlitwa moja została wysłuchana. Nagle czerwona błyskawica rozdarła ciemności, a przy krwawem jej świetle spostrzegłem uciekającą bryczuszkę. Nie rozeznałem twarzy uciekających, ale byłem już pewny, że to oni. Byli jeszcze z pół wiorsty drogi; nie uciekali jednak zbyt szybko, bo w ciemnościach i wobec powodzi, jaką sprawiły deszcze, Selim musiał jechać ostrożnie. Wydałem okrzyk wściekłości i radości zarazem. Teraz już ująć nie mogli.

Selim obejrzał się, krzyknął także i począł smagać batem strwożone konie. Przy świetle błyskawic poznała mnie i Hania. Widziałem, że uchwyciła się z rozpaczą Selima i że ten coś mówił do niej. W kilka sekund byłem już tak blisko, że mogłem usłyszeć głos Selima: „Mam broń przy sobie! — wołał w ciemnościach — nie zbliżaj się, bo strzelę!“ Ale nie uważałem na nic i docierałem coraz bliżej i bliżej. „Stój! — wołał Selim — stój!“ Byłem zaledwie o piętnaście kroków, ale droga poczynano się teraz lepsza i Selim puścił na nowo konie galopem. Odległość między nami na chwilę zwiększyła się, ale potem znów począłem ich dościgać. Wówczas Selim odwrócił się i począł mierzyć z pistoletu. Groźny był, ale mierzył spokojnie. Chwila jeszcze, a byłbym uchwycił za bryczkę. Nagle jednak rozległ się huk strzału... koń mój rzucił się w bok; skoczył jeszcze kilka razy, potem klęknął na przednie nogi; podniosłem go, przysiadł na tylne i chrapnąwszy ciężko, zwałił się na ziemię wraz ze mną.

Zerwałem się natychmiast i począłem biec ile

sił miałem piechotą, ale było to próżne wysilenie. Wkrótce bryczka coraz dalej była ode mnie i dalej; potem widziałem ją już tylko, gdy błyskawica rozdarła chmury. Znikała w dali i ciemności, jak ostatnia nadzieja. Próbowałem krzyczeć; nie mogłem: brakło mi tchu. Turkot dochodził mnie coraz słabiej, wreszcie potknąłem się o kamień i upadłem.

Po chwili jednak podniosłem się.

— Odjechali! odjechali! zniknęli! — powtarzałem głośno i nie wiem już, co się tam we mnie działo. — Byłem bezsilny, sam jeden wśród burzy i nocy. Ten szatan Mirza zwyciężył mnie. Ach! gdyby Kazio nie był pojechał z ojcem, gdybyśmy byli we dwóch gonili, a teraz? Co będzie? Co teraz będzie? — krzyknąłem głośno, żeby usłyszeć własny głos i nie zwarjować. I zdawało mi się, że wicher naśmiewa się ze mnie i świszcz: „Siedzisz na drodze, bez konia, a on tam z nią“. I tak huczał wiatr i śmiał się i chychotał. Wróciłem z wolna do mego konia. Z nozdrzy wypływał mu strumień czarnej krzepnącej krwi, ale żył jeszcze, dychał i zwracał ku mnie gasnące oczy. Siadłszy przy nim, oparłem głowę na jego boku i także zdawało mi się, że umieram. A wiatr świszczwał nade mną tymczasem i śmiał się i wołał: „On tam z nią!“ Zdawało mi się chwilami, że słyszę piekielny turkot tej bryczki, lecącej w ciemność wraz ze szczęściem mojem. A wicher świszczwał: „on tam z nią!“ Ogarnęło mnie dziwne osłupienie. Jak długo trwało ono, nie wiem. Gdy się ocknąłem, burza już przeszła. Po niebie pędziły jasne stada lekkich białawych chmurek, ale w przerwach

ich widniał błękit niebieski i księżyc świecił jasno. Z pól podnosiły się wilgotne opary. Nieżywy koń mój, który już był ostygł, przypominał mi wszystko co zaszło. Obejrzałem się wokoło, aby rozpoznać, gdzie się znajduję. Na prawo spostrzegłem dalekie światelka w oknach, więc pośpieszyłem w tamtą stronę. Pokazało się, że byłem pod samą Ustrzycą.

Postanowiłem iść do dworu i zobaczyć się z panem Ustrzyckim, co mogłem zrobić tem łatwiej, że pan Ustrzycki nie mieszkał w pałacu, ale miał swój osobny domek, w którym zwykle przesiadywał i sypiał. Światło błyszczało jeszcze w jego oknach. Zapukałem do drzwi.

Otworzył mi sam i cofnął się z przestrachem.

— Farsa! — rzekł — jak ty wyglądasz, Henryku?

— Piorun mi zabił konia pod samą Ustrzycą. Nie miałem innej rady, jak przyjść tu.

— W imię Ojca i Syna! Aleś ty przemokł, zziąbl. Ależ to już późno. Farsa! Każę ci coś dać zjeść i ubranie.

— Nie! nie! ja chcę zaraz wracać.

— Ale! Dlaczego to Hania nie przyjechała? Moja żona jutro o drugiej wyjeżdża. Myśleliśmy, że ją przysłecie na noc.

Postanowiłem nagle powiedzieć mu wszystko, bo potrzebowałem jego pomocy.

— Panie! — rzekłem — stało się u nas nieszczęście. Liczę na to, że pan nie wspomnisz nikomu, ani żonie swej, ani córce, ani guwernantkom. Chodzi tu o honor naszego domu.

Wiedziałem, że nikomu nie powie, a zresztą

mało miałem nadziei, żeby sprawa się ukryła; dlatego wolałem go uprzedzić, aby w danym wypadku mógł rzecz tłumaczyć. Opowiedziałem mu więc wszystko, wyjąwszy tego, że sam kochałem się w Hani.

— A to ty musisz się bić z Selimem? Farsa! Co? — rzekł wysłuchawszy mnie do końca.

— Tak jest. Chcę się bić zaraz jutro. Ale dziś jeszcze chcę ścigać ich dalej i dlatego proszę, byś mi pan dał natychmiast najlepsze konie.

— Ścigać ich nie masz potrzeby. Nie pojechali nigdzie daleko. Jeździli, jeździli po różnych drogach i wrócili do Chorzeli. Gdzieżby uciekli? Farsa! Wrócili do Chorzeli, padli do nóg staremu Mirzowi! Nie mieli innej rady. Stary Mirza zamknął Selima do śpichrza, a pannę... pannę odwiezie do was. Farsa, co? Ale Hania! Hania! no!

— Panie Ustrzycki!

— No, no! moje dziecko, nie gniewaj się! Ja jej tego za złe nie biorę. Kobiety moje, to co innego. Ale poco czas tracić?

— O! tak, czasu nie traćmy.

Ustrzycki zastanowił się przez chwilę.

— Wiem już jak zrobić. Ja natychmiast pojedę do Chorzeli, a ty jedź do domu, a najlepiej czekaj tu. Jeżeli Hania jest w Chorzeli, to ją zabiorę i odwieżę do was. Może mi jej nie oddadzą? Farsa! Ale wolę być razem ze starym Mirzą, gdy ją odwieziemy, bo twój ojciec gwałtowny człowiek. Gotów wyzwać starego, a stary nic nie winien. Co?

— Ojca niema w domu.

— To lepiej! to lepiej!

Tu pan Ustrzycki zaklaskał w ręce.

— Janek! sam tu!

Wszedł pokojowiec.

— Konie mi z bryczką za dziesięć minut. Rozumiesz?

— A dla mnie konie? — rzekłem.

— Drugie dla pana! Farsa. Panie dobrodzieju!

Milczeliśmy przez czas jakiś. Po chwili rzekłem:

— Czy pan pozwoli, żebyśmy napisał do Selima?

Wolę go wyzwać listownie.

— Dlaczego?

— Obawiam się, że stary Mirza nie pozwoli mi bić się. Wsadzi go do kozy na czas jakiś i będzie uważał, że dosyć. A dla mnie to mało! mało! mało! Jeżeli Selim już siedzi w kozie, pan go nie zobaczy; przez starego robić tego nie można, list zaś można komuś zostawić. Ja ojcu także nic nie powiem, że się chcę bić. Może sam starego wyzwie, a stary nie winien. Ale jak my poprzednio wybijemy się z Selimem, to już nie będzie racji. A wszakże sam pan powiedział, że ja muszę się z nim bić.

— Jaby to tak uważał! Bić się, bić się! Dla szlachcica to tam zawsze najlepszy środek, a czy stary, czy młody, to wszystko jedno! Komu innemu: farsa! ale nie szlachcicowi. No! pisz: masz słuszość!

Siadłem i napisałem co następuje:

„Jesteś nikiemnik. Listem tym daję ci w twarz. Jeżeli nie stawisz się jutro około Wachowej chaty z pistoletami lub pałaszem, będziesz ostatnim tchórzem, którym prawdopodobnie jesteś“.

Zapieczętowałem list i oddałem panu Ustrzyck-

kiemu. Poczem obaj wyszliśmy na podwórze, bryczki bowiem dla nas już zajęte były. Przed samem wsiedaniem przyszła mi jedna przerażająca myśl do głowy.

— Panie! — rzekłem do Ustrzyckiego — a jeżeli Selim nie do Chorzel zawiózł Hanię?

— Jeżeli nie do Chorzel: tedy zyskał czas; jest noc, pięćdziesiąt dróg na wszystkie strony i... szukaj wiatru w polu. Ale gdzieżby ją zawiózł?

— Do miasta N.

— Szesnaście mil jednemi końmi? Tedy bądź spokojny. Farsa, co? Tedy jutro pojedę do N., dziś nawet jeszcze, ale pierwej do Chorzel; powtarzam ci, bądź spokojny!

W godzinę potem byłem już w domu. Noc była późna, bardzo późna nawet, ale w oknach wszędzie migotały światła. Snadź ludzie biegali ze światłem po różnych pokojach. Gdy bryczka moja zadudniła przed gankiem, skrzypnęły drzwi i do sieni wyszedł ksiądz Ludwik ze świecą w rękę.

— Cicho! — szepnął do mnie, kładąc palec na ustach.

— Hania? — spytałem gorączkowo.

— Ciszej mów. Hania już jest. Odwiózł ją stary Mirza. Chodź do mnie, opowiem ci wszystko.

Weszliśmy do pokoju księdza.

— Co się z tobą działo?

— Goniłem ich. Mirza zastrzelił mi konia. Czy ojciec jest?

— Wrócił zaraz po wyjeździe starego Mirzy. O, nieszczęście! Nieszczęście! Teraz jest przy nim doktor. Myśleliśmy, że dostanie apopleksji. Chciał

zaraz jechać wyzwać starego Mirzę. Nie chodź do ojca, bo mogłoby mu to zaszkodzić. Jutro zaś proś go, żeby nie wyzywał Mirzy. Grzech to ciężki, a przytem stary nie winien. Selima wybił i zamknął go, Hanię zaś odwiózł sam. Ludziom nakazał milczenie. Szczęście jeszcze, że ojca nie zastał.

Pokazało się, że stary Ustrzycki przewidział wszystko doskonale.

— Jak się Hania ma?

— Przemokła do nitki. Ma gorączkę. Ojciec okropnie ją złażał. Biedne dziecko!

— Czy doktor Staś widział ją?

— Widział i kazał się jej zaraz położyć. Stara Węgrowska siedzi przy niej. Zaczekaj tu na mnie. Pójdę do ojca, powiem mu, żeś przyjechał. Rozesłał już za tobą konie na wszystkie strony. Kazia także niema, bo pojechał cię szukać. Boże! Boże Wszechmogący, co się tu działo!

Tak mówiąc, ksiądz wyszedł do ojca, ja zaś nie mogłem wysiedzieć w jego pokoju i pobiegłem do Hani. Nie chciałem jej widzieć, o, nie! Kosztowałoby ją to bowiem zbyt wiele. Chciałem się raczej zapewnić, że wróciła rzeczywiście, że znowu znajduje się bezpieczna, pod naszym dachem, blisko mnie, osłonięta od burzy i strasznych wypadków dnia dzisiejszego. Dziwne uczucia miotaly mną, kiedy się zbliżył do jej pokoju. Nie gniew, nie nienawiść, ale żal ciężki, głęboki czułem w sercu i wielką, niewypowiedzianą litość dla tej biednej i nieszczęśliwej ofiary szaleństwa Selima. Myślałem o niej jak o gołąbce, którą porwał jastrząb. Ach! ileż biedaczka musiała

doznać upokorzeń, przez jakież wstyd przejść w Chorzela, wobec starego Mirzy! Przysięgam sobie natychmiast nie zrobić jej najmniejszego wyrzutu, ani dziś ani nigdy i postępować z nią tak, jakby nigdy nic nie zaszkło.

W chwili kiedy przyszedł pod drzwi jej pokoju, drzwi te otworzyły się i wyszła z nich stara Węgrowska. Zatrzymałem ją i spytałem:

— Czy panienka śpi?

— Nie śpi, nie śpi biedactwo — odpowiedziała babina. — O! mój paniczu złoty, żeby paniczek wiedział co tu było! Jak starszy pan ryknął na panienkę (tu stara Węgrowska podniosła fartuch i poczęła lzy ocierać), to myślałam, że nieboraczka zaraz na miejscu skona. A przestraszone to było, a przemokłe, o Jezu! Jezu!

— No, a teraz jak się ma?

— Obaczy paniczek, że ona odchoruje to wszystko. Szcześciem, że doktor jest pod ręką.

Kazałem Węgrowskiej wrócić zaraz do Hani i nie zamykać drzwi za sobą, bo chciałem spojrzeć na nią choć zdaleka. Jakoż patrząc z ciemnego pokoju przez odchylone drzwi, ujrzałem ją siedzącą na łóżku, ubraną w bieliznę nocną. Na twarzy miała mocne rumieńce, oczy błyszczące; widziałem przytem, że oddycha szybko. Widocznie miała gorączkę.

Wahałem się przez czas jakiś, czy wejść, czy nie wejść, ale w tej chwili ksiądz Ludwik trącił mnie w ramię.

— Ojciec cię woła — rzekł.

— Księżu Ludwiku! ona chora!

— Doktor zaraz pójdzie znów do niej. Tymczasem rozmówisz się z ojcem. Idź, idź: już późno.

— Która godzina.

— Pierwsza po północy.

Uderzyłem się ręką w czoło. A wszakże to o piętej rano miałem się bić z Selimem.

XI.

Po rozmowie z ojcem, która trwała z pół godziny, wróciłem do stacji i nie kładłem się już wcale. Wyrachowałem, że aby zdążyć na piątą do Wachowej chaty, muszę przynajmniej o czwartej wyjść z domu, miałem więc tylko niespełna trzy godziny przed sobą. Wkrótce zresztą nadszedł i ksiądz Ludwik zobaczyć czym nie chory po owej szalonej jeździe i czym przebrał się należycie po przemoknięciu. Ale dla mnie przemoknąć, było to samo co i nie przemoknąć. Ksiądz nalegał na mnie, bym zaraz położył się do łóżka, ale tymczasem sam się rozgadał i tak przeszła z godzina czasu.

Opowiadał mi jeszcze szczegółowo o tem, co mówił stary Mirza. Pokazało się z tego opowiadania, że Selim popełnił poprostu szaleństwo, ale jak mówił ojcu, nie widział innego sposobu. Sądził, że po dokonanej ucieczce ojciec jego nie będzie miał innego sposobu, jak tylko pobłogosławić, my zaś: oddać mu Hanię. Pokazało się także, że już po rozmowie ze mną nietylko pisał do Hani, ale widział się z nią i że właśnie wówczas namówił ją do ucieczki. Dziewczynka, mimo że nie zdawała sobie sprawy

następstw tego kroku, opierała mu się instynktowo ze wszystkich sił; ale Selim opętał ją swemi prośbami i swoją miłością. Przedstawił jej przytem ucieczkę jako prostą przejażdżkę do Chorzel, po której mieli już być na wieki połączeni i szczęśliwi. Zapewnił ją, że potem sam odwiezie ją do nas napowrót, ale już jako swoją narzeczoną, że ojciec mój zgodzi się na wszystko, ja zaś muszę się zgodzić, a co większa, pocieszę się łatwo przy Loli Ustrzyckiej w Ustrzycy. Zaklinał wreszcie Hanię i prosił i błagał. Mówił jej, że on dla niej poświęciłby wszystko, nawet życie; że nie przeżyje rozłączenia: że się utopi, zastrzeli lub otruje. A potem rzucił się jej do nóg i tyle sprawił, że dziewczynka zgodziła się na wszystko. Skoro jednak ucieczka nastąpiła i skoro ruszyli z miejsca, Hania przestraszyła się i ze łzami poczęła go błagać, żeby wrócił: ale on nie chciał, bo jak sam ojcu mówił, zapomniał wtedy już o całym świecie.

Tak opowiadał księdzu Ludwikowi stary Mirza, a opowiadał może dlatego, żeby dowieść, że jakkolwiek Selim ważył się na krok szalony, ważył się nań jednak w dobrej wierze. Biorąc to wszystko na uwagę, ksiądz Ludwik nie podzielał gniewu ojca, którego oburzyła niewdzięczność Hani. Według księdza, Hania nie była niewdzięczną, była tylko zbłąkaną przez grzeszną, bo światową miłość. Z tego powodu udzielił i mnie ksiądz kilka budujących nauk o światowych uczuciach, ale ja tam wcale nie miałem za złe Hani, że jej miłość była światową; zapłaciłbym tylko życiem za to, żeby była inaczej skierowaną. Dla Hani czułem litość najwyższą, a przy-

tem tak mi już serce przyrosło do niej, że chcąc je oderwać, trzeba było chyba je rozerwać. Prosiłem jeszcze księdza, żeby wstawił się za nią do ojca i tłumaczył mu jej postępek tak jak mnie go tłumaczył, poczem pożegnałem go, bo chciałem sam zostać.

Po odejściu księdza zdjąłem ze ściany ową sławną starą szablę, darowaną mi przez ojca i pistolety, aby przygotować wszystko do jutrzejszego spotkania. O tem spotkaniu nie miałem dotąd ani czasu, ani ochoty rozmyślać. Chciałem się bić na śmierć i życie: oto wszystko. O Selimie byłem przekonany, że mnie nie zawiedzie. Przetarłem ostrożnie szablę miękką watą; na szerokiej, błękitnej jej klindze, mimo jakich dwustu lat wieku, nie było najmniejszej skazy, choć niemało nacięła się za dni swych hełmów i naramienników, niemało wypila krwi szwedzkiej, tatarskiej i tureckiej. Złoty napis: „Jezus, Maria!“ błyszczał wyraźnie; spróbowałem ostrza: cienkie było jak brzeżek jedwabnej wstążki; błękitne turkusy na rękojeści zdawały się uśmiechać, jakby prosząc się ręki, by je chwyciła i rozgrzała.

Skończywszy z szablą, wziąłem się do pistoletów, bom nie wiedział, jaką broń Selim wybierze; napuściłem oliwą zamki i płóciennę płatkę do kul, poczem nabiłem oba ostrożnie. Szarżało już. Była godzina trzecia. Skończywszy robotę, rzuciłem się na fotel i począłem rozmyślać. Z przebiegu wypadku i z tego, co mi powiedział ksiądz Ludwik, wywijał się coraz wyraźniej jeden pewnik: oto, że wszystkiemu, co zaszło, byłem też i ja niemało winien. Pytałem siebie, czym spełniał należycie obowiązek

opieki, jaki na mnie włożył stary Mikołaj i odpowiedziałem: nie. Czym myślał tylko o Hani, nie o sobie? Odpowiedziałem: nie! O kogo mi chodziło w tej całej sprawie? Poprostu o siebie. A przytem Hania, ta łagodna, bezbronna istota, była między nami tem, czem gołąbka w gnieździe drapieżnych ptaków. Nie mogłem przytłumić w sobie tej niezmiernie przykrej myśli, że obaj z Selimem rozrywaliśmy ją między sobą, jak łup ponętny, a w tej walce, gdzie drapieżnikom głównie o siebie chodziło, najwięcej ucierpiała ta, która najmniej winna. Oto za parę godzin mieliśmy o nią zwieść walkę ostatnią. Przykre, ciężkie to były myśli. Okazało się, że cały ten nasz świat szlachecki za szorstki był dla Hani. Matki mojej na nieszczęście oddawna nie było w domu, a my, mężczyźni, mieliśmy za szorstkie ręce i zmieliśmy ten delikatny kwiat, rzucony pomiędzy nas losem. Wina ciążyła na całym naszym domu i winę tę potrzeba było zmazać krwią moją albo Selima.

Byłem gotów na jedno i na drugie.

Tymczasem brzask dzienny coraz silniej i silniej poczał zaglądać w moje okna. Za oknem jęły świegotać na powitanie zorzy porannej jaskółki. Zgasilem świece, palące się na stole: było już prawie widno. Godzina wpół do czwartej uderzyła donośnie w sali domowej. „No! czas!” pomyślałem sobie i zarzucawszy na ramiona płaszcz dla ukrycia broni, na wypadek gdyby mnie kto spotkał, wyszedłem ze stancji.

Przechodząc koło domu, spostrzegłem, że drzwi główne od sieni, które na noc zamykano zwykle na

żelazne dwie paszce, były już otwarte. Widocznie ktoś wyszedł z domu, musiałem więc zachować wszelką ostrożność, aby się z nim nie spotkać. Cicho skradając się bokiem dziedzińca ku lipowej alei, rozglądałem się ostrożnie na wszystkie strony, ale zdawało mi się, że wszystko naokół śpi jeszcze spokojnie. W alei jednak dopiero podniosłem śmiało głowę pewny, że mnie już z domu nie zobaczą. Ranek po wczorajszej burzy robił się przeczysty i śliczny. Miodowa woń lip mokrych uderzyła mnie w alei potężnie. Skręciłem na lewo ku kuźni, młynom i grobli, tamtędy bowiem wypadała mi droga do Wachowej chaty. Sen i zmęczenie, pod wpływem świeżości poranku i pogody, uleciały ode mnie daleko. Byłem pełen jakiejś dobrej otuchy i niby przecucie jakieś wewnętrzne mówiło mi, że w tej walce, która miała za chwilę nastąpić, ja zwyciężę. Selim strzelał wprawdzie z pistoletów jak mistrz, ale i ja strzelałem nie gorzej: w robieniu szabłą przewyższałem mnie wprawdzie zręcznością, ale za to ja znów byłem daleko silniejszy, do tego stopnia silniejszy, że zaledwie mógł wytrzymać na szabli moje cięcia. „A zresztą, niech będzie co chce, myślałem sobie: oto jest koniec i jeśli nie rozwiązanie, to rozcięcie tego węzła gordyjskiego, który krępował mnie i dusił od tak dawna”. A przytem Selim w dobrej czy złej wierze wyrządził wielką krzywdę Hani, musiał więc tę krzywdę zapłacić.

Tak rozmyślając doszedłem do brzegu stawu. Mgły i opary opadały z powietrza na wodę. Świtanie umalowało błękitne szyby stawów barwami zórz.

Wczesny ranek dopiero się rozpoczynał naprawdę; powietrze stawało się coraz przeźroczystsze, a rzeźwo było wszędzie, a pogodnie, a różano, a cicho; tylko z szuwarów dochodziło uszu moich kwakanie dzikich kaczek. Byłem już blisko śluzy i mostu, gdy nagle zatrzymałem się jak w ziemię wbity.

Na moście stał mój ojciec z rękami wtył założonemi za siebie i z fajką wygasłą w rękach: stał oparty o poręcz mostu i patrzył zamyślony na wodę i na zorzę poranną. Widocznie tak jak i ja nie mógł zasnąć i wyszedł, chcąc odetchnąć rannem powietrzem, a może spojrzeć tu i ówdzie na gospodarstwo.

Nie spostrzegłem go zrazu, bom szedł bokiem drogi, zatem wierzby zasłaniały mi poręcz mostu; byłem jednak nie dalej jak o dziesięć kroków. Schowałem się za wierzbę, sam nie wiedząc, co mam narazie robić.

Ale ojciec stał ciągle na miejscu. Spojrzałem nań: na twarzy jego malowała się troska i bezsenność. Wodził oczyma po stawie i mruczał pacierze poranne. Do uszu moich doszło wyrażnie:

„Zdrowaś Marja, łaskiś pełna, Pan z Tobą!“ Tu dalszy ciąg począł szeptać cicho, a potem znowu głośno:

„I błogosławion owoc żywota Twojego. Amen“.

Zniecierpliwiło mnie tak stać za wierzbą i postanowiłem przemknąć się cicho przez most. Mogłem to uczynić, albowiem ojciec stał odwrócony ku wodzie, a przytem, jak wspomniałem, był trochę głuchy, bo jeszcze za czasów swych wojskowych ogłuchł był od zbytniego huku dział. Stąpając tedy ostrożnie,

przebierałem się przez most za dalsze wierzby, na nieszczęście jednak źle poobsadzone dyle drgnęły, ojciec obejrzał się:

— Co ty tu robisz? — spytał.

Zarumieniłem się jak burak.

— Przejść się ojcze idę, przejść się tylko.

Ale ojciec zbliżył się ku mnie i odchyliwszy trochę płaszcza, którym osłaniałem się starannie, ukazał na szablę i pistolety i rzekł:

— A to co?

Nie było rady: należało się przyznać.

— Powiem już ojcu wszystko — rzekłem, — idę się bić z Mirzą.

Myślałem, że ojciec wybuchnie gniewem, ale nad spodziewanie moje nie wybuchnął, tylko spytał:

— Kto kogo wyzwał?

— Ja jego.

— Bez poradzenia się z ojcem, bez powiedzenia słowa?

— Wyzwałem go wczoraj, zaraz po pogoni w Ustrzycy. Nie mogłem ojcze pytać się o nic, a zresztą bałem się, że ojciec zabroni.

— I zgadłeś. Wracaj do domu. Całą tę sprawę mnie zostaw.

Serce ścisnęło mi się tak boleśnie i rozpaczliwie, jak nigdy.

— Ojcze — rzekłem, — zaklinam cię na wszystko, co ci jest święte, na pamięć dziada, nie zabraniaj mi się bić z Tatąrem. Pamiętam, jak nazywałeś mnie demokratą i gniewałeś się o to na mnie. Otóż teraz przypomniałem sobie, że płynie we mnie krew dziada

i twoja. Ojczy, on skrzywdził Hanię! i mąż to być darowane? Niechaj nie mówią ludzie, że ród nasz dał ukrzywdzić sierotę i nie pomścił się za nią. Ja jestem bardzo winien: ja ją kochałem i nie powiedziałem ojcu o tem, ale przysięgam, że gdybym nawet nie kochał jej, to dla jej sieroctwa, dla naszego domu i dla naszego imienia uczyniłbym toż samo, co teraz czynię. Sumienie mówi mi, że to jest szlachetne — i ty, ojczy, mi nie zaprzeczysz; ale, jeśli tak jest, to ja nie wierzę, żebyś ty bronił mi być szlachetnym: ja nie wierzę! nie wierzę, ojczy! Ojczy! pamiętaj, Hania skrzywdzona, a ja wyzwałem, ja dałem słowo. Wiem, że jeszcze niedorósł, ale czyż niedorósł nie ma takiej samej czci i takiego samego honoru jak dorósł? Jam wyzwał, ja dałem słowo, a uczyłeś mnie nieraz, że honor to pierwsze prawo szlachcica. Ja dałem słowo, ojczy. Hania skrzywdzona, na domu naszym plama i ja dałem słowo. Ojczy! ojczy!

I zawisnąwszy mu ustami na ręk, rozplakałem się jak bóbr: modliłem się prawie do ojca; ale też w miarę jak mówiłem, surowa twarz jego miękła i łagodniała coraz bardziej: podniósł oczy w górę i ciężka gruba łza, prawdziwie ojcowiska, spłynęła mi na czoło! Toczył ciężką walkę z sobą, bo byłem żrenicą jego oka i kochał mnie nadwszystko na świecie, więc drżał o mnie, lecz wreszcie sohylił posiwiałą głowę i rzekł cichym, zaledwie dostłyszalnym głosem:

— Niech cię prowadzi Bóg ojców twoich, idź bić się z Tatarem.

Padliśmy sobie w objęcia. Ojciec przycisnął mnie do siebie i długo, długo trzymał mnie na piersi swojej. Potem jednak otrząsnął się ze wzruszenia i rzekł do mnie z mocą i weselej:

— A to już bij chłopcze, aż będzie w niebie słychać!

Pocałowałem go w rękę, on zaś:

— Na szable, czy na pistolety?

— On wybierze.

— A świadkowie?

— Bez świadków. Ufam ja jemu, a on mnie.

Po co nam świadkowie, ojczy?

I znowu rzuciłem mu się na szyję, bo czas mi było ruszać. Odszedłszy ze staję drogi, obejrzałem się: ojciec stał jeszcze na moście i żegnał mnie zdaleka krzyżem świętym. Pierwsze promienie wschodzącego słońca, padłszy na wyniosłą jego postać, otoczyły ją jakby świetlistą aureolą. I tak w świetle z podniesionemi rękoma, wydał mi się ten posiwiały weteran, niby starym orłem, błogosławiącym zdaleka swoje piskłę, na takie życie gromkie i skrzydlate, w jakim sam kiedyś się lubował.

Ach! serce tak mi wezbrało wówczas, tyle miałem otuchy, wiary i zapału, że gdyby nie jeden, ale dziesięciu Selimów czekało na mnie u Wachowej chaty, wszystkich dziesięciu wyzwałbym natychmiast o lepszą.

Przyszedłem wreszcie do chaty. Selim czekał na mnie na skraju lasu. Przyznaję, że gdym spojrział nań, uczułem w sercu coś takiego, co czuje wilk, patrząc na łup swój. Spojrzeliśmy sobie groźnie

i ciekawie w oczy. Selim zmienił się przez te parę dni; schudł i zbrzydł, a może mnie się tylko tak zdawało, że zbrzydł. Oczy jego świeciły gorączkowo, końce ust drgały.

Poszliśmy obaj natychmiast w głąb lasu, ale przez całą drogę nie mówiliśmy do siebie ani słowa. Wreszcie znalazłszy małą polankę między sosnami, zatrzymałem się i rzekłem:

— Tu. Zgoda?

Kiwnął głową i począł rozpinąć surdut, aby zrzucić go do pojedynku.

— Wybieraj! — rzekłem, ukazując mu pistolety i szablę.

Wskazał na szablę, którą miał z sobą: turecką, mocno zakrzywioną na końcu damascenkę.

Tymczasem zrzuciłem surdut; on poszedł za moim przykładem, ale poprzednio wydobyl z kieszeni list.

— Jeżeli zgine, proszę, oddaj to pannie Hannie.

— Nie przyjmuję.

— To nie zwierzenia, to wyjaśnienie.

— Zgoda.

Tak rozmawiając, zawinęliśmy rękawy od koszul. Teraz dopiero serce poczęło mi bić żywiej. Wreszcie Selim chwycił za rękojęść; wyprostował się, stanął w postaci szermierskiej, wyzywającej, dumnej i trzymając szablę poziomo wyżej głowy, rzekł krótko:

— Jestem gotów.

Stałem w takiej samej postawie, wsparłszy szablę na jego szablę.

— Czy już?

— Już.

— Zaczynamy.

Uderzyłem odrazu nań tak natarczywie, że aż się musiał cofnąć kilka kroków, a przytem z trudnością utrzymywał moje razy na szabli; na każde cięcie jednak odpowiadał cięciem z taką szybkością, że uderzenie i odpowiedź rozlegały się prawie równocześnie.

Rumieniec oblał mu twarz; nozdrza się rozděły, oczy wyciągnęły nawskos po tatarsku i poczęły ciskać błyskawice. Przez chwilę słysząc tylko było warczenie kling, suchy dźwięk stali i świszczący oddech naszych piersi. Selim zrozumiał wkrótce, że jeśli walka przedłuży się, on musi ulec, bo nie stanie mu sił, ni płuc. Grube krople potu wystąpiły mu już na czoło, oddech stawał się coraz chrapliwszy. Ale też ogarnęła go jakaś wściekłość, jakieś szaleństwo bojowe. Włosy, rozrzucone ruchem, opadły mu na czoło, w otwartych ustach połyskiwały białe, zaciśnięte zęby. Rzekłbyś, natura tatarska rozbudziła się w nim i zdziczała, czując szablę w ręku i wietrząc krew przed sobą. A jednakże miałem nad nim przewagę równej furji, a większej siły! Raz już nie utrzymał cięcia i krew trysnęła z jego lewego ramienia; po kilku sekundach sam koniec mej szabli znowu dotknął mu czoła. Straszny był wówczas z tą czerwoną wstążką krwi, pomieszaną nawpół z potem i ściekającą po twarzy na usta i brodę. Zdawało się to go podniecać. Przyskakiwał do mnie i odskakiwał, jak ranny tygrys. Koniec jego szabli wił się ze straszną szybkością ognistego piorunu koło mojej

głowy, ramion i piersi. Z trudnością chwytalem te szalone cięcia, tembardziej, żem więcej myślał o tem, żeby je zadawać. Chwilami docieraliśmy do siebie tak blisko, że pierś prawie uderzała o pierś. Nagle Selim odskoczył, szabla zaświszczała tuż koło mojej skroni; ale odbiłem ją z taką siłą, że głowa Selima pozostała na chwilę odkryta; wymierzyłem cios, zdolny rozplątać ją na dwoje i... niby piorun uderzył nagle w moją czaszkę; krzyknąłem: „Jezus, Marja!“ Szabla wypadła mi z ręki i jakby porażony, upadłem twarzą na ziemię.

XII.

Co się działo ze mną przez czas długi, nie wiem i nie pamiętam. Gdym się rozbudził, leżałem nawznak w pokoju i na łóżku ojca, ojciec zaś siedział przy mnie w fotelu, z głową przechyloną w tył, blady i z przymkniętymi oczyma. Okiennice były pozamykane, na stole paliły się świece, a w ciszy wielkiej, panującej w pokoju, słyszałem tylko szept zegara. Przez jakiś czas patrzyłem bezmyślnie w sufit i zbierałem leniwe myśli, potem próbowałem się poruszyć, ale przeszkodził mi nieznośny ból w głowie. Ten ból przypominał mi trochę wszystko co zaszło, więc ozwałem się cichym, osłabionym głosem:

— Ojcze!

Ojciec drgnął i pochylił się nade mną. Radość, pomieszana z czułością, odmalowała się na jego twarzy i rzekł:

— Boże! dzięki Ci! odzyskał przytomność. Co synku? co?

— Ojcze, ja biłem się z Selimem?

— Tak, kochanie moje! Nie myśl o tem!

Przez chwilę panowało milczenie, a potem spytałem:

— Ojcze! a kto mnie tu przyniósł do pokoju z lasu?

— Ja przyniosłem cię na rękę; ale nie mów nic: nie męcz się.

Nie upłynęło jednak pięć minut, jak znów zacząłem pytać. Mówiłem tylko bardzo wolno:

— Ojcze!

— Co, dziecko moje?

— A co się stało z Selimem?

— Zemdlął także z utraty krwi. Kazałem go odwieźć do Chorzel.

Chciałem jeszcze pytać o Hanię i o matkę, ale czułem, że znów opuszcza mnie przytomność. Zdawało mi się, że jakieś psy czarne i żółte zaczęły tańczyć na dwóch łapach koło mojego łóżka i pocałem się im przypatrywać. To znów marzyło mi się, że słyszę głosy fujarek wiejskich, to chwilami zamiast zegara, który wisiał naprzeciw mojego łóżka, widywałem twarz jakąś, wyglądającą ze ściany i chowającą się w nią naprzemian. Nie był to stan zupełnej nieprzytomności, tylko gorączki i rozproszenia myśli; musiał jednak trwać dosyć długo. Chwilami było mi trochę lepiej, a wtedy rozpoznawałem nawpół twarze, otaczające moje łóżko: to ojca, to

księdza, to Kazia, to doktora Stasia. Pamiętam, że między twarzami temi brakło mi jednej, ale nie mogłem dojść której; wiem jednak, że czułem ten brak i że szukałem jej instynktowo. Raz w nocy usnąwszy mocno, rozbudziłem się nad ranem. Świece paliły się jeszcze na stole. Było mi jakoś bardzo, bardzo słabo. Nagle spostrzegłem schyloną nad łóżkiem osobę, której nie poznałem odrazu, ale na widok której zrobiło mi się tak błogo, jakbym już umarł i był wzięty do nieba. Była to anielska jakaś twarz, ale tak anielska, taka święta z temi łzami, płynącemi jej cicho z oczu, że uczułem jakby i mnie na płacz się zbierało. Ale wówczas wróciła mi iskra przytomności, rozjaśniło mi się w oczach i zawołałem słabo a cicho:

— Mamol!

Anielska twarz pochyliła się ku mojej wychudzonej ręce, leżącej bez ruchu na kołdrze i przycisnęła do niej usta. Usiłowałem się podnieść, ale uczułem znowu ból w skroniach, więc zawołałem tylko:

— Mamol boli!

Matka moja, bo ona to była, poczęła zmieniać okłady z lodem, leżące na mej głowie. Zawsze ten opatrunek przyczyniał mi niemało cierpień, ale teraz te słodkie, kochane ręce z taką troskliwą delikatnością poczęły poruszać się koło mej biednej, porąbanej głowy, że nie czując najmniejszej boleści, począłem szeptać:

— Dobrze! o, dobrze!

Odtąd byłem już przytomniejszy, pod wieczór tylko zapadałem w gorączkę. Widywałem wtedy Hanię,

choć gdy był przytomny, nie widziałem jej przy sobie nigdy. Ale widywałem ją zawsze w jakimś niebezpieczeństwie. To raz wilk z czerwonymi oczyma rzucał się na nią, to znów porywał ją ktoś niby Selim, a niby nie Selim, bo z twarzą porośniętą czarną szczecina i z rogami na głowie. Wówczas czasem krzyczałem, a czasem prosiłem wilka lub owego ro-gacza bardzo grzecznie i pokornie, żeby jej nie porywał. W takich chwilach matka kładła mi rękę na czoło i mary znikały natychmiast.

Wreszcie gorączka opuściła mnie stanowczo, odzyskałem zupełną przytomność, ale nie znaczyło to, że byłem zdrowszy. Przyplątała się jakaś inna choroba, jakieś niesłychane osłabienie, pod wpływem którego gasłem widocznie. Po całych dniach i nocach wpatrywałem się w jeden punkt na suficie. Byłem niby przytomny, ale obojętny na wszystko. Nie obchodziło mnie ani życie, ani śmierć, ani osoby, czuwające nad mojem łóżkiem. Odbierałem wrażenia, widziałem wszystko, co się koło mnie działo; pamiętałem wszystko, ale nie miałem dość sił, żeby zebrać myśli i żeby czuć. Raz wieczorem począłem widocznie konać. Postawiono koło mojego łóżka wielką żółtą świecę, potem ujrzałem księdza Ludwika, ubranego w komżę. Dawał mi Sakrament, następnie kładł na mnie Oleje święte, a przytem szlochał tak, że mało od przytomności nie odszedł. Matkę wyniesiono zemdloną z pokoju; Kazio był płaczem pod ścianą i targał się za włosy; ojciec siedział z załamanemi rękoma, zupełnie jakby kamienny. Widziałem to wszystko doskonałe, ale byłem zupeł-

nie obojętny i patrzyłem jak zwykle martwem, szklannem okiem na sufit, na poręcz łóżka w nogach lub na okno, przez które wpadały mleczne i srebrne snopy księżycowego światła.

Następnie do pokoju wszystkimi drzwiami poczęła się cisnąć służba; krzyki, łkania i wycie, któremu przywodził Kazio, napęłniały cały pokój, tylko ojciec po dawnemu siedział kamienny; ale wreszcie, gdy klękli wszyscy, a ksiądz począł mówić litanię i uciał, bo nie mógł od łez, ojciec porwał się nagle i ryknąwszy: „O! Jezul! Jezul!“ rzucił się jak długi na podłogę. W tej chwili uczułem, że końce palców u rąk i nóg poczynają mi ziębnąć, ogarnęła mnie jakaś dziwna senność i ziewanie. „Aha! to ja umieram!“ pomyślałem sobie i usnąłem.

Ale istotnie usnąłem, zamiast umrzeć i to usnąłem tak dobrze, że nie obudziłem się jak we dwadzieścia cztery godziny później i tak dalece wzmocniony na siłach, że sam nie umiał zdać sobie sprawy, co się ze mną zrobiło. Obojętność moja znikła, potężny młody organizm zwyciężył śmierć samą i budził się do nowego życia, z nowymi siłami. Teraz znów działały się przy łóżku mojem takie sceny radości, że i opisywać ich nie próbuję. Kazio fiksował po prostu ze szczęścia. Opowiadano mi później, że zaraz po pojedynku, kiedy ojciec odniósł mnie rannego do domu, a doktor odrazu nie ręczył za moje życie, poczciwego Kazika musieli zamknąć, bo poprostu polował na Selima, jak na dzikie zwierzę i przysiągł sobie, że jeśli ja umrę, to go zastrzeli,

gdzie go spotka. Szczęściem i Selim, poraniony cokolwiek, musiał przez jakiś czas leżeć w łóżku.

Ale tymczasem każdy dzień przynosił mi coraz większą ulgę. Wracała mi ochota do życia. Ojciec, matka i Kazio, czuwali dzień i noc nad mojem łóżkiem. Jakże ja ich kochałem wtedy, jak tęskniłem, gdy które z nich opuściło mój pokój. Ale razem z życiem, poczęło i dawne uczucie dla Hani odzywać się na nowo w mem sercu. Kiedy obudziłem się z tego snu, który wszyscy za początek wiecznego snu poczytali, natychmiast spytałem o Hanię. Odpowiedział mi ojciec, że zdrowa, ale że wyjechała z panią d'Yves i siostrzyczkami do stryja, bo ospa powiększała się coraz bardziej we wsi. Mówił mi przytem, że już jej przebaczył, że zapomniał i kazał mi być spokojnym. Później jednak nieraz rozmawiałem o niej z matką, która widząc, że mnie ten przedmiot nad wszystkie inne zajmuje, sama zaczynała rozmowę, a kończyła ją anielskimi, lubo niewyraźnemi słowami, że gdy wyzdrowieje, wówczas pomówi z ojcem o wielu rzeczach, które dla mnie będą bardzo przyjemne, trzeba tylko, żebym był spokojny i starał się jak najprędzej przyjść do siebie.

Mówiąc to, uśmiechała się smutno, mnie zaś chciało się płakać z radości. Czasem jednak trafiło się coś takiego w domu, co mąciło mój spokój, a nawet przejmowało mnie strachem. Raz naprzykład wieczorem, gdy matka siedziała przy mnie, wszedł służący Franek i poprosił ją do pokoju Hanny.

Siadłem natychmiast na łóżku.

— Hania przyjechała? — spytałem.

— Nie! — odrzekła matka. — Nie przyjechała. On prosi mnie do pokoju Hani, bo tam biela i dają nowe obicia.

Czasem zdawało mi się, jakby chmura ciężkiego, a źle ukrywanego smutku leżała na czołach otaczających mnie osób. Nie rozumiałem nic co się dzieje, a pytania moje zbywano byle czem. Badałem Kazia, odpowiadał tak jak i inni, że w domu wszystko dobrze, że siostry, pani d'Yves i Hania wkrótce wrócą i na koniec: żebym był spokojny.

— A skądże ten smutek? — spytałem.

— Widzisz, ja ci opowiem wszystko. Oto Selim ze starym Mirzą przyjeżdżają tu codziennie. Selim po całych dniach desperuje, płacze, chce cię widzieć koniecznie: a rodzice nasi boją się, żeby ci ta wizyta nie zaszkodziła.

Uśmiechnąłem się.

— Mądry Selim! — rzekłem. — Mało mi czaszki nie rozłupał, a teraz za mną płacze. A cóż: o Hani myśli ciągle?

— Ii... gdzie mu tam Hania w głowie. Nie wiem zresztą, nie pytałem się o to, ale myślę, że on się już jej wyrzekł zupełnie.

— To kwestja!

— W każdym razie kto inny ją dostanie: bądź spokojny!

Tu Kazik przekrzywił twarz po studencku i dodał z miną franta:

— Wiem nawet kto. Dałby tylko Bóg, żeby...

— Żeby co?

— Żeby wróciła jak najprędzej — dodał pośpiesznie.

Słowa te uspokoiły mnie zupełnie. W parę dni potem, wieczorem ojciec siedział przy mnie wraz z matką. Zaczęliśmy z ojcem grać w szachy. Po chwili matka wyszła, zostawiwszy drzwi otwarte, przez które widać było szereg komnat, na końcu zaś owego szeregu znajdował się pokój Hani. Spojrzałem nań, ale nie mogłem nic dojrzeć, wszystkie pokoje bowiem prócz mego, były nieoświecone, drzwi zaś od pokoju Hani, o ile mogłem dopatrzeć w ciemnościach, zamknięte.

Nagle wszedł tam ktoś, jakby doktor Stanisław i nie domknął znów drzwi za sobą.

Serce uderzyło mi niespokojnie. W pokoju Hani było światło.

Światło to wpadało jasną smugą do ciemnej sąsiedniej sali, a na tle tej jasnej smugi zdawało mi się, żem dojrzał delikatne zwoje dymu, kręcące się tak, jak kurz kręci się w świetle słonecznym.

Zwolna o powonienie moje uderzył jakiś niewyraźny zapach, który jednak z każdą sekundą stawał się coraz mocniejszy i mocniejszy. Nagle włosy zjeżyły mi się na głowie: rozpoznałem zapach jałowcu.

— Ojczu, co to jest? — zawołałem gwałtownie, zrzućwszy szachy wzaz z szachownicą na ziemię.

Ojciec zerwał się zmieszany, poczuwszy również ten przekłety zapach i zamknął coprędzej drzwi od pokoju.

— Nic, to nic! — odpowiedział pośpiesznie.

Ale ja byłem już na nogach, a lubo chwiałem

się jeszcze, jednakże posunąłem się szybko ku drzwiom.

— Dlaczego tam kadzą jałowcem? — krzyknąłem — ja tam chcę pójść!

Ojciec pochwycił mnie wpół.

— Nie pójdziesz tam! nie pójdziesz: zabraniam ci!

Ogarnęła mnie rozpacz, więc chwyciwszy za bandaż, opasujące mi głowę, krzyknąłem z uniesieniem:

— A więc dobrze! Ale przysięgam, że zerwę te bandáže i rozdrapię ranę własnymi rękoma. Hania umarła! Ja ją chcę widzieć!

— Hania nie umarła, daję ci słowo! — wołał ojciec, uchwyciwszy mnie za ręce i pasując się ze mną. — Zachorowała, ale zdrowsza! Uspokój się! uspokój! Czy nie dość jeszcze nieszczęść! Opowiem ci wszystko, ale połóż się. Iść do niej nie możesz. Zgubiłbyś ją. Uspokój się! Połóż się. Przysięgam ci, że zdrowsza.

Siły mnie opuściły i upadłem na łóżko, powtarzając tylko:

— Mój Boże! mój Boże!

— Henryku, przyjdź do siebie. Czyś ty kobieta? Bądź mężny. Ona już nie jest w niebezpieczeństwie. Obiecałem ci opowiedzieć wszystko i opowiem, ale pod warunkiem, że zbierzesz siły. Oprzyj głowę na poduszce! Ot, tak. Okryj się i leż spokojnie.

Byłem posłuszny.

— Już jestem spokojny, ale prędzej ojcie, prędzej. Niech się już raz dowiem wszystkiego. Czy istotnie już zdrowsza? co jej było?

— A więc słuchaj: tej nocy, w której Selim ją

porwał, była burza. Hania miała na sobie tylko lekką sukienkę, przemokła do nitki. Przytem krok ten szalony kosztował ją niemało. W Chorzeliach, dokąd zawiózł ją Mirza, nie miała się w co przebrać, więc w tej samej mokrej sukience tu powróciła. Tegoż samego dnia już dostała dreszczów i silnej gorączki. Na drugi dzień stara Węgrowska nie umiała utrzymać języka i powiedziała jej o twoim wypadku. Powiedziała jej nawet, żeś zabity. Oczywiście zaszkodziło jej to. Wieczorem była już bezprzytomna. Doktor nie wiedział przez długi czas, co to jest, aż wreszcie... Wiesz: we wsi całe panowała i panuje dotąd ospa: Hania dostała ospy.

Przymknąłem oczy, bo zdawało mi się, że i ja odchodzę od przytomności, wreszcie rzekłem:

— Niech ojciec mówi dalej, przecie jestem spokojny.

— Były chwile — mówił dalej ojciec — wielkiego niebezpieczeństwa. Tego samego dnia, kiedy ciebie mieliśmy już za straconego i ona była prawie konająca. Ale dla obojga was przyszła jednocześnie szczęśliwa kryzys. Dziś ona, tak jak i ty, jest rekonwalescentką. Za jakiś tydzień będzie zupełnie zdrową. Ale co tu się działo w domu! Co się działo!

Ojciec skończył i patrzył na mnie uważnie, jakby w obawie, by słowa jego zbyt nie wstrząsnęły mego osłabionego jeszcze umysłu; ja zaś leżałem nieruchomie. Przez długi czas trwało milczenie. Zbierałem myśli i rozpatrywałem się w nowem nieszczęściu. Ojciec wstał i zaczął chodzić szerokimi krokami po pokoju, spoglądając od czasu do czasu na mnie.

— Ojcie? — rzekłem po długim milczeniu.

— Co, chłopcze?

— Czy... czy... bardzo zeszpecona?

Głos mój był spokojny i cichy, ale serce biło mi głośno w oczekiwaniu odpowiedzi.

— Tak! — odparł ojciec. — Jak to po oście. Może być, że nie będzie żadnych znaków. Dziś jeszcze są, ale znikną, znikną pewnie.

Odwrociłem się do ściany: czułem, że robi mi się gorzej niż zwykle.

W tydzień jednak potem byłem już na nogach, a w dwa tygodnie ujrzalem Hanię. Ach! opisywać nawet nie próbuję, co się zrobiło z tej ślicznej, idealnej twarzy. Gdy biedaczka wyszła ze swego pokoju i gdy ujrzalem ją po raz pierwszy, jakkolwiek przysięgałem sobie poprzednio, że nie pokażę po sobie najmniejszego wzruszenia, nagle zrobiło mi się słabo i zemdlałem, jak nieżywy. O! jakże była zeszpecona okropnie!

Gdy mnie ocucono z omdlenia, Hania płakała głośno i nad sobą pewnie i nade mną, bo ja byłem podobniejszy jeszcze do cienia niż do człowieka.

— To ja wszystkiego tego przyczyną! — powtarzała łkając — ja przyczyną.

— Haniulku, siostrzyczko moja! nie płacz, ja cię zawsze będę kochał! — zawołałem i uchwyciłem jej rękę, chcąc podnieść je do ust, jak dawniej.

Nagle drgnąłem i cofnąłem usta. Te ręce, niegdyś tak białe, delikatne i śliczne, były teraz okropne. Czarne plamy pokrywały je całkowicie, a przytem stały się chropawe, wstrętne prawie.

— Ja cię zawsze będę kochał! — powtórzyłem z wysileniem.

Kłamałem. Miałem w sercu litość ogromną, łzawą i miłość brata, ale dawne uczucie uleciało, jak ptak ulata bez śladu.

Wyszedłem do ogrodu i w tej samej chmielowej altanie, gdzie nastąpiło pierwsze wyznanie między Selimem i Hanią, płakałem tak, jak po zgonie drogiej osoby.

Bo też istotnie dawna Hania dla mnie umarła, a raczej miłość moja umarła i w sercu pozostała tylko po niej pustka i ból, jakby z niezagojonej rany i wspomnienie, wyciskające łzy na oczy.

Siedziałem tak długo i długo! Cichy wieczór jesienny poczynął palić się czerwoną zorzą na szczytach drzew. Szukano mnie w domu, wreszcie do altany wszedł ojciec.

Spojrzał na mnie i uszanował mój żal.

— Biedny chłopcze — rzekł — Bóg doświadczył cię ciężko, ale ufaj Mu! On zawsze wie, co czyni.

Oparłem głowę na piersi ojca i przez jakiś czas milczeliśmy obaj.

Po niejakej chwili ojciec rzekł:

— Byłeś do niej przywiązany bardzo, więc powiedz mi: gdybym ci rzekł: daję ci ją, podaj jej rękę na całe życie, cóżbyś mi odpowiedział?

— Ojcie! — odrzekłem — miłość mogła ulecieć ode mnie, ale uczciwość nigdy: jestem gotów.

Ojciec ucałował mnie serdecznie.

— Niechże cię Bóg błogosławi. Poznaję cię: ale

to nie twój obowiązek, nie twoja powinność: to powinność Selima.

— Czy on tu przyjedzie?

— Przyjedzie wraz z ojcem swoim. Ojciec jego wie już o wszystkim.

Jakoż o zmroku przyjechał Selim. Gdy ujrzał Hanię, zaczerwienił się a potem zbladł jak płótno. Przez chwilę znać było na jego twarzy ciężką walkę serca z sumieniem. Znać i od niego ulatywał ów ptak skrzydlaty, któremu imię: miłość. Ale zwyciężył się ten szlachetny chłopak: powstał, wyciągnął ręce, a potem upadł przed Hanią na kolana i zawołał:

— Haniu moja! Jam zawsze ten sam: ja nie opuszczę cię nigdy, nigdy!

Łzy obfite spłynęły po twarzy Hani, odsunęła jednak lekko Selima.

— Nie wierzę, nie wierzę, żeby mnie teraz kochać można — rzekła, a potem zakrywszy twarz rękoma, zawołała:

— O! jacy wyście wszyscy dobrzy i szlachetni! Jam tylko najmniej szlachetna, najwięcej grzeszna: ale to się już skończyło wszystko: jam już inna!

I mimo nalegań starego Mirzy, mimo prośb Selima, nie chciała oddać mu ręki. Pierwsza burza życiowa złamała ten słiczny kwiat, zaledwie rozkwitły. Biedna dziewczyna! potrzebowała teraz po burzy jakiej przystani świętej a cichej, gdzieby ukoić mogła sumienie i ukołysać serce.

Jakoż znalazła tę cichą i świętą przystań: została Siostrą miłosierdzia.

Po kilku latach jednak ujrzałem ją niespodzia-

nie: spokój i cisza malowały się w tych anielskich rysach; ślady straszliwej choroby znikły zupełnie; w czarnej sukience i białym klasztorным kapeluszu piękna była jak nigdy, ale już tą nieziemską pięknnością: więcej anielską niż ludzką.

1876.



TREŚĆ

Stary sługa	Str. 3
Hania	25

Książnica Podlaska
im. Ł. Górnickiego w Białymstoku



KP-BG-0532685

524 010